

**Hermann Hesse**

# **Pod kołami**

**(Tłumaczenie z niemieckiego Edyta Sicińska)**

## **WSTĘP**

Oprócz przyjemności czytelniczych, lektura tej powieści umożliwia także wejście w ewolucję powieściopisarstwa Hermanna Hessego (1877 – 1962).

Autor do roku 1904 uprawiał lirykę, która, owszem, zyskiwała mu uznanie, ale rozgłosu wielkiego nie przynosiła, gdyż przeznaczona była typową dla końca wieku XIX uczuciowością post-romantyczną. Owej uczuciowości autor ostatecznie nigdy nie przezwyciężył, ale odkąd zaczął pisać powieści, poczęła ona nabierać głębi.

Otóż pierwszym ogniwem rozwoju powieściopisarstwa, które w połowie lat czterdziestych naszego stulecia przyniosło autorowi Nagrodę Nobla, jest z roku 1904 "Peter Camenzino".

Po roku wyszła następna powieść "Pod kołami". Autor nazwał te pierwsze dokonania prozatorskie opowiadaniem. Ma trochę racji, wszak fabuły obu utworów nie obfitują w wątki, acz z drugiej strony nie mają nowelistycznej zwięzłości. Powiedzmy – ni powieści, ni opowiadania...

Hans Giebenrath z "Pod kołami" jest niewątpliwie ewokacją buntów samego autora, gdy miał lat kilkanaście. Bohater ten nie od razu budzi sympatię czytelników. Któż bowiem zachwyciłby się prymusem i kujonem. A jednak później Hans, po tchórzostwie okazanym wobec swego seminaryjnego przyjaciela, zaczyna stawać się czytelnikowi coraz bliższy, aż w końcu budzi gorące współczucie. Mamy ochotę zgoda solidaryzować się z nim, gdy dzieli los swego przyjaciela i również zostaje relegowany; tamten wszelako za zachowanie, Hans – za mierne wyniki.

Co tedy stało się z tym prymusem, któremu każdy rokował wspaniałą karierę? Odpowiedzią jest cała powieść i ostateczny powieściowy los młodego Hansa. Zresztą narrator, jakby mimochodem, nieuważnie rzuca uwagę, że dusza Hansa została "okradziona z dzieciństwa".

To głupi, bezmyślny, snobistyczny, pusty, pełen konwenansów świat niemieckiego mieszczaństwa z przełomu XIX i XX w. gwałci dusze wrażliwych chłopców, ówczesna zmurszała, przestarzała w formach i sposobach wychowawczych szkoła, podcina psychikę rozwijającej się młodzieży, jak mróz warzy świeżo rozkwitłe kwiaty.

W tym świecie trwa – jakby powiedział Bruno Schulz – taniec manekinów, które nie tylko że nie rozumieją przeżyć bogatych ludzkich natur, ale same nie

wyższego nie przeżywają. W tym tle niespodziewanie wyróżniają się takie osobowości, jak szewc Flaig, z którym młody Hans rozmawia niczym poeta z filozofem; jak młoda dziewczyna Emma, która próbuje wprowadzić Hansa w tajemniczy świat erotyki; jak niefortunny poeta seminaryjny, przyjaciel Hansa — liryczny Herman Heilner...

Takich bogatych osobowości nie jest jednak w tym świecie dużo. Przeważają bezduszni głupcy, do których należy sam ojciec młodego bohatera. Dlatego Hans znalazł się pod kołami tego świata i koła te zmiażdżyły go.

W późniejszych powieściach niemiecki noblista ukazywać będzie jednostki biorące się za bary z taką rzeczywistością. One raczej przegrywają, lecz nie tak — chciałoby się powiedzieć — doszczętnie, jak ich protoplasta Hans, z powieści, jaką wydawca oddaje do rąk Czytelników. Późniejsi bohaterowie, o ile przegrywają w sensie pragmatycznym, to wygrywają wartości niewspółmiernie większe, największe pod słońcem — godność i wolność.

A tymczasem, czytając tę niemal młodzieńczą powieść Hermanna Hessego zobaczymy, czy naprawdę, jak i dlaczego Hans przegrywa.

Jacek Wegner

## ***Rozdział pierwszy***

Pan Józef Giebenrath, pośrednik i agent handlowy, nie wyróżniał się wśród obywateli miasteczka żadnymi szczególnymi przymiotami ani właściwościami. Tak jak oni, posiadał krągły, zdrowy korpus, jakie takie talenta kupieckie, połączone ze szczerym, niekłamanym uwielbieniem dla pieniądza, a ponadto mały domek z ogródkiem, grób rodzinny na cmentarzu, nieco wytartą i spłowiałą już religijność i należny respekt przed Bogiem i zwierzchnością oraz ślepe posłuszeństwo wobec spiżowych zasad mieszczańskiej przyzwoitości. Wychylił w swym życiu niejedną kufelkę, lecz nigdy nie był pijany. Niejednokrotnie zdarzało się, że podejmował się różnych niezupełnie czystych interesów, nie przekraczając przy tym nigdy granic wyznaczonych przez literę prawa. Uboższym od siebie wymyślał od głodomorów, bogatszych nazywał dorobkiewiczami. Był członkiem Stowarzyszenia Obywatelskiego i co piątek odwiedzał kręgielnię "Pod Orłem", nie omijał też żadnego pieczenia ani świniobicia lub podobnej uroczystości. W czasie pracy palił tanie cygara, po obiedzie zaś i w niedzielę lepszy gatunek.

Wewnętrzne jego życie było egzystencją filistra. Jeśli miał kiedyś jakieś uczucia, od dawna pokrył je kurz. Nie było tego wiele więcej ponad tradycyjny, szorstki sentyment rodzinny, dumę z własnego syna i czasem jakiś okolicznościowy gest względem ubogich. Jego uzdolnienia umysłowe nie wykraczały poza wrodzoną dość ograniczoną chytrą i umiejętność liczenia. Lektura jego ograniczała się do gazety, a do zaspokojenia potrzeb artystycznych wystarczało mu doroczne amatorskie przedstawienie Stowarzyszenia Obywatelskiego i od czasu do czasu widowisko cyrkowe.

Mógł być z pierwszym lepszym sąsiadem zamienić nazwisko i mieszkanie, a nic by się nie zmieniło. Z wszystkimi bowiem pozostałymi ojcami rodzin w mieście miał wspólne nawet to, co kryło się w najgłębszych zakamarkach jego duszy — ową wiecznie czujną nieufność wobec każdej wyższej siły czy osobowości oraz instynktowną, z zawiści zrodzoną niechęć do wszystkiego, co niepowszednie, swobodniejsze, wykwinniejsze, górujące intelektem.

Dość o nim. Tylko wysoce ironiczne pióro zdobyłoby się na przedstawienie tak płaskiego żywota i jego nieświadomego tragizmu. Ale ten człowiek miał syna jedynaka i o nim trzeba mówić.

Hans Giebenrath był niewątpliwie udanym dzieckiem. Wystarczyło przyjrzeć mu się, kiedy biegł z rówieśnikami, jak na ich tle ostro odbijała jego sylwetka. Mała miejscina Schwarzwaldu nie mogła się dotychczas pochwalić takimi ludźmi – nigdy nie wyszedł z niej ktoś, kto by spojrzeniem i działaniem wybiegł poza najbliższe opłotki. Bóg raczy wiedzieć, skąd chłopak wziął te poważne oczy, to mądre czoło i ten wykwint w ruchach. Może po matce? Nie żyła od szeregu lat, a za jej życia nie zauważono w niej nic uderzającego, poza tym, że była chorowita i wiecznie zatroskana. Ojciec nie wchodził w rachubę. Zatem niewątpliwie z góry spadła tajemnicza iskra w to stare gniazdo, które w ciągu ośmiu czy dziewięciu stuleci swojego istnienia wydawało wprawdzie wielu zacnych obywateli, ale nigdy jeszcze żadnego talentu albo geniusza.

Na nowoczesnych teoriach wykształcony obserwator mógłby w związku z chorobą matki i względną starością rodu widzieć w przeroście inteligencji objaw rozpoczynającej się degeneracji. Ale miasteczko było na tyle szczęśliwe, że nie dawało schronienia w swych murach ludziom tego rodzaju, a jedynie młodszy i obrotniejsi spośród urzędników i nauczycieli czerpali z czasopism jakieś niejasne pojęcia o istnieniu "nowoczesnego człowieka". Można tam było jeszcze egzystować i uchodzić za wykształconego, nie wiedząc, co rzekł Zaratustra. Małżeństwa były solidne i często szczęśliwe, a całe życie toczyło się na nieuleczalnie staroświecką modłę. Zamożni, zasiedziali obywatele, z których niejeden w ostatnich dwudziestu latach przeobraził się z rzemieślnika w fabrykanta, uchylali wprawdzie przed urzędnikami kapeluszy i cenili sobie stosunki z nimi, ale między sobą przezywali ich głodomorami i pisarzynami. Dziwne, że nie mieli mimo to wyższych ambicji poza tą jedną, aby synów swych o ile możliwości do szkół posłać i wykierować na urzędników. Niestety, pragnienie to pozostawało niemal zawsze pięknym, nieziszczonym marzeniem, ponieważ młode pokolenie na ogół z biedą i częstym repetowaniem kończyło tylko szkołę łacińską.<sup>1</sup>

Zdolności Hansa Giebenratha nie ulegały najmniejszej wątpliwości. Nauczyciele, rektor, sąsiedzi, pastor, koledzy ze szkoły, wszyscy przyznawali, że ma tęgą głowę i jest w ogóle nieprzeciętny. Tym samym zdecydowano i wytyczono jego

---

<sup>1</sup> Szkoła łacińska – tak nazywano katedralne i fundacyjne szkoły średniowiecza, od wieku XIV głównie szkoły miejskie, mające jako przedmiot podstawowy łacinę; później nazwa szkoły obejmującej niższe klasy gimnazjalne.

przyszłość. W Szwabii bowiem przed utalentowanymi chłopcami stoi otworem jedna jedyna wąska ścieżyna, chyba że mają bogatych rodziców; prowadzi ona przez egzamin krajowy do seminarium, potem do zakładu w Tubingen, a stamtąd albo na ambonę, albo na katedrę. Rokrocznie kilkudziesięciu synów tego kraju wstępuje na ową cichą, bezpieczną ścieżkę. Chudzi, przepracowani chłopcy, którzy niedawno byli u konfirmacji, zgłębiają na koszt państwa rozmaite dziedziny nauk humanistycznych i w osiem czy dziewięć lat później rozpoczynają drugą, zazwyczaj dłuższą część swej drogi życiowej. Krocząc nią mają zwrócić państwu otrzymane dobrodziejstwa.

Za parę tygodni miał się znowu odbyć egzamin krajowy. Tak zwie się owa doroczna hekatomba, w czasie której "państwo" wybiera umysłowy kwiat kraju, a z miasteczek i wiosek biegną ku stolicy, w której murach odbywa się egzamin, westchnienia, modlitwy i życzenia wielu rodzin.

Hans Giebenrath był jedynym kandydatem, którego miasteczko zamierzało wysłać na owe utrapione zawody. Honor był wielki, ale kosztował też немало. Do lekcji szkolnych, trwających codziennie do czwartej, dochodziła osobna godzina greki u rektora, o szóstej pastor raczył powtarzać z Hansem łacinę i religię, a dwa razy w tygodniu wieczorem po kolacji uczeń otrzymywał godzinną konsultację u profesora matematyki. W grece poza czasownikami nieregularnymi najwięcej uwagi poświęcano różnorodności składni, powodowanej nieodmiennymi częściami mowy. W łacinie chodziło o jasny i zwięzły styl, a zwłaszcza o znajomość rozmaitych prozodycznych subtelności. W matematyce główny nacisk kładziono na skomplikowane równania. Wprawdzie, wydaje się, jak profesor często podkreślał, że są one pozornie bez wartości dla późniejszych studiów i życia, ale właśnie tylko pozornie. W rzeczywistości są bardzo ważne, a nawet ważniejsze od niejednego przedmiotu głównego, ponieważ rozwijają sprawność logiczną ucznia i stanowią główny fundament jasnej, trzeźwej i wydajnej pracy.

Aby jednak nie przeciążać umysłu i aby wśród ćwiczeń rozumu duch nie poszedł w zapomnienie i nie uwiądnął, winien był Hans każdego ranka, na godzinę przed rozpoczęciem szkoły, uczestniczyć w nauce dla konfirmantów, gdzie ożywcze tchnienie religijnego życia płynęło do młodych dusz z katechizmu Brenza i z pobudzającego wkuwania na pamięć oraz recytowania pytań i odpowiedzi. Niestety, chłopiec pozbawiał się lekkomyślnie orzeźwiającej mocy tych nauk i ich błogosławieństwa, wkładając po kryjomu do katechizmu karteczki zapisane greckimi i łacińskimi słówkami lub ćwiczeniami i zajmując się niemal przez cały czas trwania

nauki konfirmacyjnej tymi świeckimi umiejętnościami. Ale bądź co bądź nie miał aż tak zatwardziałego sumienia, żeby przy tym nie doznawać bez ustanku uczucia przykrego niepokoju i lekkiego strachu. Gdy dziekan zbliżał się do niego albo wywoływał jego nazwisko, wzdrygał się za każdym razem bojaźliwie, a gdy przyszło do odpowiedzi, miał mokre czoło i dostawał bicia serca. Ale odpowiedzi były bez zarzutu, nawet pod względem wysłowienia, a do tego dziekan przywiązywał wielką wagę.

Zadane zaś w szkole prace pisemne i ustne pamięciowe repetycje i ćwiczenia, narastające w ciągu dnia z lekcji na lekcję, trzeba było potem odrabiać późnym wieczorem w domu przy zacisznym świetle lampy. Taka skupiona praca w błogosławionej atmosferze domowego spokoju — gospodarz klasy przypisywał jej szczególnie głębokie i korzystne działanie — trwała we wtorki i soboty zwykle tylko do dziesiątej, w inne zaś dni do jedenastej, do dwunastej, a czasem nawet dłużej. Ojciec krzywił się trochę z powodu nadmiernego zużywania nafty, śledził jednak owo "studiowanie" z zadowoleniem i dumą. W rzadkich wolnych od pracy chwilach, a także na niedziele, stanowiące ostatecznie prawie siódmą część naszego życia, usilnie zalecana była lektura kilku nie czytanych w szkole autorów i repetytorium z gramatyki.

— Oczywiście w miarę, w miarę! Raz, dwa razy w tygodniu spacer jest konieczny i działa cuda. Przy ładnej pogodzie można przecież książkę zabierać ze sobą nawet na przechadzkę. Zobaczysz, jak łatwo i miło uczy się człowiek na świeżym powietrzu. W ogóle głowa do góry!

Hans więc w miarę możliwości trzymał głowę do góry, zgłębiając wiedzę odtąd również na przechadzkach, i snuł się cichy i spłoszony, ze zmęczoną od bezsenności twarzą i podkrążonymi oczyma.

— Co pan sądzi o Giebenracie, chyba przejdzie? — zapytał kiedyś rektora wychowawca klasy.

— Przejdzie, przejdzie! — wykrzyknął rektor. — To tęga głowa! Niech się pan tylko przypatrzy, jaki teraz uduchowiony!

W ostatnich dniach istotnie nie można było nie zauważyć w chłopcu owego "uduchowienia". W jego ładnej, subtelnej twarzy jarzyły się mętym żarem głęboko wpadnięte, niespokojne oczy, pod pięknym czołem pracowała myśl, zdradzając swą obecność przelotnymi delikatnymi zmarszczkami, a cienkie, chude ramiona i ręce ze znużonym wdziękiem, przypominającym Botticellego, zwisały wzdłuż ciała.

Wreszcie nadszedł ów dzień. Jutro rano miał się udać z ojcem do Stuttgartu i tam na egzaminie krajowym pokazać, czy jest godzien wejść przez wąską furkę klasztorną do seminarium. Właśnie złożył wizytę pożegnalną u rektora.

— Dziś wieczór — groźny władca zakończył rozmowę z niecodzienną łagodnością — nie wolno ci już pracować. Przrzeknij mi to. Jutro w Stuttgarcie musisz stanąć do egzaminu idealnie wypoczęty. Przejdź się jeszcze godzinę, a potem w czas do łóżka. Młodym ludziom potrzeba snu.

Hans był zdumiony, że zamiast mnóstwa dobrych rad, których ze strachem oczekiwał, doznał tyle dobrodziejstwa, i z westchnieniem ulgi opuścił gmach szkoły. Wielkie lipy rosnące na wzgórzu kościelnym lśniły matowym blaskiem w gorącym słońcu późnego popołudnia, na rynku pobłyskiwały dwie duże studnie, wydające miarowy plusk, znad nieregularnej linii dachów wyzierały bliskie granatowoczarne góry porośnięte jodłami. Chłopiec miał uczucie, jakby już bardzo dawno tego widoku nie oglądał i wszystko wydawało mu się niezwykle piękne i nęcące. Wprawdzie bolała go głowa, ale dzisiaj nie potrzebował się już przecież uczyć.

Wolnym krokiem przemierzył rynek, przeszedł koło starego ratusza, przez ulicę Targową i koło kuźni i poszedł pod stary most powalęsawszy się chwilę po nim tam i sam, usiadł w końcu na szerokiej balustradzie. Całymi tygodniami i miesiącami przechodził tędy dzień w dzień po cztery razy i nawet nie spojrział na małą gotycką kapliczkę przy moście, na rzekę, na śluzę, jaz i młyn, ani na dziką plażę i brzegi zarośnięte wikliną, gdzie były garbarnie i gdzie rzeka stała głęboka, zielona i cicha Jak jezioro, a wygięte gałęzie wierzb zwisały aż do wody.

Teraz przypomniał sobie, ile godzin i dni kiedyś tu spędził, jak często pływał i nurkował, wiosłował i łowił ryby. Ach, wędka! I tego już się zdążył oduczyć, i tego prawie zapomniał, a przecież zeszłego roku płakał jak mały dzieciak, gdy mu zabroniono chodzić na ryby z powodu egzaminu. Wędka! To była jednak największa przyjemność podczas tych długich lat szkoły. Stać w nikłym cieniu wiklin, słyszeć bliski szum u młynowego jazu, spoglądać na głęboką, spokojną wodę! A ta gra światła na rzece, owo łagodne drganie długiej wędkii, podniecenie, gdy "bierze" i "ciągnie", i osobliwa radość, gdy trzyma się w ręce chłodną, spaśną, wywijającą ogonem rybę!

Złowił przecież niejednego soczystego karpia, niejednego okonia i brzanę, a nierzadko brały i delikatne liny, i drobne, pięknie ubarwione strzeble. Długo spoglądał na wodę, i na widok rzeki i tego całego zielonego zakątka ogarnęło go zamyślenie i smutek; czuł, że piękne, swobodne harce z lat dziecięcych są już



bezpowrotnie za nim. Machinalnie wyjął z kieszeni kromkę chleba i ugniatając z miąższu duże i małe kulki rzucał je do wody, obserwując, jak opadały i znikwały w pyszczkach ryb. Najpierw nadpływały maleńkie ukleje, zżerały łapczywie mniejsze kawałeczki i głodnymi pyszczkami popychały większe zygzakiem przed sobą. Potem wolno i ostrożnie zbliżył się większy jelec, którego ciemny, szeroki grzbiet odcinał się mglisto od dna, okrążył kulkę chlebową przezornie, po czym nagle otworzył okrągłą gębę i wchłonął ją. Z leniwie płynącej wody unosił się ciepły, wilgotny opar, kilka jasnych obłoków odbijało się niewyraźnie w zielonej tafli, w tartaku skrzypiała piła i oba jazy wtórowały sobie chłodnym i głębokim szumem. Chłopiec pomyślał o niedawno minionej niedzieli, kiedy podczas uroczystej konfirmacji przyłapał się na tym, że mimo całego przejęcia się podniosłym nastrojem odmieniał w duchu jakieś greckie słówko. Ostatnio często zresztą zdarzało się, że myśli plątały mu się i że nawet w szkole zamiast zająć się leżącym przed nim zadaniem myślał jeszcze o poprzednim albo już o następnym. Ładnie będzie wyglądał egzamin!

Roztargniony podniósł się ze swego miejsca, wahając się, dokąd pójść. Przestraszył się nie na żarty, gdy czyjaś mocna dłoń chwyciła go za ramię i przyjazny męski głos zagadnął:

— Jak się masz, Hans, pójdziesz kawałeczek ze mną?

Był to szewc Flaig, u którego dawniej przesiadywał nieraz wieczorem. Ostatnio nie był już u niego dawno. Hans poszedł z nim i jednym uchem słuchał, co mu prawił pobożny pietysta<sup>2</sup>. Flaig mówił o egzaminie, życzył chłopcu powodzenia i dodawał mu otuchy, ale właściwym celem jego oracji było wykazanie, że taki egzamin jest sprawą czysto zewnętrzną i przypadkową. Nie zdać go nie jest hańbą. Może się to przytrafić najlepszemu uczniowi, a gdyby przypadkiem jego, Hansa, to spotkało, niechaj pamięta, że Bóg ma swoje odrębne zamysły wobec każdej duszy i prowadzi ją własnymi ścieżkami.

Hans nie miał zbyt czystego sumienia względem szewca. Żywił pewien szacunek dla niego, imponowała mu stanowczość jego przekonań, nasłuchał się jednak wielu kawałów o pietystach i śmiał się z nich pospołu z innymi, choć częstokroć wbrew swojemu głębokiemu przekonaniu, poza tym wstydził się własnego tchórzostwa, od niejakiego bowiem czasu unikał szewca niemal lękliwie z powodu jego obcesowych pytań. Od kiedy stał się przedmiotem dumy swoich profesorów, co

---

<sup>2</sup> Pietyści — członkowie sekty protestanckiej powstałej na przełomie wieku XVII i XVIII, propagującej ascetyzm.

spowodowało, że sam nawet nabrał nieco zarozumiałości, majster Flaig przyglądał mu się nieraz z bardzo ironiczną miną i próbował go przy tej czy innej okazji upokorzyć. Wskutek tego dusza chłopca wymknęła się z wolna życzliwemu przewodnikowi, gdyż Hans znajdował się w okresie największego rozkwitu chłopięcej hardości i był niesłychanie drażliwy na punkcie swej miłości własnej. Teraz siedł obok rozprawiającego Flaiga, nie przeczuwając nawet, że wzrok, którym człowiek ten obejmuje jego drobną postać, jest pełen głębokiej troski i dobroci.

Na Kronengasse spotkali pastora. Szewc pozdrowił go z chłodną rezerwą i przypomniał sobie nagle, że mu się śpieszy, pastor bowiem był nowomodny i mówiono o nim, że nie wierzy nawet w Zmartwychwstanie. Pastor zabrał chłopca ze sobą.

— Co słyhać? — zapytał. — Cieszysz się chyba, że wreszcie kończy się to wszystko?

— Jak najbardziej.

— No, trzymaj się dzielnie! Wiesz, że w tobie pokładamy całą nadzieję. Spodziewam się, że szczególnie popiszesz się z łaciny.

— A jeśli nie zdam? — zauważył nieśmiało Hans.

— Nie zdasz?! — Duchowny aż przystanął z przerażenia. — To niemożliwe! Po prostu niemożliwe, rozumiesz?! Co za pomysły!!!

— Myślałem tylko, że nuż by się zdarzyło...

— Nie może się zdarzyć, Hans, nie może; co do tego bądź zupełnie spokojny. Pozdrów ode mnie ojca i bądź dobrej myśli!

Hans spoglądał chwilę za nim, po czym odwrócił się szukając oczyma szewca. Co to szewc mówił? Że nie łacina jest ważna, ale to, żeby człowiek wewnątrz był w porządku i bał się Boga?! Dobrze mu mówić! A teraz jeszcze ten pastor! U niego w ogóle nie ma się co pokazywać, jak obleje egzamin.

Przybity powlókł się do domu i wszedł do małego, spadającego w dół ogródka. Stała tu zbutwiała, od dawna nie używana altanka; kiedyś zbił z desek coś w rodzaju klatki i umieścił ją w altance. W klatce tej chował przez trzy lata króliki, ale zeszłej jesieni zabrano mu je z powodu egzaminu. Nie miał już czasu na rozrywki.

I tu, w tym ogrodzie, dawno już nie był. Pusta klatka była na wpół rozwalona, ogródek skalny w rogu pod murem zapadł się, mały drewniany młynek wodny leżał pogięty i złamany pod wodociągiem. Wspomnił, jak to wszystko klecił, wycinał i jak każdy drobiazg sprawiał mu radość. Ale to było już dwa lata temu — wieki temu.

Podniósł młynek, próbował go wyprostować, potem złamał do reszty i rzucił za płot. Precz z tym, przecież to wszystko już dawno się skończyło i minęło! Przypomniał mu się kolega szkolny August. Wspólnymi siłami zrobili przecież ten młynek. Razem też naprawili zagrodę dla królików. Całe popołudnia spędzali tu na zabawie, strzelali z procy, czaili się na koty, budowali szałas i zajadali surową marchew na podwieczorek. Ale potem zaczęło się wkuwanie, a August opuścił rok temu szkołę i uczył się na mechanika. Od tej pory pokazał się tylko dwa razy. No cóż, i on nie miał już czasu.

Cienie chmur biegły spieszenie przez dolinę, słońce stało już nisko nad krawędzią gór. Przez moment zdawało się chłopcu, że rzuci się na ziemię i zacznie płakać. Po chwili jednak przyniósł z wozowni siekierę i zamachnąwszy się wątlymi ramionami, porąbał klatkę w drobne kawałki. Deski rozleciały się, gwoździe wygięły zgrzytliwie, odrobina zgniłej paszy dla królików, jeszcze z zeszłego lata, wypadła na ziemię. Walił w to wszystko, jak gdyby mógł tym samym zabić swoją tęsknotę za królikami, za Augustem, za wszystkim, co było jego dzieciństwem.

— No, no, no! A cóż to znowu za pomysły? — zawołał ojciec przez okno. — Co ty tam rąbiesz?

— Drzewo na podpałkę.

Nie dodając więcej ani słowa rzucił siekierę, wypadł przez podwórko na uliczkę i pobiegł brzegiem w górę rzeki. W pobliżu browaru stały przywiązane dwie tratwy. Kiedyś, w ciepłe letnie popołudnie, potrafił godzinami płynąć tratwą w dół rzeki, senny i zarazem podniecony jazdą po wodzie chlupiącej między pniami. Wskoczył na luzem płynące pnie, ułożył się na stercie wiklin i próbował sobie wyobrazić, że tratwa płynie, to szybciej, to wolniej, mijając łąki, pola, wioski i chłodne lasy przybrzeżne, pod mostami i podniesionymi śluzami, a on leży na niej i wszystko jest znowu jak dawniej, kiedy jeszcze na Kapfbergu zbierał trawę dla królików, łowił ryby na brzegu koło garbarni i nie miewał ani bólu głowy, ani trosk.

Zmęczony i osowiały wrócił na kolację. Ojciec był niebywale poruszony czekającym ich wyjazdem do Stuttgartu i bez końca zasypywał Hansa pytaniami, czy spakował już książki, czy przygotował sobie czarne ubranie, czy nie zechciałby w drodze jeszcze przejrzeć gramatyki i czy dobrze się czuje. Hans dawał krótkie, zgryźliwe odpowiedzi, jadł mało i wkrótce powiedział dobranoc.

— Dobranoc, Hans. Wyśpij się porządnie. Jutro obudzę cię o szóstej. Czy nie zapomniałeś aby leksykona?

– Nie, nie zapomniałem “leksykona”. Dobranoc!

W swojej izdebce długo jeszcze siedział po ciemku. Jedynym dobrodziejstwem tej całej historii z egzaminem był własny mały pokój, gdzie mógł być wreszcie panem samego siebie i gdzie mu nie przeszkadzano. Tutaj prześlęczał walcząc ze zmęczeniem, sennością i bólem głowy długie wieczory nad Cezarem, Ksenofontem, podręcznikami gramatyki, słówkami i zadaniami matematycznymi, zawzięty, uparty i ambitny, a często już bliski rozpacz. Ale miał i inne chwile z tym miejscem związane, za które nie oddałby nawet owej utraconej chłopięcej swobody i rozrywek, chwile, kiedy zacierała się granica między snem a rzeczywistością, niezwykle, pełne dumy, upojenia i triumfu, w których marzeniami i tęsknotą wzniósł się ponad szkołę, egzamin i cały otaczający go świat w sferę wyższych istot. Wtedy rodziło się w nim jakieś zuchwałe, błogie przeczucie, że naprawdę jest czymś innym i lepszym niż jego pucołowaci, poczciwi koledzy i że kiedyś będzie mógł spoglądać na nich z góry, z odległych wyżyn. I teraz odetchnął swobodniej, jak gdyby powietrze tu, w tej izdebce, było lżejsze i świeższe; usiadł na łóżku i przedrzemał kilka godzin, pogrążony w marzeniach, pragnieniach i przeczuciach. Wolno opadły jasne powieki na duże, przemęczone oczy, podniosły się jeszcze raz, zamrugały i opadły znowu. Błada twarzyczka chłopięca osunęła się na chude ramię, cienkie ręce wyciągnęły się znużonym ruchem. Zasnął w ubraniu, a cicha, macierzyńska dłoń snu uciszyła fale w burzliwym sercu dziecka i wygładziła pełne uroku czoło.

Tego nikt nie oczekiwał! Co za wydarzenie! Pan rektor sam mimo wczesnej godziny pofatygował się na dworzec! Papa Giebenrath, nabity w czarny tużurek, nie mógł ustać w miejscu ze zdenerwowania, radości i dumy. Dreptał nerwowo dokoła rektora i Hansa, przyjmując w imieniu własnym i syna życzenia szczęśliwej podróży i pomyślnego egzaminu. Życzenia składał zawiadowca stacji oraz wszyscy miejscowi funkcjonariusze kolei, a Giebenrath przekładał raz po raz swój podróżny kuferek z prawej ręki do lewej, ściskając kurczowo parasol to pod pachą, to między kolanami. Kilkakrotnie upuścił go i wówczas odstawiał za każdym razem walizkę, aby móc go podnieść. Można było sądzić, że wyjeżdża do Ameryki, a nie za powrotnym biletem do Stuttgartu. Chłopiec natomiast był na pozór zupełnie spokojny, ale jakiś ukryty lęk ścisnął go za gardło.

Pociąg wtoczył się na peron i stanął. Wsiadli, rektor pokiwał ręką, ojciec zapalił cygaro, miasto i rzeka znikły w dolinie. Podróż była męką dla nich obu.

W Stuttgarcie ojciec ożywił się nagle, stał się wesoły, uśmiechnięty, światowy. Ogarnęło go błogie uczucie mieszkańca prowincji, który na kilka dni przyjechał do stolicy. Hans zaś stał się jeszcze cichszy i bardziej wylęknięty. Na widok miasta poczuł głębokie przygnębienie. Nieznajome twarze, nieprzystępne, wysokie, pompatyczne domy, długie, męczące ulice, tramwaje konne i hałas onieśmiały go. Zajechali do jednej z ciotek, gdzie obce pokoje, uprzejmość i rozmowność krewnej, długie bezcelowe przesiadywanie i ustawiczne dodawanie otuchy przez ojca dobiły chłopca do reszty. Obcy i nieswój nie mógł sobie znaleźć miejsca w pokoju, a gdy patrzył na niezwykle otoczenie, na ciotkę i jej miejski ubiór, na tapetę w duże kwiaty, na stojący zegar i obrazy na ścianach lub wyglądał przez okno na gwarną ulicę, czuł się zupełnie zagubiony i samotny. Zdawało mu się, że minęły już wieki, odkąd wyjechał z domu, i że zapomniał wszystkiego, czego się z takim trudem nauczył.

Po południu chciał raz jeszcze powtórzyć greckie rodzajniki, ale ciocia zaproponowała przechadzkę. Przez sekundę zobaczył Hans oczyma duszy świeżą zielenią łąk i usłyszał szum lasu, toteż przystał na tę propozycję z radością. Ale rychło spostrzegł, że nawet spacer w dużym mieście jest innego rodzaju przyjemnością niż w małym miasteczku.

Poszedł sam z ciotką, ponieważ ojciec składał wizyty znajomym. Już na schodach rozpoczęły się pierwsze niedole. Na pierwszym piętrze spotkali jakąś otyłą damę o nieprzystępnym wyglądzie, przed którą ciotka dygnęła, a która z miejsca z wielką elokwencją zaczęła coś mówić. Ten postój trwał przeszło kwadrans. Hans stał obok, przyciśnięty do poręczy schodów, obwąchiwany i obszczekiwany przez pieską damy, pojmując niewyraźnie, że i o nim mowa, bo nieznajoma jejmość raz po raz mierzyła go od stóp do głów przenikliwym, poprzez binokle rzucanym spojrzeniem. Zaledwie wyszli na ulicę, ciotka wstąpiła do sklepu i dobrą chwilę trwało, zanim stamtąd wyszła. Hans tymczasem stał onieśmielony na ulicy, potrącany przez przechodniów i wyśmiewany przez uliczników. Ciotka wróciła z tabliczką czekolady, którą wręczyła Hansowi. Podziękował grzecznie, chociaż czekolady nie lubił. Na najbliższym rogu wsiadli do konnego tramwaju i teraz rozpoczęła się jazda niekończącymi się ulicami w ścisaku i wśród nieustannego brzęku dzwonka. Wreszcie dojechali do dużej alei i parku. Była tam fontanna, kwitły ogrodzone rabatki, a w małej sztucznej sadzawce pływały złote rybki. Przechadzali się więc, raz tam i z

powrotem, to znowu w kółko, w tłumie innych spacerowiczów, wśród mnóstwa twarzy, mnóstwa sukien więcej lub mniej eleganckich, rowerów, foteli na kółkach i wózków dziecinnych, słuchając gwaru rozmów i oddychając ciepłym, pełnym kurzu powietrzem. W końcu zajęli miejsce na ławce obok innych ludzi. Ciotka mówiła niemal przez cały czas. Teraz westchnęła, uśmiechnęła się serdecznie do chłopca prosząc usilnie, aby zjadł czekoladę. Nie chciał.

— Dajże spokój, chyba się nie krępujesz? Ależ jedźże, jedź!

Wyjął tedy tabliczkę czekolady, szamotał się chwilę ze staniolem i odgryzł wreszcie maleńki kawałeczek. Nie znosił czekolady, ale nie śmiał tego ciotce powiedzieć. Gdy jeszcze ssał i dławił się tym kęskiem, ciotka spostrzegła znajomego w tłumie i zerwała się z ławki.

— Posiedź tu, ja zaraz wrócę.

Hans z westchnieniem ulgi skorzystał ze sposobności i cisnął czekoladę daleko na trawnik. Potem gapiąc się na tłum machał rytmicznie nogami i czuł się bardzo nieszczęśliwy. W końcu zaczął znowu przepowiadać sobie czasowniki nieregularne, ale ku swojemu śmiertelnemu przerażeniu już prawie nic nie umiał. Po prostu wszystko zapomniał! A jutro egzamin!

Ciotka wróciła. Dowiedziała się tymczasem, że w tym roku przystępuje do egzaminu krajowego stu osiemnastu kandydatów. Ale tylko trzydziestu sześciu może być przyjętych. Wtedy chłopcu serce całkiem uciekło w pięty i przez całą drogę powrotną nie odezwał się ani słowem. W domu rozbolała go głowa. Znowu nie chciał jeść i wyglądał tak nieszczęśliwie, że ojciec nawymyślał mu porządnie, a nawet ciotka uznała go za nieznośnego chłopca. W nocy spał ciężkim i głębokim snem, gnębiony strasznymi koszmarami. Widział siebie wraz ze stu siedemnastoma kandydatami na egzaminie. Egzaminator był podobny raz do pastora, to znów do ciotki i piętrzył przed nim góry czekolady, którą miał zjeść. Biorąc ją do ust wśród łez widział, że inni, jeden po drugim, wstają i znikają w jakichś małych drzwiczkach. Każdy z nich zjadł swoją górę, ale jego rosła i rosła w oczach i poprzez stół i ławkę groźnie zbliżała się ku niemu chcąc go zadusić.

Nazajutrz rano, kiedy Hans pił kawę nie spuszczał oka z zegarka, aby tylko nie spóźnić się na egzamin, w jego rodzinnym miasteczku wspominało go wielu ludzi. Przede wszystkim pamiętał o nim szewc Flaig. Podczas pacierza przed ranną polewką, kiedy rodzina wraz z czeladnikami i dwoma terminatorami otoczyła kołem stół, majster dodał dzisiaj do zwykłej porannej modlitwy te słowa:

— O Panie, wyciągnij swą opiekuńczą dłoń także nad głową ucznia, Hansa Giebenratha, który dziś przystępuje do egzaminu. Pobłogosław mu, pokrzep go i spraw, aby stał się kiedyś uczciwym i dzielnym głosicielem Twojego boskiego imienia!

Pastor wprawdzie nie modlił się za niego, ale przy śniadaniu powiedział do żony:

— Teraz mały Giebenracik staje do egzaminu. Z niego będą kiedyś ludzie; zwróci jeszcze uwagę na siebie, a wtedy nie wyjdzie mi to na złe, że mu pomogłem w łacinie.

Gospodarz klasy przed rozpoczęciem lekcji rzekł do uczniów:

— W tej chwili rozpoczyna się w Stuttgarcie egzamin krajowy, życzymy więc Giebenrathowi dużo szczęścia. Co prawda, obejdzie się bez tego, bo sam zakasuje z dziesięciu takich leniuchów jak wy.

Także i większość uczniów myślała o nieobecnym, zwłaszcza ci, którzy porobili zakłady na temat wyniku jego egzaminu.

A że żarliwe modły oraz serdeczna życzliwość bez trudu pokonują duże przestrzenie i działają na odległość, również Hans odczuł, że w domu o nim myślą. Mimo to z bijącym sercem wszedł w towarzystwie ojca na salę egzaminacyjną i słuchając nieśmiało i bojaźliwie wskazówek famulusa rozglądał się po dużej, wypełnionej pobladłymi chłopcami klasie, jak zbrodniarz po izbie tortur. Ale kiedy nadszedł profesor i nakazawszy ciszę podyktował tekst łacińskiego ćwiczenia stylistycznego, Hans odetchnął z ulgą, znajdując je śmiesznie łatwym. Szybko i niemal z uśmiechem na ustach napisał swój brulion, następnie przepisał go wolno i starannie na czysto i był jednym z pierwszych, którzy oddali swą pracę. Wprawdzie zgubił potem drogę do domu ciotki i w męczącym upale błąkał się dwie godziny po ulicach miasta, ale nie zakłóciło to w żadnym stopniu jego odzyskanej równowagi. Był nawet rad, że jeszcze na chwilę wymknął się ciotce i ojcu i w tej wędrownicy po obcych, hałaśliwych ulicach stołecznych czuł się śmiałym poszukiwaczem przygód. Kiedy wreszcie z trudem dopytał się drogi i wrócił do domu, zarzucono go pytaniami.

— Jak tam było? Jak się udało? Dałeś sobie radę z zadaniem?

— Nie było trudne — powiedział z dumą — potrafiłbym to przetłumaczyć już w piątej klasie.

I zjadł obiad z rzetelnym apetytem.

Popołudnie miał wolne. Ojciec zawłókł go do kilku znajomych i przyjaciół. U jednego z nich zastali nieśmiałego chłopca w czarnym ubraniu, który przyjechał z

Göppingen również na egzamin krajowy. Chłopcy zdani na swe towarzystwo przyglądali się sobie ciekawie spod oka.

— Co powiesz o zadaniu z łaciny? Łatwe, prawda? — zapytał Hans.

— Szalenie łatwe. Ale w tym właśnie sęk. W łatwych zadaniach robi się najwięcej błędów. Nie uważa się. A z pewnością były tam ukryte pułapki!

— Tak myślisz?

— Oczywiście. Tacy znów głupi profesorowie nie są.

Hans przestraszył się nieco i zamyślił. Potem zapytał lękliwie:

— Czy masz jeszcze ten tekst?

Tamten przyniósł zeszyt, przejrzeni więc razem całe zadanie słowo po słowie. Chłopak z Göppingen zdawał się być kutym łacinnikiem, w każdym razie użył dwukrotnie terminów gramatycznych, o których Hans w ogóle nie miał pojęcia.

— A co ma być jutro?

— Greka i wypracowanie.

Potem chłopak z Göppingen zapytał, ilu kandydatów przyjechało ze szkoły Hansa.

— Nikt — odpowiedział Hans — tylko ja.

— Ojej, z Göppingen jest nas dwunastu! Wśród nich trzech takich mądrałów, po których spodziewają się, iż znajdą się między pierwszymi. Zeszłego roku prymus był także z Göppingen. Czy pójdziesz do gimnazjum, jak oblejesz?

O tym nigdy jeszcze nie było mowy.

— Nie wiem... Nie, chyba nie.

— Ach tak? Ja w każdym razie będę studiował, nawet jeśli teraz obleję. Wtedy mnie matka wyśle do Ulm.

Hansowi ogromnie to zaimponowało. Również ta dwunastka z Göppingen z trzema mądrałami na czele nappełniła go strachem. Przy nich chyba już nie ma się z czym pokazać.

W domu powtórzył jeszcze raz słówka kończące się na "mi". Łaciny nie bał się zupełnie, czuł się w niej pewny. Ale z greką była dziwna sprawa. Lubił ją, uwielbiał niemal, ale tylko — czytanie. Zwłaszcza Ksenofont pisał tak pięknie, tak żywo i świeżo, wszystko u niego brzmiało swobodnie, dźwięcznie i wyraziście i miało niezrównaną potoczystość, a przy tym było łatwo zrozumiałe. Ale gdy zabierał się do gramatyki albo gdy trzeba było z niemieckiego tłumaczyć na grecki, czuł się zagubiony w labiryncie kłócących się ze sobą reguł i form, a obca mowa przerażała go i onieśmiałała niemal



tak samo jak swego czasu na pierwszej lekcji, kiedy nie znał jeszcze nawet greckiego alfabetu.

Nazajutrz rzeczywiście nadeszła kolej na grekę, a potem i niemieckie wypracowanie. Zadanie z greki było dość długie i wcale niełatwe, a temat wypracowania niemieckiego także był trudny i mógł być rozmaicie rozumiany. O dziesiątej zrobiło się na sali gorąco i duszno. Hans nie miał dobrej stałówki i zmarnował dwa arkusze papieru, zanim przepisał greckie zadanie na czysto. Przy wypracowaniu niemieckim znalazł się w nie lada opałach: pewien zuchwały chłopak siedzący obok podsunął mu kartkę z jakimś pytaniem i poszturchując naglił do odpowiedzi. Rozmowy z sąsiadami w ławce były jak najsurowiej zabronione i nieubłagane pociągały za sobą wykluczenie z egzaminu. Drżąc ze strachu Hans napisał na kartce: "Daj mi spokój", i odwrócił się plecami do natręta. Upał był nie do zniesienia. Nawet nadzorujący profesor, który wytrwale miarowymi krokami obchodził całą salę nie spoczywając ani na chwilę, kilka razy przetaił chustką twarz. Hans pocił się w swym grubym ubraniu od konfirmacji; rozboleła go głowa i w końcu całkiem nieszczęśliwy oddał swoje arkusze w przeświadczeniu, że pełno w nich błędów i że pewnie teraz z egzaminem już koniec.

Podczas obiadu milczał uparcie, wzruszając w odpowiedzi na wszystkie pytania ramionami. Ciotka pocieszała go, ale ojciec rozgniewał się nie na żarty, po obiedzie zabrał chłopca do pokoju obok i próbował jeszcze raz pociągnąć go za język.

— Żle poszło — powiedział Hans.

— Czemu nie uważałeś? Przecież można się trochę wziąć w garść, do diabła!

Hans milczał, a kiedy ojciec zaczął wymyślać, poczerwieniał i rzekł:

— Przecież ty się nie znasz na grece!

Najgorsze było to, że o drugiej musiał iść na egzamin ustny. To go przerażało najbardziej. W drodze na rozprażonej, dusznej ulicy zrobiło mu się całkiem niedobrze, a wzrok mącił mu się z bólu, strachu i zawrotów głowy.

Najpierw dziesięć minut siedział przy dużym, zielonym stole, przed trzema panami, tłumaczył zdania z łaciny i odpowiadał na pytania. Następnie siedział dziesięć minut przed trzema innymi panami, tłumaczył z greckiego i znowu pytano go o rozmaite rzeczy. W końcu panowie chcieli, żeby im przytoczył przykład aorystu nieregularnego, na co nie odpowiedział.

Powiedzieli więc:

— Może pan odejść. Tamtymi drzwiami na prawo. Skierował w tę stronę kroki, ale w tymże momencie przypomniał mu się ów aoryst. Zatrzymał się w drzwiach.

— Może pan odejść — zawołano doń — może pan odejść! Co się stało? Czy panu słabo?

— Nie, ale przypomniałem sobie aoryst!

Krzyknął odpowiedź w głąb pokoju, zdążył jeszcze zauważyć, że jeden z panów się roześmiał, i już wypadł na ulicę z rozpaloną głową. Potem usiłował sobie przypomnieć pytania i swoje odpowiedzi, ale wszystko mu się płało. Bez przerwy miał przed oczami dużą zieloną płaszczyznę stołu, trzech starszych, poważnych panów w surdutach, rozwartą książkę i leżącą na niej swoją drżącą dłoń. O nieba, jakie on też mógł dawać odpowiedzi?

Gdy szedł ulicami, zdawało mu się, że przebywa tu od tygodni i nigdy już się stąd nie wyrwie. Jak coś bardzo odległego, widzianego w dawnych czasach, jawił mu się obraz ojcowskiego ogrodu, granatowe góry porośnięte jodłami, rzeka, gdzie łowił ryby. Och, gdyby jeszcze dziś mógł wrócić do domu! I tak już nie było sensu zostawać tutaj, na pewno oblał.

Kupił sobie bułkę i wałęsał się całe popołudnie po ulicach, aby tylko odwlec rozmowę z ojcem. W domu lękano się już o niego, a ponieważ wyglądał mizernie i cierpiąco, dano mu zupy z żółtkami i posłano do łóżka. Nazajutrz miały być rachunki i religia, po czym mógł wrócić do rodzinnego miasteczka.

Następnego dnia powiodło mu się zupełnie dobrze. Hans odczuł jako gorzką ironię fakt, że mu się dzisiaj wszystko udawało po wczorajszych niepowodzeniach w głównych przedmiotach. Ach, ostatecznie wszystko jedno — tylko uciekać już stąd, uciekać do domu!

— Już po egzaminie, możemy wracać — oznajmił ciotce.

Ojciec chciał jeszcze na jeden dzień zostać w mieście. Mieli pojechać do Cannstatt, na podwieczorek w parku zdrojowym. Jednak na gorące prośby Hansa ojciec wyraził wreszcie zgodę, aby Hans sam już dziś wyjechał. Odprowadzono go na dworzec. Otrzymał bilet, a od ciotki pocałunek i coś niecoś do zjedzenia na drogę i jechał teraz wyczerpany, wyjałowiony z wszelkiej myśli przez zielony pagórkowaty kraj w stronę domu. Dopiero na widok granatowoczarnych gór jodłowych uczucie radości i wyzwolenia spłynęło na chłopca. Cieszył się, że zobaczy starą służącą, swoją izdebkę, rektora, niską, dobrze znaną klasę i w ogóle wszystko.

Szczęśliwie na stacji nie było żadnych znajomych, mógł więc nie spostrzeżony pośpieszyć ze swoją paczuszką do domu.

— No jakże, ładnie tam było w Stuttgarcie? — zapytała stara Anna.

— Ładnie? Co ty myślisz, że egzamin to coś ładnego? Cieszę się, że znowu jestem w domu. Ojciec wraca dopiero jutro.

Wypił kubek świeżego mleka, ściągnął kąpielówki wiszące przed oknem i wybiegł. Ale nie poszedł na łąkę, gdzie wszyscy zwykli się kąpać, lecz daleko za miasto, do "Wagi", gdzie woda głęboka i spokojna przepływa między wysokimi zaroślami. Tam rozebrał się, po czym ostrożnie spróbował ręką, a potem i nogą chłodną wodę, wzdrygnął się z lekka i skoczył szybko do rzeki. Płynąc wolno pod nikły prąd czuł, jak zostaje obmyty z potu i strachu ostatnich dni, a kiedy rzeka orzeźwiająco uściskiem obejmowała jego wątłe ciało, dusza z nową rozkoszą chłonęła piękno rodzinnych stron. Popłynął szybciej, odpoczął, znowu płynął, objęty błogim chłodem i znużeniem. Leżąc na plecach poddał się prądowi, wsłuchiwał się w delikatne bzykanie komarów tańczących w złocistych kręgach i przyglądał się wieczornemu niebu, przecinanemu lotem małych, szybkich jaskółek i różowo rozświetlonemu słońcem, ukrytym już za górami. Kiedy włożył znowu ubranie i rozmarzony szedł do domu, dolinę zaległy cienie.

Minął ogród handlarza Sackmanna, gdzie będąc jeszcze całkiem małym chłopakiem kradł kiedyś z kilkoma kolegami niedojrzałe śliwki. I podwórze cieśli Kirchnera, gdzie wały się białe belki jodłowe, pod którymi dawniej zawsze znajdował dżdżownice na przynętę. Przeszedł również koło domku inspektora Gesslera, którego córce Emmie byłby tak chętnie asystował na ślizgawce dwa lata temu. Była najzgrabniejszą i najelegantszą uczennicą w mieście i miała tyle samo lat co on. Przez jakiś czas przed owymi dwoma laty niczego tak nie pragnął, jak porozmawiać z nią kiedyś albo ścisnąć jej rękę. Nigdy do tego nie doszło. Był zbyt nieśmiały. Potem wysłano ją na pensję, a teraz już nawet nie pamiętał, jak ona wygląda. Lecz właśnie dziś przypomniały mu się te chłopięce sprawy jak coś bardzo odległego, a miały tak mocne barwy i tak dziwnie niepokojący zapach, że nic z dotychczasowych przeżyć nie mogło się z nimi równać. Były to czasy, kiedy to siadywało się jeszcze wieczorami w bramie u Lizy od Nascholdów, obierało się ziemniaki i słuchało opowiadań; kiedy się szło w niedzielę wczesnym rankiem z podkasanymi spodniami i nieczystym sumieniem na raki pod dolny jaz albo na pstrągi, aby potem w przemoczonym odświętnym ubraniu dostać w skórę od ojca!

Tyle było wtedy zagadkowych i dziwnych spraw, tylu ludzi, o których obecnie już dawno nie myślał! Szewczyzna z krzywą szyją, Strohmayer, o którym ludzie wiedzieli na pewno, że otruł swoją żonę, i tajemniczy "pan Beck", włączający się o kiju i z torbą po całej okolicy, do którego mówiono "pan", ponieważ dawniej był zamożnym człowiekiem i posiadał czwórkę koni wraz z powozem. Hans nie pamiętał już nic prócz nazwisk i czuł niejasno, że utracił cały ten ciasny, małomiasteczkowy światek, nie zyskując w zamian nic, co byłoby żywe i godne przeżycia.

Ponieważ następny dzień miał jeszcze wolny, spał długo, zażywając wolności. W południe poszedł na stację po ojca, który wrócił tryskający radością stołecznych uciech.

— Jeśli zdałeś, spełnię jakieś twoje życzenie — powiedział do Hansa w przystępie dobrego humoru. — Pomyśl no chwilę!

— Nie, nie — westchnął chłopak — na pewno nie zdałem.

— Głupstwa pleciesz, jeszcze by też! Lepiej powiedz, czego chcesz, zanim pożałuję!

— Chciałbym podczas wakacji znowu chodzić na ryby. Czy pozwolisz?

— Dobrze, pozwolę, jeśliś zdał egzamin.

Na drugi dzień, w niedzielę, przyszła burza i gwałtowna ulewa i Hans spędził długie godziny w swojej izdebce na czytaniu i rozmyślaniu. Przemyślał jeszcze raz dokładnie swoje odpowiedzi w Stuttgarcie i dochodził niezmiennie do tego samego wniosku, że miał wybitnego pecha i że mógł być napisać o wiele lepsze wypracowania. Na pewno były zbyt słabe, aby zdecydowały o pomyślnym wyniku. Ten głupi ból głowy! Zwolna przytłoczył go rosnący lęk i wreszcie ciężka troska przygnała go do ojca.

— Ojczy!

— Czego chcesz?

— Chciałem o coś zapytać. Z powodu tego życzenia. Wiesz, wolę jednak nie chodzić na ryby.

— Tak? A dlaczegóż to znowu?

— Bo ja... Ach, chciałem zapytać, czy mógłbym...

— Wygadajże się wreszcie! Co to za komedie! A więc o co ci idzie?

— Czy mogę pójść do gimnazjum, jeśli nie zdałem.

Pan Giebenrath oniemiał.

— Co? Do gimnazjum? — wybuchnął wreszcie. — Ty do gimnazjum? Kto ci tym głowę nabił?

— Nikt. Tak tylko myślałem.

Na jego twarzy widniał śmiertelny lęk. Ojciec nie dostrzegał tego.

— Idźże, idźże — powiedział śmiejąc się zirytowany. — Też mi zachcianki! Do gimnazjum! Pewnie myślisz, że masz bogatego ojca. — Wymachiwał rękami tak gwałtownie, że Hans dał za wygraną i zrozpaczony wyszedł.

— Co to za chłopak! — zrzędził ojciec w ślad za nim. — Jeszcze by też! Gimnazjum mu się zachciewa! A jakże! Grubo się mylisz!

Hans przesiedział pół godziny na parapecie okiennym, gapiąc się na świeżo wyszorowaną podłogę, i usiłował sobie wyobrazić, jak to będzie, jeśli rzeczywiście nie wyniknie z seminarium, gimnazjum i w ogóle całego uczenia się. Poślą go wówczas na naukę do sklepiku czy jakiegoś biura i całe życie będzie jednym z tych zwyczajnych, pospolitych ludzi, którymi gardził i ponad których chciał się za wszelką cenę wznieść. Jego ładną, inteligentną twarz wykrzywił grymas gniewu i żalu. Zerwał się ze złością, splunął, chwycił leżące pod ręką wypisy łacińskie i cisnął książką z całych sił o najbliższą ścianę. Potem wybiegł na deszcz.

W poniedziałek rano poszedł znowu do szkoły.

— Co słyhać? — zapytał rektor podając mu rękę. — Sądziłem, że już wczoraj do mnie przyjdiesz. Jakże egzamin?

Hans opuścił głowę.

— No co? Źle ci poszło?

— Chyba tak.

— Cierpliwości! — pocieszył go staruszek. — Przypuszczalnie jeszcze dziś przed południem przyjdzie opinia ze Stuttgartu.

Godziny przedpołudniowe dłużyły się okropnie. Opinia nie nadeszła i przy obiedzie Hans nie mógł prawie nic przelknąć dławiony wewnętrznym szlochem.

Gdy po obiedzie o drugiej wszedł do klasy, profesor już tam był.

— Hans Giebenrath! — zawołał głośno.

Hans wystąpił. Wychowawca podał mu rękę. — Winszuję ci, Giebenrath. Zdałeś egzamin krajowy jako drugi z kolei.

Nastała uroczysta cisza. Drzwi otworzyły się i wszedł rektor.

— Gratuluję. No i co ty na to?

Chłopak wprost osłupiał ze zdumienia i radości.

— Cóż, nic nie powiesz?

— Gdybym to wiedział — wyrwało mu się — mógłbym nawet zostać prymusem!

— Teraz idź do domu — powiedział rektor — i oznajmij o tym ojcu. Do szkoły już nie potrzebujesz chodzić. I tak za osiem dni rozpoczynają się wakacje.

Zataczając się wyszedł chłopak na ulicę. Zobaczył lipy i rynek w słońcu, wszystko niby takie jak zawsze, wszystko jednak piękniejsze, pełne jakiejś innej wymowy i bardziej radosne. Zdał! I był drugim! Gdy pierwsza burza radości minęła, przepełniło go gorące uczucie wdzięczności. Teraz nie potrzebował już unikać pastora. Teraz mógł studiować! Teraz już nie musiał obawiać się sklepu ani biura!

I mógł teraz chodzić znowu na ryby. Ojciec stał właśnie w bramie, kiedy wracał.

— Co słychać? — rzucił pytanie.

— Niewiele. Wypisano mnie ze szkoły.

— Co takiego? Dlaczego?

— Bo jestem seminarzystą.

— Tam do licha, czy zdałeś?

Hans przytaknął głową.

— Dobrze?

— Byłem drugi.

Tego się jednak stary nie spodziewał. Brakło mu słów. Wciąż tylko klepał syna po ramieniu, śmiejąc się i potrząsając głową. Potem otworzył usta, żeby coś powiedzieć. Ale nie powiedział nic, tylko znowu potrząsnął głową.

— Do licha! — zawołał wreszcie. I jeszcze raz: — Do licha!

Hans wpadł do domu, po schodach na strych, szybko otworzył szafkę ścienną w pustej mansardzie, poszperał w niej i wyciągnął rozmaite pudełka, pozwijane sznurki i korki. Były to jego przybory wędkarskie. Teraz musi sobie przede wszystkim przyciąć ładną wędkę. Zszedł na dół do ojca.

— Papo, pożycz mi scyzoryka!

— Po co?

— Muszę uciąć witkę na ryby.

Ojciec sięgnął do kieszeni.

— Masz tu dwie marki — powiedział rozpromieniony i wspaniałomyślny. — Możesz sobie kupić własny scyzoryk. Ale nie idź do Hanfrieda, tylko do szlifierni.

Teraz wszystko szło galopem. Szlifierz zapytał o egzamin, dowiedział się wesołej nowiny i sprzedał specjalnie dobry scyzoryk. W dole rzeki, poniżej mostu,

rosły piękne, smukłe olchy i leszczyny. Tu po długim wybieraniu chłopiec wyciął sobie nieskazitelną, giętką witkę i pobiegł z nią do domu.

Z zarumienionymi policzkami i błyszczącymi oczyma zabrał się do przygotowywania wędki, co lubił niemalże na równi z samym łowieniem. Przesiedział nad nią całe popołudnie i wieczór. Białe, brązowe i zielone sznury zostały posegregowane, dokładnie przejrzone, powiązane i rozplatanie z niejednego starego supła. Wypróbował i strugał od nowa kawałki korków i dutki piór wszelkiego rodzaju, kształtów i wielkości, wyklepywał ołowiane ciężarki rozmaitej wagi i nacinał na nich karby. Potem przyszła kolej na haczyki, których miał jeszcze mały zapas. Przymocowywał je na poczwórnych czarnych nitkach, to na resztkę struny, to wreszcie na linkach skręconych z włosia. Pod wieczór wszystko było gotowe, a Hans miał teraz pewność, że podczas długich siedmiu tygodni wakacji nie będzie skazany na nudę, ponieważ z wędką mógł spędzać całe dni sam nad wodą.

## ***Rozdział drugi***

Takie powinny być wakacje! Nad górami niebo błękitne jak gencjana, przez długie tygodnie jeden za drugim promiennie gorące dni, czasami tylko gwałtowna, krótka burza. Rzeka pomimo swej długiej, ocienionej jodłami drogi poprzez skały piaskowe i wąskie doliny tak się ogrzała, że jeszcze późnym wieczorem można się było w niej kąpać. Naokoło miasteczka unosił się zapach siana, wąskie pasma nielicznych pól były żółte i złotobrunatne, nad wodami potoku bujały na wysokość człowieka podobne do cykuty rośliny, których białe, parasolowate kwiatki oblepione były stale przez żuki i z których pustych łodyg można było wycinać puszczalki i fujarki. Brzegi lasów zdobiły długimi rzędami puszyste, majestatyczne dziewanny; krwawnica i wierzbówka kołysały się wysmukle na giętkich łodygach pokrywając całe zbocza gorącym fioletem.

Wewnątrz lasu stała pod jodłami czerwona naparstnica, poważna, wysoka i jakby obca w tym otoczeniu, rozłożywszy u samego korzenia szerokie, wełniste liście i wysoko wzniosłszy na mocnej łodydze piękne kielichy kwiatów.

Wszędzie mnogość grzybów: błyszczący muchomor, jędrny, przysadzisty borowik, awanturniczy kozłak, koralowa, szeroko rozgałęziona kozia bródka i dziwnie bezbarwna, chorobliwie otyła korzeniówka.

Na łąkach między lasem a łąką kwitł płomiennie żółty, uparty janowiec, potem czerwieniały liliowe wstęgi wrzosu, a wreszcie słały się same łąki, czekając już drugich sianokosów, mieniając się barwnie rzezuchą, firletką, szałwią i driakwią.

W liściastym lesie śpiewały bez przerwy zięby, po wierzchołkach jodeł skakały rude wiewiórki, na miedzach, murach i w wyschniętych rowach dyszały lśniące, zielone jaszczurki, rozkoszując się ciepłem, a ponad łąkami brzmiały wysoko nieznużone chóry koników polnych.

Miasto miało w tej porze roku wygląd bardzo sielski. Ulice pełne były wozów drabiniastych, a powietrze zapachu siana i odgłosu klepania kos; gdyby nie dwie fabryki, można by sądzić, że jest się na wsi.

Rankiem pierwszego dnia wakacji Hans niecierpliwił się już w kuchni i czekał na kawę, zanim stara Anna zdążyła wstać. Pomagał rozpalić ogień, przyniósł chleb od piekarza, wypił duszkiem szybko ostudzoną świeżym mlekiem kawę, wetknął chleb do kieszeni i wybiegł. Przy nasypie kolejowym zatrzymał się, wyjął z kieszeni spodni



okrągłą blaszaną puszkę i zaczął gorliwie łapać koniki polne. Pociąg przejechał — nie jak wicher, tor bowiem wznosi się tu stromo, lecz wolniuteńko z pootwieranymi oknami i nielicznymi pasażerami, zostawiając za sobą długą, wesołą wstążeczkę dymu i pary. Patrzył za nią i obserwował, jak białawy dym rozpląwał się, by wkrótce zniknąć w słonecznych, czystych przestworzach poranka. Jakże dawno tego wszystkiego nie widział! Oddychał głęboko, jak gdyby chcąc w dwójnasób nadrobić stracony piękny czas i jeszcze raz być prawdziwie swobodnym i beztróskim małym chłopcem.

Serce biło mu z tajonej radości i łowieckiego podniecenia, gdy z puszką koników polnych i nową wędką szedł przez most, a potem tyłami ogrodów do Kobylego Baniora, najgłębszego miejsca rzeki. Było tam miejsce, gdzie oparłszy się o pień wierzby można było łowić wygodnie i spokojniej niż gdziekolwiek indziej. Odwinął linkę, przymocował do niej małe ziarenko śrutu, nabił bez litości tłustego konika polnego na haczyk i zarzucił wędkę z rozmachem na środek rzeki. Rozpoczęła się stara, dobrze znana zabawa: małe ukleje cisnęły się gromadnie dokoła przynęty i próbowały ją ściągnąć z haczyka. Wkrótce objadły ją doszczętnie. Na haczyk powędrował drugi z kolei konik polny i jeszcze jeden, a potem czwarty i piąty. Nadziewał je coraz ostrożniej, w końcu obciążył linkę drugim ciężarkiem i teraz pierwsza porządna ryba spróbowała jeszcze raz. Teraz chwyciła na dobre — prawdziwy wędkarz wyczuje palcami poprzez linkę i wędzisko owo osobliwe szarpanie! Hans poderwał na próbę i zaczął bardzo ostrożnie ciągnąć. Ryba trzymała, a gdy ukazała się na powierzchni, poznał płocia. Łatwo go odróżnić po szerokim, białozółtym i lśniącym ciele, trójkątnym łbie, a zwłaszcza po ładnej cielisto-czerwonej nasadzie płetw pod brzuchem. Ileż też mógł ważyć? Ale zanim Hans zdążył ocenić wagę, ryba szarpnęła się rozpaczliwie, zatrzepotała ponad powierzchnią wody i uciekła. Widać ją było jeszcze, jak kilkakrotnie obróciła się w wodzie, po czym zniknęła w głębinie jak srebrna błyskawica. Źle chwyciła.

W wędkarzu zbudziło się teraz podniecenie i namiętna uwaga myśliwska. Wzrok jego śledził bystro i nieprzerwanie cienką, brązową linkę w miejscu, gdzie stykała się z wodą, policzki zarumieniły się, ruchy stały się oszczędne, szybkie i pewne. Drugi płoc chwycił i Hans wyciągnął go, następnie mary karp, którego było niemal szkoda, potem pod rząd trzy lipienie. Ucieszył się szczególnie lipieniami, ponieważ ojciec chętnie je jadał. Są tłuste, pokryte drobną łuską, o dużym łbie z zabawną białą brodą i mają małe oczy i bardzo wydłużony ogon. Zabarwione zielonkawobrunatnie mieniają się stalowym błękitem, gdy znajdują się poza wodą.

Tymczasem słońce wspięło się wysoko, piana na górnym jazie jaśniała śnieżną bielą, ciepłe powietrze drgało nad wodą, a wznosząc w górę oczy nad Muckbergiem można było zobaczyć kilka oślepiających obłoków wielkości dłoni. Nic tak nie wyraża ciepła pogodnego dnia w pełni lata jak tych kilka spokojnych, małych obłoków, które ciche i białe stoją w błękicie, a są tak napełnione i przepojone światłem, że nie można się długo w nie wpatrywać. Bez nich człowiek często nawet by nie spostrzegł, jak jest gorąco. Nie błękit nieba i nie lśnienie lustra wody, ale widok tych kilku pienistobiałych, skłębionych żeglarzy południa daje nagle odczuć człowiekowi, jak słońce piecze, tak iż szuka wówczas cienia i ociera dłonią wilgotne czoło.

Hans teraz mniej pilnie uważał na wędkę. Był nieco zmęczony, wiedział zresztą, że koło południa ryby nie biorą. Jelce, nawet najstarsze i największe, podchodzą o tej porze w górę, aby wygrzewać się w słońcu. Płyną rozmarzone dużymi, ciemnymi ławicami pod prąd, tuż pod powierzchnią wody, płosząc się niekiedy nagle bez widocznej przyczyny. Nie znęci ich już żadna wędka.

Przerzucił linkę przez gałązkę wierzby do wody, a sam usiadł na ziemi i spoglądał na zieloną rzekę. Ryby podpływały zwolna pod powierzchnię, jeden po drugim ukazywały się ich ciemne grzbiety — ciche, wolno płynące rotty, zwabione i oczarowane ciepłem. Tym to dobrze w nagrzonej rzece! Hans zdjął buty i zanurzył stopy w wodzie, która była całkiem letnia. Przyjrzał się złowionym rybom, pływającym w dużej konewce i pluskającym tylko cicho od czasu do czasu. Jakie piękne!. Biel, brąz, zieleń, srebro, zmatowiałe złoto, szafir i inne barwy rozbłyskiwały za każdym poruszeniem na łuskach i płetwach.

Było bardzo cicho. Hałas przejeżdżających po moście wozów i turkot młyna ledwie tu docierały. Jedyne nieustanny, łagodny, chłodny szum białego jazu dochodził z góry miarowo i sennie i woda ocierała się z lekkim bulgotem o belki tratw.

Greka i łacina, gramatyka i stylistyka, rachunki i wkuwanie na pamięć, cały dręczący zgielek długiego roku bez wytchnienia i spoczynku zatonął milcząco w tej sennej, ciepłej godzinie. Hansa bolała trochę głowa, ale i tak nieco mniej niż zwykle — a zresztą teraz siedział przecież nad rzeką i patrzył, jak piana rozpyła się na jazie, zerkał na wędkę, a obok pływały w konewce uwięzione ryby! Jakie to wspaniałe! Ni stąd, ni zowąd przypomniał sobie, że zdał egzamin krajowy jako drugi, wobec czego plusnął bosymi nogami o wodę, wsadził ręce w kieszenie i zaczął gwizdać jakąś melodię. Prawdę rzekłszy, nie umiał właściwie porządnie gwizdać. Było to jego odwieczne

zmartwienie i chłopaki w szkole dosyć mu z tego powodu nadokuczały! Potrafił tylko przez zęby, i to cichutko. Na użytek domowy w każdym razie starczyło, a teraz przecież nikt go nie słyszał. Koledzy w tej chwili siedzieli w szkole i mieli geografę, tylko on jeden był wolny i swobodny. Przegonił ich i teraz górował nad nimi. Dość go nadręczyli za to, że poza Augustem nie miał przyjaciół i że nie cieszyły go ich bijatyki i zabawy. Tak, teraz oni mogli mu pozazdrościć, te zakute pały. Gardził nimi tak bardzo, że na chwilę nawet przestał gwizdać, aby wykrzywić usta. Potem zwinął linkę i roześmiał się mimo woli, bo też ani odrobiny nie zostało z przynęty na haczyku. Wypuścił resztę koników polnych z puszek. Otumanione i osowiałe wpełzły w krótką trawę. W garbarni obok dzwoniło już na południe. Pora iść na obiad.

Przy stole prawie nie zamieniono słowa.

— Złapałeś co? — zapytał ojciec.

— Pięć sztuk.

— Ejże?! No, uważaj tylko, żebyś starego nie złapał, bo wtedy nie byłoby młodych.

Na tym rozmowa utknęła. Było tak gorąco. Jaka szkoda, że nie wolno kąpać się od razu po jedzeniu.

Właściwie dlaczego? Że to szkodliwe? Też coś! Hans lepiej się na tym znał — chodził niejedną raz mimo zakazu. Ale teraz nie pójdzie, teraz jest już za dorosły na takie wybryki. Wielkie nieba! Toż podczas egzaminów mówiono do niego "pan"!

Ostatecznie wyciągnąć się pod sosną na trawie — to też przyjemność. Cienia jest tam dość i można czytać albo przyglądać się motylom. Poleżał sobie zatem do drugiej i mało brakowało, a byłby usnął. Ale teraz do kąpieli! Na dzikiej plaży było tylko kilku malców; starsi chłopcy siedzieli wszyscy w szkole i Hans czuł z tego powodu serdeczną radość. Nie śpiesząc się zdjął ubranie i wszedł do wody. Rozdzielał sobie umiejętnie przyjemność rozkoszowania się ciepłem i chłodem; to popłynął kawałek nurkując i pluskając, to leżał na brzuchu w trawie czując żar słońca na szybko schnącej skórze. Mali chłopcy krążyli koło niego z respektem. Tak, stał się sławą. I wyglądał też tak odmiennie od innych. Na cienkiej, opalanej szyi ładna głowa osadzona była swobodnie i wytwornie; z myślącej twarzy oczy spoglądały wyniośle. Był bardzo chudy, wąski i delikatny, na piersiach i plecach można było policzyć żebra, a łydek nie miał prawie wcale.

Niemal całe popołudnie spędził między słońcem i wodą. Po czwartej większość kolegów z jego klasy przybiegła z hałasem.

— Ho-ho, Giebenrath! Dobrze ci się teraz dzieje!

Przeciągnął się leniwie.

— Owszem, ujdzie.

— Kiedy jedziesz do seminarium?

— Dopiero we wrześniu. Teraz są wakacje.

Pozwalał, żeby mu zazdrościli. Nie dotknęło go to nawet, kiedy gdzieś za plecami rozległy się kpiny i ktoś zaśpiewał:

*Chciałbym ja tak se żyć*

*Jak wójtowa Lotta.*

*Cały dzień w łóżku gnić,*

*Nie znać, co robota.*

Roześmiał się tylko. Tymczasem chłopcy rozbierali się. Któryś skoczył wprost do wody, inni chłodzili się najpierw przezornie, niektórzy, zanim zaczęli pływać, odpoczywali chwilę na trawie. Jakiś dobry nurek zyskał ogólny podziw. Strachajło wepchnięty znienacka do wody wrzeszczał wniebogłosy, biegali, gonili się wzajemnie i pływali chlapiąc na tych, którzy ociągali się przy brzegu. Powietrze wypełniło się pluskiem i krzykiem, a rzeka na całej szerokości błyszczała od jasnych, mokrych i lśniących ciał.

Po godzinie Hans poszedł. Zbliżały się nagrzane godziny wieczorne, kiedy ryby znowu biorą. Aż do kolacji przesiedział na moście nie złapawszy prawie nic. Ryby rzucały się żarłocznie na wędkę, przynęta znikła jedna po drugiej, ale nic z tego nie wychodziło. Nakładał na haczyki czereśnie, ale widocznie były za duże i za miękkie. Postanowił jeszcze raz spróbować po kolacji.

W domu dowiedział się, że przyszło mnóstwo znajomych z gratulacjami. Pokazano mu również najświeższy tygodnik, gdzie w dziale "urzędowym" widniała notatka:

"Na wstępny egzamin do niższego seminarium teologii wysłało nasze miasto w tym roku tylko jednego kandydata, Hansa Giebenratha. Ku naszej radości dowiadujemy się w tej chwili, że zdał on egzamin jako drugi."

Złożył gazetę i wsadził ją do kieszeni nic nie mówiąc, ale duma i radość po prostu go rozsadzały. Potem wybrał się znowu na ryby.

Tym razem zabrał na przynętę parę kawałeczków sera; ryby lubią ser i dobrze widzą go po ciemku.

Wędkę zostawił w domu i wziął tylko samą linkę. Stał na brzegu trzymając w ręce linkę opatrzoną haczykiem bez wędziska i bez pływaka. Ten sposób łowienia dawał mu najwięcej przyjemności. Było to może nieco mozolniejsze, ale za to jakie zabawne. Wyczuwało się wtedy każde najlżejsze poruszenie i można było po drganiach linki odgadnąć, czy ryby próbują tylko przynęty, czy rzeczywiście biorą, i zdawało się, że widać je wprost jak na dłoni. Oczywiście trzeba się znać na tym sposobie łowienia, trzeba mieć zręczne palce i być czujnym jak szpieg.

W ciemnej, głębokiej i krętej dolinie rzecznej zmierzch zapada wcześniej. Woda stoi czarna i cicha pod mostem, a w dolnym młynie zapalono już światła. Przez mosty i uliczki biegły pogwarki i śpiewy. Powietrze było nieco parne, a z rzeki raz po raz wyskakiwała w górę z krótkim plaśnięciem ciemna ryba. W takie wieczory ryby są dziwnie podniecone, śmigają zygzakami tu i tam, wyskakują w górę, wpadają na linkę rzucając się na oślep na przynętę. Kiedy Hans założył ostatni kawałek sera, miał w konewce cztery niewielkie karpie; postanowił zanieść je jutro pastorowi.

Ciepły wiatr przemknął doliną. Choć pociemniało już prawie zupełnie, niebo było jeszcze jasne. Mroczniejące miasteczko przebijało wysoką jasność czarnymi i ostrymi konturami wieży kościelnej i zamku. Gdzieś daleko musiała być burza. Chwilami dochodziły słabe, bardzo odległe pomruki grzmotu.

Kiedy o dziesiątej Hans położył się do łóżka, czuł dawno nie doznawane znużenie i senność w całym ciele. Miał przed sobą długi szereg pięknych, swobodnych dni letnich, ponętnych i kojących, stworzonych do wałęsania się, kąpania, łowienia ryb, dumania. Tylko to jedno go gnębiło, że nie został prymusem na egzaminie.

Już wczesnym rankiem stał Hans ze swymi rybami w sieni probostwa. Pastor wyszedł z gabinetu.

— O, Hans Giebenrath! Dzień dobry. Winszuję, winszuję z całego serca. A co tu masz?

— Tylko parę karpie. Byłem wczoraj na rybach.

— Ejże, patrzcie państwo! Dziękuję ci, synu. Ale wejdź no do środka.

Hans wszedł do dobrze mu znanego gabinetu. Wnętrze niczym nie przypominało mieszkania duchownego, nie pachniało tu ani kwiatami, ani tytoniem. Zamiast wypłowiałych, wykoślawionych, zbutwiałych i zniszczonych przez mole ksiąg, jakie zwykle widuje się w bibliotekach duchownych, okazały się książki ukazywały

prawie same nowe, błyszczące i połączane grzbiety. Kto się bliżej przypatrzył, poznawał również po tytułach schludnie ustawionych tomów nowego ducha, innego niż ten, który ożywiał staroświeckich, dostojnych kapłanów wymierającego pokolenia. Brakło dzieł Bengla, Oetingera, Steinhofera wraz z nabożnymi autorami śpiewników, owych czcigodnych ozdób plebańskiego księgozbioru, które Möricke tak pięknie opiewa w *Turmhahn*, a może ginęły one w powodzi nowoczesnych dzieł. Wszystko razem współ z tekami na pisma, pulpitem i okazałym biurkiem zarzuconym papierami wyglądało uczenie i poważnie. Odnosiło się wrażenie, że jest to warsztat pracy i nauki. I rzeczywiście pracowano tu wiele, lecz nie tyle nad kazaniami, wykładami katechizmu i Pisma świętego, ile nad badaniami i artykułami do naukowych czasopism oraz nad studiami przygotowawczymi do własnych dzieł. Marzycki mistycyzm i tajemnicze dociekania wygnano z tego miejsca, wygnano również naiwną teologię serca, która lekceważąc otchłanie wiedzy zbliża się z miłością i współczuciem do łaknącej duszy ludu. Zamiast tego uprawiano tu z zapalem krytykę Biblii i poszukiwano "historycznego Chrystusa".

W teologii bowiem dzieje się tak samo jak gdzie indziej. Istnieje teologia, która jest sztuką, i istnieje teologia, która jest nauką albo przynajmniej usiłuje nią być. Od dawien dawna tak było i zawsze naukowcy ciągnąc wino z nowych beczek zapominali o starym, gdy tymczasem artyści, trwając niefrasobliwie przy niejednym błahym błędzie, nieśli pociechę i radość dla wielu. Jest to odwieczna, nierówna walka między krytyką a twórczością, nauką a sztuką, przy czym pierwsza zawsze ma rację nie przynosząc tym nikomu żadnego pożytku, druga zaś stale od nowa rozrzuca nasienie wiary, miłości, pociechy, nasienie piękna i życia wiecznego i zawsze na nowo znajduje podatną glebę. Bowiem życie jest silniejsze od śmierci, a wiara mocniejsza od zwątpienia

Po raz pierwszy Hans siedział na małej skórzanej sofce między pulpitem a oknem. Pastor był niezwykle miły. Opowiadał o seminarium i o tamtejszych warunkach życia i pracy — całkiem po prostu, jak starszy kolega.

— Największą nowością będzie tam dla ciebie — rzekł na zakończenie — zapoznanie się z greką Nowego Testamentu. Otworzy ona przed tobą inny świat, obfitujący w pracę i radość. Z początku przedmiot ten sprawi ci trudności; to już nie attycka greka, lecz nowy, przez nowego ducha stworzony dialekt.

Hans słuchał uważnie i czuł się bliższy prawdziwej nauce.

— Oczywiście szkoła wprowadzając w ten nowy świat — ciągnął pastor dalej — odziera go nieco z jego uroku. Możliwe, że i język hebrajski pochłonie cię zbyt jednostronnie w początkach seminaryjnej nauki. Jeślibyś więc miał ochotę, moglibyśmy podczas wakacji coś niecoś zacząć. W seminarium będziesz potem zadowolony, że zostanie ci więcej czasu i sił na inne przedmioty. Moglibyśmy przeczytać razem kilka rozdziałów Łukasza. Słownik mogę ci pożyczyć. Musiałbyś poświęcić dziennie może z godzinę, a najwyżej dwie. Oczywiście nie więcej, bo przede wszystkim należy ci się teraz zasłużony wypoczynek. Rzecz jasna, to tylko taka sobie luźna propozycja; nie chciałbym ci przecież popsuć miłego wakacyjnego nastroju.

Hans zgodził się naturalnie. Ta godzina ze świętym Łukaszem wydawała mu się wprawdzie lekką chmurką na radośnie błękitnym niebie wakacji, ale wstydził się odmówić. A przyswojenie sobie nowego języka mimochodem podczas ferii dostarczy mu na pewno więcej przyjemności niż zajęcia. I tak odczuwał pewien lęk na myśl o tych wszystkich nowych przedmiotach, których trzeba będzie się uczyć w seminarium, a już szczególnym strachem napełniał go hebrajski. Toteż raczej zadowolony opuścił dom pastora i poszedł drogą modrzewiową w górę, do lasu. Początkowe zafrasowanie już pierzchło, a im dłużej rozważał sobie tę całą historię, tym wydawała mu się korzystniejsza. Sam dobrze o tym wiedział, że w seminarium, gdyby chciał być prymusem, będzie musiał pracować jeszcze ambitniej i wytrwalej. A postawił to sobie za cel. Dlaczego? — sam nie wiedział. Przed trzema laty zwrócono na niego uwagę i przez trzy lata był zachęcany, poganiany i dopingowany przez nauczycieli, pastora, ojca i najbardziej chyba przez samego rektora. Przez cały ten długi okres był we wszystkich klasach niedościgłym prymusem. Z czasem sam wziął sobie za punkt honoru, aby być górą, i nie uznawał z nikim rywalizacji. A głupi strach przed egzaminem teraz minął.

Mimo wszystko jednak najpiękniejszą rzeczą są wakacje. Jakież nieoczekiwanie piękny wydawał się las w tym rannych godzinach, kiedy prócz Hansa nie było w nim nikogo! Kolumna za kolumną stały świerki, kryjąc granatowozielonym sklepieniem niezmierny krużganek. Poszycia było niewiele, czasem tu i ówdzie gęste chaszczki malinowe, a ziemia zasłana była grubym, miękkim, puszystym mchem, z niskimi krzaczkami czarnych jagód i wrzosów. Rosa już obeschła i między strzelistymi pniami unosiła się owa szczególna poranna duszność lasu, złożona ze słonecznego ciepła, oparów rosy, woni mchu i zapachu żywicy, igliwia i grzybów, która ogarnia wszystkie

zmysły lekkim odurzeniem. Hans rzucił się na mech, objadał ciemne, gęste, oblepione czarnymi jagodami krzaki i słuchał kucia dzięcioła, dochodzącego z różnych stron, i wołania zazdrosnej kukułki. Spomiędzy ciemnych koron świerków wyglądał czysty, głęboki błękit nieba, w dali tysiące pionowych pni zwierzało się w poważną brązową ścianę, gdzieś z dala żółta plama słoneczna lśniła w mchu ciepłym i soczystym blaskiem.

Właściwie Hans miał zamiar zrobić duży spacer, co najmniej do folwarku Lutzeler albo do Hali Krokusowej. Tymczasem leżał w mchu, zajadał czarne jagody i gapił się z leniwym zdumieniem w powietrze. Sam zaczynał się dziwić swojemu zmęczeniu. Dawniej trzygodzinna, a nawet dłuższa przechadzka była dla niego niczym. Postanowił wziąć się w garść i przejść porządny kawał drogi. Rzeczywiście zrobił kilkaset kroków i oto nie wiedząc jak i kiedy leżał znowu w mchu i odpoczywał. Przymrużonymi oczyma błędził po pniach i wierzchołkach drzew, po zielonej ziemi. Że też to powietrze tak męczy!

Gdy wracał koło południa do domu, głowa bolała go znowu. Bolały również oczy. Na odsłoniętej drodze niemiłosiernie oślepiąło słońce. Połowę popołudnia przesiedział w domu, dopiero kąpiel orzeźwiła go. Później musiał iść na plebanię.

Szewc Flaig, siedzący przy oknie swego warsztatu na zydlu, zauważył go i zawołał, aby wszedł.

— Dokąd, mój synu? Nie widuje się ciebie ostatnio.

— Do pastora.

— Ciągle jeszcze? Przecież już po egzaminie.

— Owszem, ale teraz pora na inne przedmioty. Nowy Testament jest pisany po grecku, ale to znowu całkiem inna greka niż ta, której się uczyłem. Mam się teraz uczyć nowej.

Szewc zsunął czapkę na tył głowy, jego wysokie czoło myśliciela pokryły grube zmarszczki. Westchnął ciężko.

— Hans — rzekł cicho — powiem ci coś. Dotychczas milczałem z powodu egzaminu, ale teraz muszę cię ostrzec. Trzeba ci wiedzieć, że pastor jest niewierzący. Będzie ci opowiadał, będzie cię tumażył, że święte teksty są fałszem i kłamstwem, a gdy przeczytasz z nim Nowy Testament, ani się obejrzyysz, jak sam stracisz wiarę.

— Ależ panie Flaig, chodzi przecież tylko o grekę. W seminarium tak czy owak muszę się jej nauczyć.



– Tak ty mówisz. Ale to jednak różnica, czy będziesz studiować Biblię z pobożnymi i sumiennymi nauczycielami, czy też z kimś, kto już nie wierzy w Pana Boga.

– No tak, ale przecież nie wiadomo, czy naprawdę w niego nie wierzy.

– Owszem, Hans, niestety wiadomo.

– Więc co mam robić? Umówiłem się już z nim, że przyjdę.

– Wobec tego musisz pójść, to jasne. Ale kiedy zacznie gadać o Biblii, że jest dziełem ludzkim, zełganym, a nie podyktowanym przez Ducha Świętego, wtedy przyjdiesz do mnie i pomówimy o tym. Chcesz?

– Dobrze, panie Flaig. Ale na pewno nie będzie tak źle.

– Zobaczymy. Pamiętaj o mnie.

Pastora jeszcze nie było w domu i Hans czekał na niego w gabinecie. Przyglądając się złotym tyłom książek, jał zastanawiać się nad słowami szewca. Niejednokrotnie słyszał już zresztą podobne zdania o pastorze i w ogóle o nowomodnych duchownych. Lecz teraz po raz pierwszy czuł z rosnącym zaciekawieniem i napięciem, że sam wchodzi w krąg tych spraw. Dla niego nie były one zresztą takie ważne i przerażające jak dla szewca; raczej wietrzył tu możliwość dotarcia do starych wielkich tajemnic. W dawnych latach szkolnych zagadnienia wszechobecności Boga, nieśmiertelności duszy, diabła i piekła pobudzały go niekiedy do fantastycznych rozmyślań, ale to wszystko ucichło w ostatnich latach, kiedy miał więcej obowiązków i tylko w rozmowach z szewcem jego szkolna wiara nabierała czasem żywszych rumieńców. Mimo woli uśmiechnął się porównując szewca z pastorem. Nie potrafił ocenić cierpkiej nieugiętości szewca, zdobytej gorzkimi latami doświadczeń, poza tym Flaig był wprawdzie mądrym, ale prostym i jednostronnym człowiekiem, wyszydzanym przez wielu z racji swej przynależności do pietystów. Na zebraniach bractwa występował jako surowy sędzia swych towarzyszy i wspaniały komentator Pisma świętego, urządzał również po wsiach budujące prelekcje, ale w zasadzie był jedynie skromnym rzemieślnikiem, ograniczonym jak wszyscy inni. Pastor zaś był nie tylko człowiekiem obytym i wymownym kaznodzieją, lecz także pilnym i poważnym uczonym. Hans z szacunkiem powiódł okiem po grzbietach ksiąg.

Pastor wkrótce nadszedł. Zamienił surdut na lekką czarną marynarkę domową, wręczył uczniowi greckie wydanie tekstu Ewangelii św. Łukasza i kazał mu je czytać. To było zupełnie co innego niż lekcje łaciny. Przeczytali zaledwie parę zdań, które przetłumaczyli z surową dosłownością, po czym nauczyciel z niepozornych przykła-

dów wysnuwał zręcznie i elokwentnie osobliwego ducha tego języka, mówił o czasie i sposobie powstawania dzieła i w tej godzinie dał chłopcu zupełnie nowe pojęcie o nauce i czytaniu. Hans po raz pierwszy przeczuł, jakie zagadki i problemy kryły się w każdym wierszu i słowie, jak z dawien dawna tysiące uczonych, szperaczy i badaczy trudziły się nad tymi zagadnieniami, i zdawało się, że sam w tej godzinie został przyjęty do grona poszukiwaczy prawdy.

Pastor pożyczył mu słownik i gramatykę i Hans pracował jeszcze w domu cały wieczór. Teraz zdał sobie sprawę, przez jakie góry pracy i wiedzy prowadzi droga do prawdziwej nauki, i gotów był przebić się przez nie i niczego po drodze nie ominąć. O szewcu na razie zapomniał.

Przez kilka dni nowa nauka pochłonęła go całkowicie. Co wieczór chodził do pastora i z każdym dniem prawdziwa wiedza wydawała mu się piękniejsza, trudniejsza i bardziej godna pożądania. Wczesnym rankiem szedł na ryby, po południu na dziką plażę, poza tym prawie nie wychodził z domu. Ambicja, która ustąpiła na czas egzaminu miejsca uczuciom strachu i triumfu, ocknęła się znowu i nie dawała mu spokoju. Jednocześnie czuł, że w jego głowie zaczynają się dziać owe dziwne rzeczy, które tak często niepokoiły go ostatnimi czasy — nie był to ból, lecz szybkie, triumfujące uderzenia tętna, nagle wezbranie sił, niecierpliwe, porywcze dążenie naprzód. Kończyło się to rzeczywistym bólem głowy, ale póki ta nieuchwytna gorączka trwała, lektura i praca posuwały się gwałtownie naprzód. Wtedy z łatwością odczytywał najtrudniejsze zdania Ksenofonta, na które kiedy indziej tracił całe kwadranse, wtedy obywatel się niemal bez słownika, przelatując szybko i radośnie całe trudne i nagle zupełnie zrozumiałe stronice.

W okresie takiej spotęgowanej gorączki pracy i żądzы poznania chłopak dziwnie jasno zdawał sobie sprawę z własnej wartości i pełen dumy czuł się tak, jak gdyby szkoła, profesorowie i lata nauki leżały już dawno poza nim, a on sam kroczył teraz własną drogą ku wyżynom wiedzy i możliwości twórczych.

Oto znowu wypełniało go to wszystko, a nocami nawiedzały go dziwnie wyraziste sny i sprawiały, że budził się nocą z lekkim bólem głowy i nie mógł już zasnąć. Ogarniała go wtedy na nowo niecierpliwość, aby iść naprzód, i znów czuł przypływ wyniosłej dumy, kiedy pomyślał o tym, że tak bardzo wyprzedził wszystkich kolegów i że profesorowie i rektor patrzą na niego jakby z szacunkiem, a nawet podziwem.

Rektorowi fakt, że w chłopcu tak wspaniale rozrastała się rozbudzona przez niego ambicja, którą mógł teraz dalej kierować, sprawiał rzetelną satysfakcję. Niech nikt nie mówi, że belfrzy nie mają serca i są skostniałymi, bezdusznymi pedantami! O nie! Gdy nauczyciel widzi, jak u dziecka wystrzeli długo i bezskutecznie pobudzany talent, jak chłopak odkłada drewnianą szabelkę i procę, łuk i resztę dzieciennych zabawek, jak zaczyna piąć się w górę, jak pod wpływem poważnej pracy z nieokrzesanego, pucołowatego dzieciaka wyrasta delikatny, poważny i niemal ascetyczny chłopiec, jak jego twarz staje się starsza, uduchowiona, a spojrzenie nabiera głębi i świadomości celu, jak dłoń bieleje, a ruchy stają się bardziej opanowane — dusza rozjaśnia się w nim radością i dumą. Obowiązkiem jego i zleconym mu przez państwo zadaniem jest ujarzmić i wytępić w młodym chłopcu brutalne siły natury i prymitywne żądze, a w ich miejsce wszczepić ciche, umiarkowane i uznane przez państwo ideały. Iluż z tych, którzy są obecnie zadowolonymi obywatelami i ambitnymi urzędnikami, zostałyby wojowniczymi nowatorami lub bezowocnie dumającymi marzycielami, gdyby nie trud szkoły! Jest w człowieku coś dzikiego, nierównego, niekulturalnego, co trzeba złamać, jakiś niebezpieczny płomień, który trzeba zagasić i zdeptać. Człowiek taki, jakim stwarza go natura, jest czymś nieobliczalnym, nieprzejrzywym, niebezpiecznym. Jest on rzeką wypadającą z nieznanych gór i puszczą bezdrożną i bezładną. I tak jak puszcze trzeba przetrzebić, ujarzmić i wytyczyć jej granice, tak szkoła musi człowieka naturalnego złamać, pokonać i włożyć go w jakieś ramy. Jej zadaniem jest przekształcić go w pożytecznego członka społeczeństwa według zasad zalecanych przez zwierzchność i rozbudzić w nim te przymioty, których całkowite ukształtowanie jest ukoronowaniem starannej dyscypliny koszar.

Jakże pięknie rozwinął się mały Giebenrath! Niemalże sam, z własnej woli zaniechał wałęsania się i zabaw. Od dawna już nie zdarzały mu się bezmyślne wybuchy śmiechu w czasie lekcji, pozwolił sobie również wyperswadować ogrodnictwo, chowanie królików i owo utopione wędkarstwo.

Pewnego wieczoru sam pan rektor zjawił się w domu Giebenrathów. Pozbywszy się grzecznie ojca mile pogłaskanego tą wizytą, wszedł do izdebki Hansa i zastał chłopca nad Ewangelią św. Łukasza. Przywitał się z nim serdecznie.

— Jak to przyjemnie, Giebenrath, widzieć cię znowu przy pracy. Ale czemu się wcale nie pokazujesz? Codziennie cię oczekuję.

– Byłbym już przyszedł – tłumaczył się Hans – gdyby nie to, że chciałem panu rektorowi przynieść jakąś ładną rybę.

– Rybę? Jaką znowu rybę?

– No, jakiegoś karpia czy coś innego.

– Ach tak? Więc znowu chodzisz na ryby?

– Owszem. Tak, czasami tylko... Ojciec pozwolił.

– Hm... tak. A czy to ci sprawia wielką przyjemność?

– Owszem, tak.

– No więc, dobrze. Ostatecznie zasłużyłeś sobie na wakacje. Ale wobec tego pewnie nie bardzo chce ci się teraz uczyć?

– Ależ tak, proszę pana rektora.

– Nie chciałbym cię jednak przymuszać do niczego, na co sam nie masz ochoty.

– Naturalnie, że mam ochotę, naturalnie.

Rektor westchnął kilka razy głęboko, pogładził rzadką brodę i usiadł.

– Widzisz, Hans – rzekł – rzecz ma się tak. Jest to stara prawda, że często właśnie po udanym egzaminie następuje załamanie i cofanie się. W seminarium dochodzi kilka nowych przedmiotów. Wśród uczniów znajduje się zawsze pewna ilość takich, którzy już w ciągu wakacji się z nimi zapoznali; często są to właśnie ci, którym się podczas egzaminu gorzej powiodło. Awansują oni potem niespodziewanie, zostawiając w tyle tych, którzy w czasie ferii spoczęli na laurach.

Westchnął ponownie.

– Tu, w szkole, nietrudno ci było być prymusem. Ale w seminarium spotkasz innych kolegów, przeważnie samych zdolnych i pilnych chłopców, których nie będzie tak łatwo prześcignąć. Pojmujesz mnie?

– Owszem.

– Chciałem ci więc zaproponować, abyś już podczas wakacji zaczął się wciągać w pracę. Oczywiście, z umiarem! Masz obecnie prawo, a nawet obowiązek solidnie wypocząć. Myślę, że godzinka czy dwie dziennie wystarczy. Bez tego człowiek łatwo wychodzi z wprawy i potrzeba mu potem całych tygodni, zanim znowu nabierze rozpędu. Co o tym sądzisz?

– Z największą chęcią, panie rektorze, jeśli pan tak łaskaw...

– Dobrze. W seminarium poza wszystkim innym czeka na ciebie Homer i on otworzy ci nowy świat. Czytałbyś go ze zdwojoną rozkoszą i zrozumieniem, gdybyśmy

już teraz założyli solidne podwaliny. Język Homera, stary joński dialekt, wraz z homerycką prozodią jest czymś na wskroś osobliwym, całkiem odrębnym i jeśli się chce w ogóle poznać prawdziwe piękno tych eposów, trzeba się solidnie przykładać do roboty.

Hans przystał oczywiście z chęcią na poznanie także i tego nowego świata, obiecując dołożyć wszelkich starań, aby szybko posunąć się naprzód.

Ale pointa nastąpiła dopiero teraz. Rektor odchrząknął i ciągnął dalej pełen życzliwości:

— Szczerze mówiąc, byłoby mi również miło, gdybyś zechciał kilka godzin poświęcić i matematyce. Wprawdzie nie jesteś słabym rachmistrzem, ale bądź co bądź matematyka nie była twoją najsilniejszą stroną. W seminarium zaczniesz algebrę i geometrię, byłoby zatem pożądane wziąć kilka wprowadzających lekcji.

— Tak jest, panie rektorze.

— U mnie jesteś zawsze mile widziany, wiesz o tym. Wziąłem sobie za punkt honoru, żeby wyrosło z ciebie coś porządnego. W sprawie matematyki musisz poprosić ojca, żeby się zgodził na prywatne lekcje u pana profesora. Może ze trzy albo cztery na tydzień.

— Tak jest, panie rektorze.

Praca zatem szła znowu pełną parą, a jeśli mimo to Hans znalazł czasem wolną chwilę i poszedł na ryby lub na spacer, dręczyły go potem wyrzuty sumienia. Pełen poświęcenia profesor matematyki wyznaczył chłopcu akurat godzinę przeznaczoną zwykle na kąpiel.

Mimo całej swej pilności Hans nie potrafił zasmakować w tych godzinach algebry. Co za przykrość iść w gorące popołudnie zamiast na łąkę nadrzeczną do dusznego pokoju profesora i w zakurzone, pełnym brzęku komarów powietrzu, z ciężką głową i wyschniętym gardłem powtarzać  $a + b$  i  $a - b$ . W powietrzu unosiło się wówczas coś paralizującego i niezmiernie przygnębiającego, co w szczególnie ciężkie dni przemieniało się wprost w beznadziejność i rozpacz. Z matematyką miewał dziwne przeżycia. Nie należał do tych uczniów, dla których jest ona niedostępna i w ogóle nie do pojęcia. Czasami znajdował dobre, a nawet wyśmienite rozwiązania i wtedy sprawiała mu ona przyjemność. W matematyce podobało mu się to, że nie istniały tu możliwości popełniania błędów ani blagowania,

żadne możliwości zbaczania z tematu i zawadzania o inne dziedziny nauki. Z tej samej przyczyny tak lubił łacinę — język jasny, pewny, pełen precyzji i nie dopuszczający do bezużytecznych wahań. Ale w rachunkach, nawet kiedy ostateczne wyniki zgadzają się, nie prowadzi to właściwie do niczego. Matematyczne zadania i lekcje przypominały mu wędrówkę po równym gościńcu: człowiek posuwa się ciągle naprzód, każdego dnia uczy się rozumieć więcej niż dnia poprzedniego, ale nigdy nie zdobędzie szczytu, skąd otwierałby się nagle szeroki widok.

Nieco bardziej ożywione były lekcje u rektora Wprawdzie pastor umiał nawet ze zdeformowanej greki Nowego Testamentu zrobić coś bardziej pociągającego i okazalszego niż rektor z młodzieńczo świeżego języka Homera, ale ostatecznie był to jednak Homer, u którego krok w krok za pierwszymi trudnościami wylaniają się niespodzianki i rozkosze, wabiące czytelnika nieodparcie dalej. Często Hans siedział drżąc z niecierpliwości nad tajemniczo pięknym, trudnym do zrozumienia wierszem i nie mógł dość szybko odnaleźć w słowniku klucza, odmykającego mu furtkę do owego cichego, pełnego pogody ogrodu.

Miał teraz znów pod dostatkiem wypracowań domowych i niejedną wieczór przesiedział do późnej nocy przy stole, wczepiony w jakieś zdanie. Ojciec Giebenrath z dumą patrzył na tę pilność. W jego tępej głowie pokutowało marzenie niejednego ograniczonego człowieka by z jego pnia wystrzeliła gałąź przerastająca go i osiagająca wyżyny, które napawały go milczącym szacunkiem.

W ostatnim tygodniu wakacji rektor i pastor okazali nagle znowu niezwykle łagodność i troskliwość. Wysyłali chłopca na spacer, przerwali lekcje i podkreślali doniosłość tego, by świeży i wypoczęty wszedł na nową drogę życia.

Hans poszedł jeszcze kilka razy na ryby, ale że ostatnio miewał znów częste bóle głowy, siedział nad brzegiem rzeki bezmyślnie, nie poświęcając rybom specjalnej uwagi. Patrząc na wodę, odbijającą teraz jasnoblękitne niebo wczesnej jesieni, usiłował rozwiązać zagadkę, dlaczego właściwie swego czasu tak się cieszył na wakacje. Obecnie był raczej zadowolony, że minęły i że pojedzie do seminarium, gdzie zacznie się zupełnie inne życie i inna nauka. Ponieważ nie przykładał się już wcale do łowienia, najczęściej wracał do domu bez ryb. Kiedy ojciec zażartował sobie kiedyś na ten temat, Hans przestał w ogóle łowić i schował wędki do szafy w mansardzie.

Dopiero w ostatnich dniach przypomniał sobie nagle, że przez szereg tygodni nie był ani razu u szewca Flaiga. Także i teraz musiał sobie zadać przymus, aby go odwiedzić. Było to wieczorem i majster siedział przy oknie trzymając na kolanach

dwoje małych dzieci. Mimo otwartego okna specyficzny zapach skóry i szuwaksu przenikał całe mieszkanie. Hans z zakłopotaniem złożył swoją rękę w twardej, szerokiej dłoni majstra.

— No, jakże tam? — zapytał Flaig. — Chodziłeś pilnie do pastora?

— Tak, chodziłem do niego co dzień i dużo się nauczyłem.

— A czegoż to?

— Przeważnie greki, ale także dużo innych różności.

— A do mnie to już nigdy nie miałeś chęci zajść?

— Chęć to miałem, panie majstrze, ale jakoś nic z tego nie wyszło. Co dzień u pastora godzinę, u rektora dwie godziny, a cztery razy w tygodniu musiałem chodzić do profesora matematyki.

— Teraz, podczas wakacji? Toż to bzdura!

— Nie wiem. Profesorowie tak kazali. A nauka przecież nie sprawia mi trudności.

— Być może — powiedział Flaig ujmując chłopca za ramię. — Z nauką w porządku, ale co ty masz za ramionka? A twarz ci się zrobiła jak piąstka. Czy głowa cię jeszcze pobolewa?

— Od czasu do czasu.

— To nonsens, Hans, a nawet grzech. Chłopcu w twoim wieku potrzeba dużo powietrza, ruchu i odpowiedniego wypoczynku. Od czegoż wam dają wakacje? Przecież nie do przesiadywania w czterech ścianach i wkuwania. Zostały z ciebie skóra i kości!

Hans roześmiał się.

— No, wiem, jakoś się tam odgryziesz, ale co za dużo, to niezdrowo. A jakże było na tych lekcjach u pastora? Co mówił?

— Dużo mówił, ale nic złego. On ogromnie dużo wie.

— Czy nigdy nie mówił obelżywie o Biblii?

— Nie, ani razu.

— To dobrze. Bo powiem ci tyle: po tysiąc razy lepiej jest ponieść szwank na ciele niż najmniejszą skazę na duszy! Chcesz później zostać pastorem. Jest to wspaniały i trudny urząd i trzeba na to innych ludzi niż takich, jakimi wy młodzi na ogół jesteście. Może ty jesteś wybrany i będziesz kiedyś wspomóżycielem i nauczycielem dusz. Pragnę tego z całego serca i będę modlił się o to.

Podniósłszy się położył ciężko obie ręce na ramionach chłopca.

— Bądź zdrow, Hans, i wytrwaj w dobrym! Niech cię Pan błogosławi i strzeże, amen.

Uroczysty i modlitewny ton tego przemówienia, wygłoszonego literackim językiem, spieszył chłopca i sprawił mu przykrość. Pastor podczas pożegnania nie urządził nic takiego.

Na przygotowaniach i pożegnaniach szybko i spokojnie minęło parę ostatnich dni. Skrzynię z pościelą, ubraniami, bielizną i książkami wysłano już naprzód, teraz spakowano jeszcze toból podróżny i pewnego chłodnego poranka ojciec z synem wyjechali do Maul-bronn. Jak dziwnie przygnębiające jest uczucie, kiedy się opuszcza strony rodzinne wyruszając z domu ojcowskiego do nieznanego zakładu.



## ***Rozdział trzeci***

Na północnym zachodzie kraju, między lesistymi wzgórzami i małymi, milczącymi jeziorami leży duży klasztor cystersów, Maulbronn. Piękne stare budynki, obszerne i dobrze zachowane, stanowiłyby ponętną siedzibę, są bowiem równie wspaniałe od wewnątrz, jak i zewnątrz i zrosły się w ciągu stuleci ze swoim spokojnie pięknym zielonym otoczeniem w nierozzerwalną, szlachetną całość. Zwiedzający klasztor wchodzi na rozległy i bardzo cichy dziedziniec przez malowniczą bramę rozdzielającą wysoki mur. Na dziedzińcu stoi szemrząca studnia i poważne, sędziwe drzewa, a po obu stronach wznoszą się stare, solidne kamienne zabudowania, w głębi zaś fasada głównego kościoła z późnoromańską kruchtą, pełną lekkości i nieporównanego piękna, zwaną Rajem. Z potężnego dachu, jak jeździec z siodła, wystrzela w górę cienka jak igła, śmieszna wieżyczka — trudno pojąć, w jaki sposób dzwon kościelny znajduje w niej schronienie. Niejeden już człowiek widząc to miejsce zastanawiał się, dlaczego nie rozkwita tu prawdziwe, pełne pracy i radości życie, tu, gdzie powinny by dojrzewać pogodne i prawe myśli człowieka i powstawać cudowne dzieła pełne dobroci i łagodności. Nienaruszony krużganek, będący sam dziełem sztuki, ukrywa w sobie jak klejnot drogocenną kapliczkę ze studzienką. Refektarz klasztorny z mocnym, szlachetnym w linii sklepieniem krzyżowym, dalej oratorium, parlatorium, refektarz gościnny, mieszkanie opata i dwa kościoły łączą się razem w jedną masywną całość. Malownicze mury, wykusze, bramy, ogródki, młyn i domy mieszkalne otaczają przytulnym i pogodnym wieńcem potężne, stare gmachy. Śpi rozległy dziedziniec, samotny i cichy, i gra we śnie z cieniami swoich drzew. Jedynie w porze poobiedniej przesuwa się po nim jakby ułuda życia. Gromada młodych chłopców wychodzi z klasztoru, rozsypuje się szeroko, niosąc ze sobą gwar i ruch, i śmiechem przerywane nawoływania. Ale dokładnie po godzinie milknie wszystko i młodzi, którym się nawet czasem zdarzy, że zagrają w piłkę, szybko znikają za murami.

Dawno temu przeznaczono ów wspaniały, odosobniony od świata i położony za górami lasami klasztor dla uczniów protestanckiego seminarium teologii, aby młode, wrażliwe umysły znalazły się w otoczeniu piękna i spokoju. Tym samym młodzi ludzie zostali zabezpieczeni przed rozpraszącymi wpływami życia miejskiego i rodziny, jak również oszczędza im się szkodliwego widoku i brania osobistego udziału w

aktywnym życiu. Dzięki temu udaje się latami utrzymywać młodzieńców w przekonaniu, że nauka języka hebrajskiego i greckiego, nie licząc już przedmiotów dodatkowych, jest celem życia, oraz kierować wszystkie pragnienia młodych dusz ku czystym i abstrakcyjnym studiom i przyjemnościom. Osiągnięcie tego celu ułatwia w znacznej mierze już sam tryb życia w internacie z jego koniecznością autodyscypliny i poczuciem przynależności do wspólnoty. Fundacja, dzięki której seminarzyści żyją i pobierają naukę, zatroszczyła się tym samym o to, by jej wychowankowie stawali się ludźmi określonego pokroju, których można by było i w późniejszym życiu z łatwością wśród innych rozpoznać, jakby nosili na sobie subtelne i niezawodne piętno, wymowny symbol dobrowolnej pańszczyzny. Z wyjątkiem tych dzikusów, którzy od czasu do czasu stąd uciekają, można przez całe życie rozpoznać każdego szwabskiego seminarzystę. Jakżeż różnorodni są ludzie i jak różne warunki, w jakich wyrastają! Te różnice państwo w poczuciu sprawiedliwości wyrównuje u swoich pupilów gruntownie, nakładając na nich coś na kształt duchowego munduru czy liberii.

Kto wstępując do seminarium klasztornego miał jeszcze matkę, ten do końca życia wspominać będzie swe dzieciństwo z uczuciem wdzięczności i rozrzewnienia. Hans Giebenrath nie należał do takich, toteż uporał się ze wszystkim, co było nowe, bez wzruszenia. Miał jednak możność obserwowania wszystkich owych nieznajomych matek, które przybyły wraz z synami, i na długo zatrzymał w sobie owo dziwne przeżycie.

W ogromnych korytarzach zaopatrzonych w szafy ściennie, w tak zwanych dormentach, stały skrzynie i kosze, a chłopcy w towarzystwie rodziców krzatali się przy wyładowywaniu i układaniu przywiezionych skarbów. Każdemu przydzielono numerowaną szafę, a w pracowniach numerowaną półkę na książki. Ramię w ramię synowie i rodzice kłęczeli na posadzce pochłonięci rozpakowywaniem, a famulus przechadzał się wśród nich jak książę, rzucając tu i tam życzliwe słowo czy radę. Rozprostowywano wypakowane ubrania, składano koszule, piętrono książki, ustawiano rzędem buty i pantofle. Wyposażenie było na ogół u wszystkich jednakowe, ponieważ przepisy wymagały posiadania pewnego minimum bielizny i innych przedmiotów codziennego użytku. Wyłaniały się blaszane miednice z wydrapanymi na nich nazwiskami; ustawiano je w umywalni, obok nich zaś umieszczano gąbkę, mydelniczkę, grzebień i szczoteczkę do zębów. Poza tym każdy przywiózł za sobą lampę, bańkę na naftę i sztućce.

Wszyscy chłopcy bez wyjątku byli zaabsorbowani i podnieceni. Ojcowie uśmiechali się do synów, próbowali im pomagać, spoglądali często na zegarki, nudzili się w miarę i usiłowali się wymknąć. Duszą całej tej krzątaniny były matki. Brały odzież i bieliznę sztuka po sztuce, wygładzały fałdy, poprawiały tasiemki i dopiero po kilkakrotnym próbowaniu decydowały się na takie, a nie inne, możliwie najporządniejsze i najpraktyczniejsze, rozmieszczenie garderoby w szafie. Napomnienia, dobre rady i czułości splatały się z sobą.

— Szanuj nowe koszule, kosztowały trzy marki pięćdziesiąt!

— Bieliznę przysyłaj co cztery tygodnie kolejną, a jeśli ci będzie bardzo pilno, to pocztą. Czarny kapelusz noś tylko w niedzielę, pamiętaj!

Jakaś gruba, przyjemna kobieta siedziała na wysokiej skrzyni i uczyła syna przyszywania guzików.

— Jak zatęsknisz za domem — słyhać było inny głos — to zaraz pisz. Do Bożego Narodzenia wcale nie tak daleko! To nic strasznego, zobaczysz.

Jakaś ładna, jeszcze dosyć młoda niewiasta po raz ostatni objęła wzrokiem zapełnioną szafę. Przesunęła czułą dłoń po stosach bielizny, po kurtkach i spodniach, a potem zaczęła głaskać swego syna, barczystego, pucółowatego chłopca. On wstydził się, osłaniał swoje zmieszanie śmiechem i zapewne, aby nie wyglądać na maminsynka, wsadził ręce w kieszenie. Pożegnanie wydawało się cięższe dla matki niż dla niego.

U innych było na odwrót. Bezradnie i beczynn timer przyglądali się swym niestrudżonym matkom, z takimi minami, jakby ich najgorętszym życzeniem było znów znaleźć się w domu. Ale u wszystkich strach przed rozstaniem, potrzeba okazania czułości i przywiązania walczyły z lękiem przed obserwatorami i były pokrywane hardością wykluwającej się męskiej godności. Niejeden, który by się najchętniej rozbeczał, przybierał pozornie beztroską minę, udając, że go nic nie wzrusza. A matki przyglądały się temu z uśmiechem.

Prawie wszyscy poza rzeczami niezbędnymi wyciągali ze swych skrzyń także trochę zbytków: jakiś woreczek jabłek, kiełbasę wędzoną, koszyczek ciastek i tym podobne. Wielu przywiozło ze sobą łyżwy. Wielką sensację wzbudził pewien mały, sprytnie wyglądający chłopak, posiadaniem całej szynki, której zresztą bynajmniej nie starał się ukrywać.

Nie trudno było rozpoznać chłopców przybywających wprost z domu i tych, którzy już przedtem byli w zakładach i internatach. Ale i po tych widać było zdenerwowanie i napięcie.

Pan Giebenrath pomagał synowi przy rozpakowaniu się i wykazał przy tym dużo rozsądku i praktyczności. Wcześniej się z tym uporał niż większość innych i przez chwilę stał z Hansem w dormencie, znudzony, nie wiedząc, co z sobą począć. Ponieważ wszędzie widział napominających i pouczających ojców, pocieszające i doradzające matki oraz niespokojnie przysłuchujących się synów, uznał również za stosowne przekazać Hansowi kilka złotych myśli na nową drogę. Zastanawiał się długo, krążąc z zakłopotaniem wokół milczącego chłopca, aż wreszcie nabrał rozpędu i obdarował go całą wiązką namaszczonych frazesów, które Hans przyjmował milczącym zdziwieniem, dopóki nie zauważył, że stojący opodal duchowny uśmiecha się rozbawiony tą ojcowską tyradą — wtedy zawstydził się i odciągnął ojca na bok.

— A więc przyniesiesz zaszczyt swojej rodzinie, prawda? I będziesz słuchał przełożonych?

— Tak, oczywiście — odpowiedział Hans.

Ojciec umilkł i odetchnął z ulgą. Zaczynał się nudzić. Również Hans czuł się dostatecznie zagubiony. To wyglądał z trwożną ciekawością przez okna na cichy krużganek, którego starożytne i klasztorne dostojęństwo dziwnie kontrastowało z hałaśliwym i pełnym ruchu zachowaniem młodych ludzi, to znów przyglądał się nieśmiało wielce zajęтым towarzyszom, z których żadnego jeszcze nie znał. Ów stuttgarcki kolega z egzaminu widocznie nie zdał, mimo swej wymyślnej łaciny, przynajmniej Hans nie widział go nigdzie. Nie zadając sobie trudu wyprowadzania wniosków obserwował swoich przyszłych kolegów. Chociaż wyposażenie wszystkich chłopców było równe rodzajem i ilością, bez trudu odróżniało się mieszczan od synów chłopskich i zamożnych od ubogich. Synowie bogatych rodzin rzadko studiowali w seminarium — z czego wnosić by można częściowo o dumie lub o głębszych poglądach rodziców, po części zaś może o zdolnościach dzieci; zdarzało się jednak czasem, że profesor lub jakiś wyższy urzędnik wysyłał swego potomka do Maulbronn przez pamięć o własnej młodości spędzonej w tym klasztorze. Widziało się zatem wśród czterdziestu czarnych kurteczek drobne różnice w gatunku lub kroju, a jeszcze bardziej różnili się ci młodzi ludzie zachowaniem, wymową i postawą. Spotykało się chudych mieszkańców Schwarzwaldy o sztywnych ruchach, dziarskich synów górali, jasnowłosych i szerokoustych, ruchliwych potomków nizin o swobodnych i

nieskrępowanych manierach, wykwintnych paniczów ze Stuttgartu w spiczastych trzewikach, mówiących zniekształconym, rzekłbym, ogładzonym dialektem. Jedna piąta tego kwiatu młodzieży nosiła okulary. Jakiś wąty i niemal elegancki maminsynek ze Stuttgartu sztywno trzymał głowę przystrojoną w nienaganny kapelusz filcowy. Starał się zachowywać wytwornie i ani przeczuwał, że ta niezwykła ozdoba już dzisiaj, w owym pierwszym dniu, pobudziła co zuchwalszych spośród kolegów do późniejszych kpín i wybryków.

Bardziej wnikliwy obserwator łatwo mógł spostrzec, że ta nieśmiała gromadka stanowi niezły wybór spomiędzy młodzieży kraju.

Obok przeciętnych fizjonomii, którym łopata kłaść się będzie rozum w głowę, nie brakło ani delikatnych, ani hardych i krzepkich chłopców, u których pod gładkim czołem drzemać mogło kielkujące dopiero wyższe życie. Może i znalazłby się wśród nich niejeden z tych sprytnych i zaciekłych łbów szwabskich, które od czasu do czasu wychylają się ponad powierzchnię dziejów i ze swych zawsze nieco oschłych i upartych myśli czynią ośrodek nowych, potężnych systemów. Szwabia bowiem zaopatruje siebie i świat nie tylko w znakomicie wyszkolonych teologów, lecz szczeni się także tradycyjną zdolnością filozoficznej spekulacji, która niejednokrotnie zrodziła już rzeczywistych, a także fałszywych proroków. Tak więc ów żyzny kraj, którego wielkie tradycje polityczne dawno przebrzmiały, tulący się obecnie jako niewinne kurczątko do pomocnego orła o ostrym dziobie, przynajmniej w duchowej dziedzinie teologii i filozofii wywiera jeszcze swój niezaprzeczalny wpływ na świat. Poza tym z dawna jeszcze tkwi w tutejszym ludzie zamiłowanie do pięknej frazy i marzycielskiej poezji, powołujące raz po raz do życia poetów i pisarzy, wcale nienajgorszych. Ostatnio co prawda niewiele zyskują oni uznania, ponieważ nasi bardziej na północ mieszkający panowie bracia przejęli również w poezji prymat, mając język południowy za gminny. Nadają oni dzisiaj ton swoimi ostrzejszymi językami. Ton ów, nastrojony to na zapach gleby, to na berlińską elegancję, góruje oczywiście niezmiernie swoją zadzierzystością nad naszą staroświecką lirą. Niestety, nie wypada ani w tym, ani w innych wypadkach buntować się przeciwko istniejącym stosunkom i zdrapywać z owych berlińczyków ich bardzo jeszcze świeżą patynę szlachectwa. Chętnie zresztą oddajemy każdemu, co jego: nam, Szwabom, naszego starego Staufena, gdzie nad cichymi lasami drzemią i śnią szczątki prastarych splendorów,

tamtym ich Zollerna<sup>3</sup>, gdzie gładkie, idealnie czyste szosy prowadzą obok błyszczących armat. Ostatecznie jedno i drugie ma swoje zalety.

Dla powierzchownego obserwatora w urządzeniach i obyczajach seminarium Maulbronn nie było nic szwabskiego. Przeciwnie, obok pozostałych z czasów klasztornych nazw łacińskich naklejono ostatnio jeszcze niejedną klasyczną nalepkę. Pokoje, przydzielane wychowankom, nazywały się: "Forum", "Hellada", "Ateny", "Sparta", "Akropol", a fakt nazwania najmniejszej i ostatniej sali "Germanią" zdawał się niemal wskazywać, że istnieją jakieś przyczyny, aby z germańskiej rzeczywistości w miarę możliwości uczynić rzymsko-grecki majak senny. Ale i to było także tylko czysto zewnętrzną sprawą i w istocie nadawałyby się lepiej nazwy hebrajskie. Toteż figlarny przypadek zrzucił, że "Atenom" wcale nie przypadli w udziale młodzieńcy o najszerszych horyzontach i najpiękniejszej wymowie, lecz kilku poczciwych nudziarzy, a w "Sparcie" zamieszkali nie wojownicy i asceci, jeno garstka wesołych wygodniśców. Hansa Giebenratha wraz z dziewięcioma kolegami przydzielono do "Hellady".

Mimo wszystko miał dziwne uczucie, kiedy wieczorem z dziewięciu towarzyszami wszedł po raz pierwszy do chłodnej, nieprzytulnej sypialni i ułożył się w swoim wąskim uczniowskim łóżku. Z sufitu zwisała duża lampa naftowa, przy której czerwonym blasku należało się rozebrać i którą famulus gasił kwadrans po dziesiątej. Leżeli tedy jeden obok drugiego, między łóżkami stały krzeselka z ubraniami, z filaru zwisał sznur, którym poruszano ranny dzwonek. Dwóch czy trzech chłopców już się ze sobą zaznajomiło i ci wymieniali nieśmiało, szybko milknące szeptem; reszta nie znała się, każdy z nich leżał więc w swoim łóżku nieco przygnębiony i bez ruchu. Śpiący oddychali głęboko; czasem któryś z nich poruszył ręką we śnie, szeleszcząc lnianą pościelą. Kto jeszcze nie spał, leżał zupełnie cicho. Hans długo nie mógł zasnąć. Nasłuchiwał oddechów swych sąsiadów, a po chwili usłyszał dziwnie przejmujący szmer na jednym z sąsiednich łóżek. Ktoś tam płakał naciągnawszy kołdrę na głowę. Ów cichy, jakby z daleka dochodzący szloch osobliwie wstrząsnął Hansem. On sam nie tęsknił za domem, ale żał mu było zacisznej, małej izdebki, którą tam zostawił, i czuł nieokreślony lęk i strach przed nieznanym nowym życiem, w które wchodzi, i przed mnóstwem kolegów.

Północ jeszcze nie nadeszła, gdy wszyscy posnęli. Leżeli w sali, jeden śpiąc obok drugiego, z policzkami wtulonymi w pasiaste poduszki; twarze smutne i harde, figlarnie i nieśmiało, wszystkie pokonane tym samym słodkim, mocnym spoczynkiem i

---

<sup>3</sup> Zollern, Staufen — mowa m o dynastycznych niemieckich rodach książęcych: Hohenzollern i Hohenstaufen.

zapomnieniem. Ponad stare spiczaste dachy, baszty, wykusze, kolumny, blanki i galerie o ostrych łukach wzeszedł blady półksiężyc. Jego światło kładło się na gzymsach i progach, spływało po gotyckich oknach i romantycznych bramach, drżało bladym złotem w dużej, szlachetnej studziennej misie krużganku. Kilka żółtawych pasm i plam świetlnych wpłynęło także przez trzy okna do sypialni "Hellady" i podesłało się pod senne marzenia chłopców tak samo jak ongiś pod sny całych pokoleń mnichów.

Następnego dnia odbył się uroczysty akt przyjęcia w oratorium. Profesorowie włożyli tużurki, eforus wygłosił przemówienie, uczniowie siedzieli zgarbieni pod brzemieniem wypełniających ich myśli i próbowali czasem zerknąć za siebie na siedzących w głębi rodziców. Matki patrzyły zadumane i uśmiechnięte na swoich synów. Ojcowie trzymali się prosto, słuchali w skupieniu przemówienia i mieli wygląd stanowczy i poważny. Piersi ich wzbierały dumnymi, chwalebными uczuciami oraz pięknymi nadziejami i ani jeden z nich nie myślał o tym, że sprzedając dziś swe dziecko państwu liczy na przyszłe korzyści pieniężne. Na zakończenie wywoływano wszystkich uczniów kolejno po nazwisku; każdy z nich musiał wystąpić, zaś eforus przyjmował ich przyrzeczenie podaniem ręki i tym samym każdemu z nich zapewniał dożywotnią opiekę i utrzymanie państwa pod warunkiem, że będzie się dobrze sprawował. Nikt z nich, ani ojcowie, ani chłopcy, nie pomyślał przy tym, że przecież nie otrzymuje tego dobrodziejstwa za darmo.

Znacznie poważniejszym i bardziej przejmującym wydał się chłopcom moment rozstania z ojcami i matkami. Po części piechotą, po części wozem pocztowym, po części innymi przygodnymi wehikułami znikali rodzice z oczu pozostających synów. Długo jeszcze powiewały chusteczki w łagodnym powietrzu wrześnieowym, na koniec las ukrył wyjeżdżających i synowie wracali cisi i zamyśleni do klasztoru.

— A więc rodzice panów już wyjechali — stwierdził famulus.

Chłopcy zaczęli się sobie przyglądać i zawierać znajomości. Z początku w obrębie każdej sypialni. Napelniali kałamarze atramentem, lampy naftą, układali książki oraz zeszyty i próbowali jakoś urządzić się na nowym mieszkaniu. Obserwowali się przy tym wzajemnie z zaciekawieniem, zagajali rozmowy, dopytując się o miasto rodzinne i dotychczasową szkołę; wspominali też wspólnie przebyte egzamin krajowy. Dokoła pulpitów tworzyły się ożywione grupy, tu i ówdzie wystrzelił

nieśmiało jasny śmiech chłopięcy, a wieczorem mieszkańcy poszczególnych pokoiów znali się już o wiele lepiej niż pasażerowie na statku przy końcu morskiej podróży.

Wśród dziewięciu kolegów Hansa z sali "Hellada" było czterech o wyraźnej indywidualności, reszta zaś reprezentowała dobry poziom przeciętny. A więc był tu po pierwsze Otto Hartner, syn profesora ze Stuttgartu, zdolny, spokojny, pewny siebie, o nieskazitelnym manierach. Barczysty, rosły i dobrze ubrany, imponował sali zdecydowaną, energiczną postawą.

A dalej Karl Hamel, syn skromnego sołtysa wiejskiego z Jury Szwabskiej. Nie lada czasu trzeba było, aby go poznać, pełno w nim bowiem było sprzeczności i rzadko kiedy opuszczała go flegma. Gdy to czasem się zdarzyło, potrafił być wybuchowy i porywczy. Nigdy jednak wybuch taki nie trwał długo, bo szybko zamykał się znowu w sobie i nie wiadomo było, czy jest milczącym obserwatorem, czy tylko milczkiem.

Uderzającym, choć mniej złożonym zjawiskiem był Herman Heilner, syn dobrej rodziny ze Schwarzwaldy. Dowiedziano się zaraz w pierwszy dzień, że to poeta i pięknoduch, i opowiadano o nim, że wypracowanie na egzaminie krajowym napisał w heksametrach. Miał piękne skrzypce. Mówił dużo i z ożywieniem, a bezpośrednie zachowanie zdawało się wyrażać samą istotę jego usposobienia, na które składały się w równej mierze młodzieńczo niedojrzały sentymentalizm, co lekkomyślność. Lecz miał w sobie również głębię, której nie uzewnętrzniał. Fizycznie i umysłowo był rozwinięty ponad wiek i próbował już kroczyć własnymi drogami.

Najosobliwszym jednak mieszkańcem "Hellady" był Emil Lucius, skryty, jasnowłosy chłopaczek, zaciekły, pilny i oschły jak sędziwy chłop. Mimo swej nierozwiniętej jeszcze figury i rysów nie sprawiał wrażenia chłopca, ale we wszystkim miał w sobie coś z dorosłego, jakby już nigdy nic w nim nie miało się zmienić. Od razu pierwszego dnia, kiedy reszta kolegów nudziła się, rozprawiała i usiłowała się dopiero wdrożyć w nowe warunki, Lucius siedział cicho i spokojnie nad gramatyką, zatkawszy kciukami uszy, i wkuwał na całego, jakby szło o nadrobienie straconych lat.

Dopiero z czasem koledzy zorientowali się w krętych ścieżkach tego cichego dziwaka, odkrywając w nim tak wyrafinowanego skąpca i samoluba, że sama już doskonałość, do której doszedł w tych przywarach, musiała pozyskać mu pewnego rodzaju szacunek albo przynajmniej tolerancję. Miał przebiegły system oszczędzania i zarabiania, którego finezja ujawniała się nie od razu, lecz stopniowo, wywołując zdumienie. Zaczynało się z samego rana od tego, że Lucius zjawiał się w umywalni pierwszy albo ostatni, aby skorzystać z czyjegoś ręcznika, a w miarę możliwości także i z



mydła, dla oszczędzenia własnych rzeczy. Dzięki temu jego ręcznik starczał mu przeważnie na dwa albo nawet więcej tygodni. Jednakże ręczniki należało raz w tygodniu zmieniać, co sprawdzał starszy famulus w każdy poniedziałek przed południem. Lucius więc wiesział w każdy poniedziałek z rana czysty ręcznik na swoim numerku, ale w przerwie południowej zabierał go znowu, składał porządnie i chował na powrót do szafy, wieszając w jego miejsce stary, zaoszczędzony. Jego mydło było twarde i nie pienilo się dobrze, za to starczało na miesiące. Ale z tego powodu Emil Lucius bynajmniej nie był zaniedbany, wyglądał zawsze czysto, starannie czesał i układał w przedziałek swoje rzadkie jasne włosy i najbardziej z wszystkich szanował bieliznę i ubranie.

Po porannej toalecie przychodziła kolej na śniadanie. Składało się ono z filiżanki kawy, kostki cukru i bułki. Większość uważała, że takie śniadanie nie jest zbyt obfite, młodzi bowiem po ośmiu godzinach snu są zazwyczaj rano porządnie głodni. Lucius był zadowolony. Odejmuwał sobie codzienną kostkę cukru od ust i zawsze znajdował na nią chętnego nabywcę, otrzymując za dwie kostki feniga albo za dwadzieścia pięć sztuk — zeszyt. Ma się rozumieć, że wieczorem chętnie pracował przy świetle cudzych lamp, aby oszczędzić drogiej nafty. Przy tym bynajmniej nie był dzieckiem ubogich rodziców, lecz pochodził z wcale zamożnego domu. Zresztą tak jest najczęściej, że dzieci zupełnie biednych rodziców rzadko kiedy umieją gospodarzyć i oszczędzać, raczej wydają tyle, ile mają, nie myśląc o odkładaniu.

Ale Emil Lucius rozciągnął swój system nie tylko na rzeczy i wartości uchwytne, próbował również ciągnąć zyski z królestwa ducha, gdzie się dało. Jako chłopak mądry nie zapomniał przy tym, że wszystko, co duch nabywa, ma zawsze wartość względną, a więc z prawdziwą pilnością oddawał się tylko studiowaniu tych przedmiotów, z których mógł mieć jakiś pożytek przy późniejszym egzaminie, w innych skromnie zadowolając się przeciętnymi stopniami. Wyniki swego nauczania mierzył stale wynikami kolegów i wolałby być prymusem z połowicznymi wiadomościami niż drugim z rzędu z podwójnymi. Toteż wieczorem, kiedy koledzy oddawali się przeróżnym rozrywkom, grom i lekturze, jego zawsze widziano siedzącego cicho przy pracy. Gwar na sali absolutnie mu nie przeszkadzał; przeciwnie, rzucał od czasu do czasu na kolegów zadowolone, wolne od zawiści spojrzenie — gdyby tamci uczyli się podobnie jak on, jego trud przestałby popłacać.

Tych wszystkich forteli i chytrych nikt jakoś nie brał za złe pracowitemu kujonowi. Lecz jak zawsze, gdy przekracza się miarę w dążeniu do własnej korzyści,

również Lucius uczynił wkrótce krok nierozważny. Ponieważ wszystkich przedmiotów uczono w klasztorze bezpłatnie, wpadł na pomysł wykorzystania tego i brania lekcji gry na skrzypcach. Nie żeby miał już jakiegokolwiek przygotowanie czy odrobinę słuchu i talentu lub choćby zamiłowania do muzyki! Ale pomyślał sobie: "Ostatecznie można nauczyć się gry na skrzypcach tak samo dobrze jak łaciny czy rachunków". Muzyka, jak słyszał, przydaje się w późniejszym życiu, a człowiek grający na instrumencie jest lubiany i chętnie widziany; w każdym razie nic to nie kosztuje, ponieważ seminarium daje nawet skrzypce do ćwiczeń.

Nauczycielowi muzyki Haasowi włosy stanęły dęba na głowie, gdy Lucius przyszedł do niego z prośbą, aby mu udzielał lekcji gry na skrzypcach. Znał go bowiem z lekcji śpiewu, na których Emil swoimi wyczynami wprawdzie wielce rozweselał klasę, ale jego, nauczyciela, doprowadzał do rozpacz. Próbował chłopcu rzecz wyperswadować, ale Lucius uśmiechał się dyskretnie, skromnie powołał się na przysługujące mu prawo i oświadczył, iż nie potrafi oprzeć się swemu zamiłowaniu do muzyki. Dano mu więc do ćwiczenia najgorsze z seminaryjnych skrzypiec, wyznaczono dwie lekcje tygodniowo i grał co dzień swoje pół godziny. Ale po pierwszej egzercytacji współlokatorzy oświadczyli, że to był pierwszy i ostatni raz i że wypraszą sobie na przyszłość takie przeraźliwe rzępolenie. Odtąd Lucius przemierzał nieustannie krużganki klasztoru, szukając cichego zakamarka do ćwiczeń, aby potem siać lęk w otoczeniu swymi piskami, zawodzeniami, zgrzytami i innymi osobliwymi dźwiękami. Wydawało się, mawiał poeta Heilner, że stare, umęczone i podziurawione przez komika skrzypce rozpaczliwie błagają, aby dać im spokój. Ponieważ postępów nie było, nieszczęśliwy nauczyciel stawał się coraz bardziej szorstki i nerwowy, podczas gdy Lucius ćwiczył jeszcze bardziej desperacko, a jego dotychczas tak zadowolona z siebie twarz kupczyka pokryła się wymownymi zmarszczkami. Rzecz zakrawała na tragedię, kiedy bowiem w końcu nauczyciel uznał go za całkowity antytalent i odmówił udzielania dalszych lekcji, chłopak opętany żądzą nauki przerzucił się na fortepian, zadając sobie nowe katusze na szereg długich, bezowocnych miesięcy, aż wreszcie dał za wygraną i cicho zrezygnował. W późniejszych latach jednak, gdy była mowa o muzyce, napomykał od niechcienia, że i on kiedyś brał lekcje gry na fortepianie i skrzypcach i jedynie nieprzychylnne warunki zmusiły go, niestety, do rozstania się z tymi pięknymi umiejętnościami.

Tak więc "Hellada" często miała możliwość rozerwania się kosztem swych zabawnych lokatorów, bo także pięknoduch Heilner urządził niejedną komiczną

scenę. Karl Hamel pozował na zimnego i ironicznego obserwatora. Był o rok starszy, co dawało mu pewną przewagę, ale nie udało mu się odegrać jakiejś znaczniejszej roli; ulegał humorom i przynajmniej raz na tydzień czuł potrzebę wypróbowania swej fizycznej tężyzny w bójce, przy czym wpadał w dzikość i niemal okrucieństwo.

Hans Giebenrath patrzył na to wszystko ze zdumieniem i szedł swoją cichą drogą — dobry, choć zamknięty w sobie kolega. Był pilny, prawie równie pilny jak Lucius, i poważany przez wszystkich współkompanów z wyjątkiem Heilnera, który wypisawszy na swoim sztandarze jako dewizę genialną lekkomyślność pokpiwał niekiedy z Hansa jako kujona. Ale na ogół ta duża gromadka chłopców, znajdujących się w okresie szybkiego rozwoju, nieźle się ze sobą zgadzała, mimo że wieczorne bójki w dormentach nie należały do rzadkości. Chłopcy bowiem dokładali wszelkich starań, aby móc czuć się naprawdę dorosłymi; poważnym stosunkiem do nauki oraz dobrym sprawowaniem chcieli zasłużyć na dość wyjątkową jeszcze formę "pan", stosowaną przez grono profesorskie; ukończoną zaś dopiero co szkołę łacińską wspominano co najmniej z takim samym uczuciem dumy i politowaniem, z jakim czynią to świeżo immatrykulowani studenci. Ale raz po raz ową maskę wystudiowanej godności odrzucała wrodzona chłopięca łobuzowatość, domagająca się swych praw. Wtedy dorment trząsł się od tupotu nóg i soczystych wyzwisk.

Dla kierownika czy nauczyciela podobnego zakładu rzeczą najbardziej ciekawą musi być obserwowanie, jak zachowuje się taka gromada chłopców po pierwszych tygodniach współżycia, kiedy przypomina zmieszane ze sobą różne składniki chemiczne, które to łączą się, to rozdzielają i grupują inaczej, aż wreszcie powstanie szereg stałych związków. Po przewyciężeniu pierwszej nieśmiałości i dostatecznym wzajemnym poznaniu się wszystkich zaczął się ruch i poszukiwania, tworzyły się grupy, ujawniały przyjaźnie i antypatie. Rzadko wchodzili z sobą w związki krajanie albo dawniejsi koledzy szkolni; większość, szukając instynktownie urozmaicenia i uzupełnienia, wolała raczej nowych znajomych: mieszczanie — synów chłopskich, górale — mieszkańców nizin. Młode istoty pełne niezdecydowania szukały się po omacku; obok przeświadczenia o łączącej ich więzi ujawniała się chęć zachowania odrębności, a u niejednego z chłopców budziły się przy tym po raz pierwszy z dziecięcego snu zaczątki indywidualności. Przedziwne, drobne sceny sympatii i zazdrości rozwijały się w przymierza i zdecydowane, zacięte nienawiści, a kończyły się rozmaicie — albo czułością i przyjacielskimi przechadzkami, albo też ostrymi walkami zapaśniczymi i na pięści.

Hans pozornie nie brał udziału w tym ruchu. Karl Hamel zaofiarował mu wyraźnie i natarczywie swą przyjaźń, ale Hans przerażony zrejterował. Zaraz potem Hamel zaprzyjaźnił się z lokatorem "Sparty" i Hans pozostał sam. Jakiś tajemny popęd sprawiał, że całą siłą swych uczuć ciążył ku tej krainie przyjaźni, która ukazywała mu się gdzieś na horyzoncie w wytęsknionych barwach i pełna szczęśliwości. Ale wstrzymywała go nieśmiałość. Lata surowego, pozbawionego matki dzieciństwa stłumiły w nim bezpośredniość, a przede wszystkim bał się wszelkiego uzewnętrzniania entuzjazmu. Do tego dochodziła duma chłopięca, a wreszcie i uprzykrzona ambicja. On był inny niż Lucius, jemu naprawdę chodziło tylko o zdobycie wiedzy, ale podobnie jak tamten starał się odsunąć od siebie wszystko, co mogłoby mu przeszkodzić w nauce. Siedział tedy wytrwale przy pulpicie, ale cierpiał z zawiści i tęsknoty, widząc innych czerpiących radość z przyjaźni. Karl Hamel nie był odpowiednim przyjacielem dla niego, gdyby jednak zjawił się ktoś inny, kto by miał siłę przywiązać go do siebie, chętnie by za nim poszedł. Siedział jak płochliwa dziewczyna, czekając, aż ktoś przyjdzie po niego, ktoś silniejszy i odważniejszy niż on, kto go porwie i zmusi do zakosztowania szczęścia.

Ponieważ obok tych zagadnień sama nauka, szczególnie język hebrajski, wymagała dużego nakładu pracy, pierwszy okres upłynął młodym ludziom bardzo szybko. Skupione wokół Maulbronn niewielkie jeziora i stawy odbijały teraz blade niebo późnej jesieni, więdnące brzozy, jesiony i dęby, oraz długie zmierzchy. Po wspaniałych borach szalała wyjąć zwycięsko przedzimowa wichura i kilkakrotnie już ukazał się lekki szron.

Liryczny Herman Heilner daremnie próbował znaleźć sobie pokrewnego duchem przyjaciela. W wolnych chwilach wałęsał się więc co dzień samotnie po lasach, szczególnym upodobaniem darząc leśne jezioro, melancholijną brunatną toń, obrzeżoną trzcina, zakrytą przez zwisające gałęzie starych, więdnących drzew. Smutne piękno tego leśnego zakątka urzekało marzyciela. Tu mógł w zadumie kreślić witką koła na wodzie, czytać "trzcinowe" wiersze Lenaua i leżąc w niskich szuwarach przybrzeżnych rozmyślać na jesienny temat śmierci i przemijania przy melancholijnym akompaniamencie szelestu spadających liści i szumu nagich konarów. Wtedy często wyjmował mały czarny zeszyt z kieszeni, aby zapisać w nim ołówkiem jeden, dwa wiersze.

Na tej czynności przyłapał go pewnego popołudnia, późną porą październikową, Hans Giebenrath, kiedy zaszedł spacerem w to samo miejsce.

Młodociany poeta siedział w zamyśleniu na drewnianej kładce małej śluzy, z zeszytem na kolanach i zaostrzonym ołówkiem między wargami. Obok leżała otwarta książka. Hans wolno zbliżył się do kolegi.

- Jak się masz, Heilner! Co robisz?
- Czytam Homera. A ty, Giebenratku?
- Nie wierzę. Ja już wiem, co robisz.
- Wiesz?
- Naturalnie. Układasz wiersze.
- Myślisz?
- Oczywiście.
- Siadajże!

Giebenrath usiadł obok Heilnera na kładce machając nogami nad wodą i przyglądał się, jak tu i ówdzie brązowy liść leciał kręcąc się w cichym, chłodnym powietrzu i bezszelestnie opadał na brunatną powierzchnię.

- Smętnie tu jakoś — powiedział Hans.
- Masz rację.

Obaj ułożyli się na wznak, tak że z całego jesiennego otoczenia dostrzegali zaledwie kilka schylonych wierzchołków drzew, a poza tym już tylko jasnoblękitne niebo ze spokojnie płynącymi wyspami obłoków.

- Jakie ładne chmury! — zauważył Hans patrząc na nie z przyjemnością.
- Ładne. Ach, Giebenratku — westchnął Heilner — żeby to można było zamienić się w taką chmurę!
- Co wtedy?
- Wtedy zeglowałibyśmy tam w górze, nad lasami i wioskami, urzędami i krajami, jak piękne okręty. Czy nigdy nie widziałeś okrętu?
- Nie. A ty?
- Ja widziałem. Ale, mój Boże, ty się przecież nie znasz na takich rzeczach. Tobie tylko uczyć się, kuć, piąć w górę.
- Uważasz mnie więc za osła?
- Tego nie powiedziałem.
- Taki głupi, jak myślisz, jeszcze nie jestem. Ale opowiadaj dalej o tych okrętach.

Heilner obrócił się, przy czym o mało nie wpadł do wody. Leżał teraz na brzuchu, z brodą w dłoniach, podparty na łokciach.

— Widziałem takie statki — ciągnął dalej — na Renie podczas wakacji. Raz w niedzielę była w nocy muzyka na pokładzie i kolorowe latarnie. Światła odbijały się w wodzie i jechaliśmy przy muzyce z prądem. Wszyscy pili reńskie wino, a dziewczęta były ubrane w białe sukienki.

Hans słuchał i nic nie mówił, ale zamknął oczy i widział statek płynący w letnią noc, z muzyką, czerwonymi światłami i dziewczętami w białych sukniach. Heilner mówił dalej:

— Tak, to było co innego niż teraz. Kto tu coś wie o takich sprawach? Sami nudziarze i obłudnicy! Morduje się to i haruje, i nie zna nic wznioślejszego od hebrajskiego alfabetu. Ty też nie jesteś inny.

Hans milczał. Ten Heilner jest jednak dziwnym człowiekiem. Fantasta, poeta. Już nieraz się nad nim zdumiewał. Dla nikogo nie było tajemnicą, że Heilner uczył się zadziwiająco mało, mimo to umiał dawać trafne odpowiedzi i miał dużo wiadomości, chociaż w zasadzie nimi gardził.

— Czytamy Homera — szydził dalej — jak gdyby *Odyseja* była książką kucharską. Dwa wiersze na godzinę, a potem przeżuwa się i analizuje słowo po słowie, i bada, aż obrzydliwość bierze. Ale na zakończenie lekcji słyszymy zawsze: "Widzicie, jak udatnie poeta to ujął, zajrzeliście tu, panowie, w arkana poetyckiego kunsztu!" To tylko taki sobie sos do partykuł i aorystów, żeby się człowiek nimi nie udławił! Niech się wypchają takim Homerem. A zresztą, co nas właściwie ta stara greczyzna obchodzi? Niechby który z nas spróbował trochę żyć po grecku, wylano by go z zakładu! Do tego naszą salę nazwali "Helladą"! Czyste kpiny! Czemu nie nazywa się "Śmietnikiem" albo "Klatką", albo "Cylindrem"? Cały ten klasyczny kram to bujda!

Splunął w powietrze.

— Słuchaj, czyś ty przedtem układał wiersze? — zapytał Hans.

— Tak.

— O czym?

— O tym, o jeziorze i jesieni.

— Pokaż!

— Nie, jeszcze nie skończone.

— Ale jak skończysz?

— Dobrze, skoro chcesz...

Podnieśli się i wrócili wolno do klasztoru.

— Spójrz, czy zauważyłeś już kiedy, jakie to ładne? — powiedział Heilner, gdy mijali Raj. — Hale, łukowe okna, krużganki, refektarze, gotyckie i romańskie, wszystko bogate, artystyczne, same dzieła sztuki. I dla kogo ta parada? Dla kilkudziesięciu biednych chłopców, którzy mają zostać pastorami. Państwo na to stać.

Hans przez całe popołudnie myślał tylko o Heilnerze. Co to był za człowiek? Kłopoty i pragnienia Hansa dla niego w ogóle nie istniały. Miał własne myśli i słowa, jego życie było jakieś swobodniejsze i cieplejsze i zdawał się czuć pogardę do całego otoczenia. Nie było mu obce piękno starych kolumn i murów. I uprawiał ową tajemniczą, osobliwą sztukę, dzięki której potrafił odzwierciedlać swą duszę w wierszach i budować swój własny urojony świat fantazji. Był ruchliwy, wręcz nieokiełznany i robił dziennie więcej kawałów niż Hans w ciągu roku. Był melancholikiem i rozkoszował się niejako własnym smutkiem jak czymś nieznanym, wyjątkowym, wspaniałym.

Jeszcze tego samego dnia wieczorem Heilner dał całej sali próbkę swego nierównego, ekscentrycznego usposobienia. Jeden z kolegów, niejaki Otto Wenger, silny w gębie, a małego ducha, zaczął z nim sprzeczkę. Z początku Heilner reagował spokojnie, roztropnie, z wyższością, ale potem poniosło go i wymierzył koledze policzek. Wkrótce przeciwnicy zwarli się w pasji i tworząc jeden kłęb na podłodze miotali się jak okręt bez steru po "Helladzie", to posuwając się, to zataczając kręgi, to podrywając się i obijając ciałami o ściany i stoliki w pokoju, i to bez jednego słowa, sapiąc, pieniąc się i dławiąc ze złości. Koledzy stali i obserwowali ich krytycznie, uskakując w porę przed ruchomym kłębkim, ratując swoje nogi, pulpity i lampy, czekając w radosnym napięciu na wynik. Po kilku minutach Heilner uniósł się z trudem, wyswobodził się i przystanął dysząc. Był podrapany, miał czerwone oczy, rozdarty kołnierzyk i dziurę w spodniach na kolanie. Przeciwnik chciał znów rzucić się na niego, ale Heilner stanął z założonymi rękami i powiedział wyniośle:

— Ja się już nie bawię, a ty jeśli chcesz, to bij.

Otto Wenger odszedł wymyślając. Heilner oparł się o swój pulpit, pokręcił coś przy lampie i włożył ręce w kieszenie z taką miną, jakby chciał sobie coś przypomnieć. Nagle łzy potoczyły mu się z oczu, jedna po drugiej, coraz szybciej. To było niesłychane, bo płacz uchodził niewątpliwie za najgorszą hańbę, jaką seminarzysta mógł na siebie ściągnąć. W dodatku Heilner nic nie robił, żeby go ukryć. Nie opuścił sali, tylko stał spokojnie, zwróciwszy przybladłą twarz ku lampie. Nie ocierał łez i nie

wyjął nawet rąk z kieszeni. Reszta otoczyła go przyglądając mu się ciekawie i złośliwie, aż w końcu Hartner stanął przed nim i zapytał:

— Słuchaj, Heilner, czy ty się nie wstydzisz?

Płaczący rozejrzał się wolno, jak ktoś, kto budzi się z głębokiego snu.

— Wstydzić się przed wami? — powiedział następnie głośno i pogardliwie. — Nie, mój kochany.

Otarł twarz, uśmiechnął się gniewnie, zdmuchnął swoją lampę i wyszedł z sali.

Podczas całej tej sceny Hans Giebenrath pozostawał na swoim miejscu, zerkając tylko ze zdziwieniem i przestraczem na Heilnera. W kwadrans później odważył się pójść za nim. Zobaczył go, jak siedział nieruchomo w ciemnym, zimnym dormencie, na jednym z niskich gzymsów okiennych, spoglądając na krużganek. Od tyłu jego ramiona i wąska, ostro zarysowana głowa sprawiały dziwnie poważne i niechłopiące wrażenie. Nie drgnął nawet, gdy Hans podszedł do niego i przystanął przy oknie, i dopiero po chwili, nie odwracając głowy, zapytał ochrypłym głosem:

— O co chodzi?

— To ja — powiedział Hans nieśmiało.

— Czego chcesz?

— Nic.

— Tak? To możesz sobie iść!

Hans poczuł się urażony i chciał rzeczywiście odejść. Wtedy Heilner zatrzymał go.

— Czekałże — powiedział siląc się na żartobliwy ton — nie mówiłem tego na serio.

Obaj spojrzeli sobie w oczy i prawdopodobnie każdy z nich przyjrzał się w tym momencie po raz pierwszy dokładnie twarzy drugiego, próbując wyobrazić sobie, że za tymi młodzieńczo gładkimi rysami kryje się odrębny żywot ludzki z wszystkimi swymi właściwościami i odrębna, na swój sposób ukształtowana dusza.

Powoli Herman Heilner wyciągnął rękę, chwycił Hansa za ramię i przyciągnął ku sobie, aż ich twarze znalazły się zupełnie blisko. Potem Hans z uczuciem dziwnego strachu poczuł nagle wargi tamtego na swoich ustach.

Nie znany przedtem niepokój ścisnął jego głośno bijące serce. To siedzenie sam na sam w ciemnym dormencie i ów nagły pocałunek były czymś awanturnicznym, może nawet niebezpiecznym; przysła mu do głowy straszna myśl, co by się stało, gdyby ich tu zaskoczono, nieomylnie bowiem wyczucie szeptało mu, że ów pocałunek wydałby



się tamtym czymś jeszcze o wiele śmieszniejszym i haniebniejszym niż uprzedni płacz. Nie mógł nic powiedzieć, ale krew uderzyła mu mocno do głowy i najchętniej byłby uciekł.

Dorośli, który zobaczyłby ową drobną scenę, ucieszyłby się może z tej niezdarnej, bojaźliwej czułości towarzyszącej wstydliwemu wyznaniu przyjaźni i z tych dwóch poważnych, szczupłych twarzy chłopięcych, ładnych i wiele obiecujących, nie pozbawionych jeszcze dziecięcego wdzięku, choć już z nalotem nieśmiałej, pięknej hardości młodzieńczej.

Z biegiem czasu młody świat zżył się z sobą. Poznano się bliżej, każdy miał jakieś wiadomości i pojęcie o drugim, zawarto mnóstwo związków przyjaźni. Powstały pary przyjacielskie uczące się razem hebrajskich słówek, pary, które rysowały razem, i pary chodzące razem na spacer, czytające razem Schillera. Znaleźli się dobrzy łacinnicy i kiepscy matematycy, którzy zaprzyjaźnili się z marnymi łacinnikami i dobrymi matematykami, chcąc korzystać z owoców współpracy. Zawiązały się też przyjaźnie oparte na innej postaci umowy i wspólnoty dóbr. Tak więc posiadacz wzbudzającej tyle zazdrości szynki znalazł swoje uzupełnienie w synu ogrodnika ze Stammheim, u którego dno szafy zasiane było dorodnymi jabłkami. Pewnego razu, gdy zajadał w najlepsze szynkę, zachciało mu się pić; poprosił więc tamtego o jabłko, częstując go w zamian swoją szynką. Gdy usiedli razem, w toku ostrożnej rozmowy wyszło na jaw, że po zjedzeniu tej szynki nadejdzie natychmiast inna, a także, że właściciel jabłek aż do późnej wiosny będzie mógł czerpać z ojcowskich zapasów, i w ten sposób zawiązała się solidna przyjaźń, która przetrwała niejednen związek zawarty na podstawach bardziej idealnych i romantycznych.

Tylko niewielu szło samopas, wśród nich Lucius, którego namiętne zamiłowanie do sztuki było wówczas jeszcze w pełni rozkwitu.

Trafiały się też pary niedobre. Za takich właśnie uchodzili przede wszystkim Herman Heilner i Hans Giebenrath — związek lekkomyślnego z sumiennym, poety z kujonem. Zaliczano wprawdzie obydwóch do inteligentnych i najzdolniejszych wychowanków, ale Heilner cieszył się na wpół ironiczną sławą geniusza, Giebenrath zaś był według opinii przykładnym uczniem. Nie dokuczano im jednak specjalnie, ponieważ każdy zajęty był sobą i swoją własną przyjaźnią.

Mimo tych osobistych zainteresowań i przeżyć nauka bynajmniej nie ponosiła uszczerbku. To ona nadawała ów wysoki ton i rytm, obok którego muzyka Luciusa, poetyzowanie Heilnera oraz wszystkie przymierza, zwady i okolicznościowe bójkki były

tylko drobnym urozmaiceniem. Przede wszystkim hebrajszczyzna dawała się we znaki. Osobliwy, prastary język Jehowy, oporne, uschnięte, a jednak w tajemny sposób żywe jeszcze drzewo wyrastało egzotycznie, sękatą i zagadkowo przed oczyma młodzieńców, zastanawiając cudacznymi rozgałęzieniami i zdumiewając przedziwnie ubarwionymi i woniejącymi kwiatami. W jego konarach, dziuplach i korzeniach gnieździły się strach lub entuzjazm budzące tysiącletnie duchy: fantastyczne, groźne smoki, naiwnie urocze baśnie, pomarszczone i zaszuszone oblicza poważnych starców, obok pięknych chłopców i łagodnookich dziewcząt czy wojowniczych niewiast. To, co w Biblii Lutra pobrzmiwało nierzeczywistym, dalekim echem, tu, w tym szorstkim, litym języku, nabierało obecności krwi i życia, ukazując świat ciężki i niedzisiejszy, lecz twardy i groźny. Tak przynajmniej wydawało się Heilnerowi, który choć co dzień i co godzinę przeklinał ów Pięcioksiąg, znajdował w nim jednak i brał zeń więcej życia i ducha, niż był w stanie przeżyć wytrwały kujon, znający wszystkie słówka i umiejący czytać bezbłędnie.

Obok Starego był Nowy Testament, w którym jest więcej uczucia, jasności i głębi, którego język jest wprawdzie mniej stary, nie tak przepastny i bogaty, ale za to ożywiony młodym, gorliwym, a nawet marzycielskim duchem.

A dalej *Odyseja*, z której jędrnych, dźwięcznych wierszy, płynących silnym, równomiernym nurtem, wynurza się niczym białe, krągłe ramię nimfy wieść i marzenie o zaginionym szczęśliwym świecie, obraz to konkretny i namacalny, w którym nawet jakiś rys rubaszny występuje czasem śmiało, to znów nierealny, ukazany tylko w kilku słowach czy wierszach, jak sen, jak piękna wizja.

Obok tych arcydzieł historycy Ksenofont i Liwiusz ginęli albo przynajmniej pozostawali na uboczu, jako mniejsze gwiazdy, skromne i niemal bez blasku.

Hans spostrzegł ze zdziwieniem, jak inaczej przedstawiają się te wszystkie sprawy dla jego przyjaciela niż dla niego. Heilner odrzucał wszelką abstrakcję, dla niego nie istniało nic, czego nie umiałby sobie wyobrazić i namalować barwami fantazji. Tam gdzie mu się to nie udawało, rzucał wszystko z niechęcią. Matematyka była dla niego pełnym podstępnych zagadek sfinksem, którego chłodny, zły wzrok urzekał swe ofiary. Toteż omijał tego potwora z daleka.

Przyjaźń obu chłopców była dziwnym związkim. Dla Heilnera stanowiła ona zabawkę i zbytek, wygodę czy też kaprys, dla Hansa zaś była chwilami z dumą ukrywanym skarbem, to znów ciężkim do udźwignięcia brzemieniem. Do tej pory Hans wykorzystywał stale godziny wieczorne do pracy. Teraz zdarzało się niemal co

dzień, że Herman, znudzony wkuwaniem, przychodził do niego, zabierał mu książkę i zajmował bez reszty swoją osobą. W końcu Hans, mimo że tak bardzo lubił przyjaciela, drżał co wieczór przed jego nadejściem, a w obowiązkowych godzinach przykładał się ze zdwojoną gorliwością i pośpiechem do pracy, aby nie opuścić się w nauce. Jeszcze przykrzejsze było dlań, gdy Heilner również i teoretycznie zaczął zwalczać jego pilność.

— To pańszczyzna — mawiał — przecież i tak nie robisz tego wszystkiego chętnie ani dobrowolnie, lecz wyłącznie ze strachu przed profesorami czy też przed twoim starym. Co ci z tego przyjdzie, że będziesz pierwszy albo drugi? Ja jestem dwudziesty, a mimo to wcale nie jestem głupszy od was, kujonów.

Hans przestraszył się także, gdy po raz pierwszy zobaczył, jak Heilner obchodzi się z podręcznikami szkolnymi. Zostawił kiedyś w klasie swoje książki, a ponieważ chciał się przygotować do następnej lekcji geografii, pożyczył od Heilnera atlas. Ujrzał wtedy ze zgrozą, że przyjaciel zasmarował całe kartki ołówkiem. Linię zachodniego wybrzeża pirenejskiego przerobił na jakiś groteskowy profil, gdzie nos sięgał od Porto do Lizbony, w okolicy przylądka Finisterre znalazła się wyloczkowana koafiura, podczas gdy przylądek St Vincent tworzył pięknie podkreślony czubek brody. Tak wyglądały wszystkie kartki; na białych odwrotach narysował Heilner karykatury i wypisał zuchwałe wiersze satyryczne, nie brakło także plam z atramentu. Hans przywykł traktować swoje książki jak relikwie i klejnoty, toteż odczuł te wybryki po części jako bluźnierstwo, po części zaś jako wprawdzie zbrodnicze, ale bohaterские wyczyny.

Mogło się zdawać, że poczciwy Giebenrath stanowi dla swego przyjaciela jedynie miłą zabawkę, powiedzmy, coś w rodzaju kota domowego, i sam Hans czasem też odnosił takie wrażenie. Heilner był jednak przywiązany do niego, ponieważ go potrzebował. Musiał mieć kogoś, komu mógłby się zwierzać, kto by go wysłuchiwał i podziwiał. Potrzebował kogoś, kto chciwie i w milczeniu słuchałby jego rewolucyjnych przemówień przeciw szkole i życiu, kto by go pocieszał i na czyich kolanach mógłby składać głowę w godzinach nachodzącej go melancholii. Jak wszystkie takie natury, młody poeta miewał napady nieuzasadnionej, nieco kokieteryjnej depresji, wynikającej po części z nie dostrzeżonego żegnania dzieciństwa, po części z bezkierunkowego jeszcze nadmiaru sił, przeczuć i żądz, wreszcie z nie zrozumianego, niejasnego niepokoju dojrzewania. Wtedy czuł chorobliwą potrzebę współczucia i pieczy.

Przedtem był ulubieńcem matki, teraz zaś, póki jeszcze nie dojrzał do miłości kobiecej, uległy przyjaciel służył mu za pocieszyciela.

Nieraz przychodził wieczorem do Hansa zupełnie roztrzęsiony, porywał go od zadań zadając, aby z nim wyszedł do dormentu. Tam, w innej hali albo w wysokim, mrocznym oratorium, przechadzali się lub siedzieli dygocąc z zimna w okiennej wnęce. Heilner, zwyczajem lirycznych młodzieńców czytujących Heinego, wygłaszał różne żalosne skargi i bujał w obłokach nieco dziecinnego smutku, nie zawsze dla Hansa zupełnie zrozumiałego, lecz który mimo to wywierał na nim pewne wrażenie i który niekiedy nawet jemu się udzielał. Wrażliwy pięknoduch popadał w taką depresję szczególnie w ciemne, niepogodne dni, a jęki i biadolenia osiągały swój szczytowy punkt w wieczory, kiedy deszczowe chmury późnej jesieni zasępiły niebo, a księżyc przedzierał się przez ponure ich strzepy i szczeliny. Wtedy Heilner pławił się w osjanicznych nastrojach i rozplýwał w mglistej rzewności, wylewającej się potokiem westchnień, przemówień i wierszy na Bogu ducha winnego Hansa.

Przybity i gnębiony takimi cierpięciznymi scenami, Hans w pozostałych godzinach rzucał się z pospiesznym zapalem do pracy. Ale sprawiała mu ona coraz większe trudności. Nie dziwił się już, że powrócił dawny ból głowy, ale fakt, że coraz częściej zdarzały mu się godziny, w których nie był zdolny do pracy, gdy musiał natężyć całą wolę, aby odrobić chociaż to, co najkonieczniejsze, martwił go i przygnębiał. Wprawdzie czuł niejasno, że przyjaźń z dziwakiem wyczerpuje go i że wskutek niej choruje jakaś dotychczas nie tknięta część jego istoty, ale czym posepniejszy i płaczliwszy był Heilner, tym bardziej było mu go żal i tym większą tkliwością i dumą napawała go świadomość, że przyjaciel nie potrafi się bez niego obejść.

Przy tym zdawał sobie sprawę, że owo chorobliwe rozrzewnienie jest tylko emanacją niepotrzebnych i niezdrowych popędów i właściwie nie tkwi w charakterze Heilnera, którego wiernie i szczerze podziwiał. Gdy przyjaciel czytał mu swoje wiersze albo rozprawiał o swoich ideałach literackich, kiedy wygłaszał z pasją i żywo gestykulując monologi z Schillera i Szekspira, Hansowi zdawało się, że tamten kroczy po przestworzach dzięki jakiejś czarodziejskiej lasce, której jemu samemu nie dostaje, że porusza się w krainie boskiej swobody i żarliwej namiętności, oddalając się od niego i podobnych mu śmiertelników niczym homerycki skrzydlatostopy goniec bogów. Dotychczas świat poetów był dla niego nie znany i mało ważny, teraz zaś po raz pierwszy poddał się mu i odczuł potęgę ułudy zawartej w pięknie płynących słowach,

mamiących widziadłach i miłych dla ucha rymach. Uwielbienie dla tego nowoodkrytego świata zlało się w jedno uczucie z podziwem dla przyjaciela.

Tymczasem nadeszły burzliwe, mroczne dni listopadowe, podczas których zaledwie kilka godzin można było pracować bez lampy, i czarne noce, kiedy wichura gnała duże, skłębione góry chmur po ciemnych wysokościach i z jękiem lub jazgotem uderzała w stare mocne budynki klasztorne. Drzewa straciły już resztę liści, jedynie potężne, sęcate, rozgałęzione dęby, królowie owego obfitującego w lasy krajobrazu, szumiały jeszcze głośniejsze i swarliwiejsze niż wszystkie inne drzewa. Heilner popadł w zupełną melancholię i od niedawna, zamiast wysiadywać u Hansa, wygrywał w odległym pokoju muzycznym w zupełnej samotności na skrzypcach albo szukał zwady z kolegami.

Pewnego wieczoru, kiedy o zwykłej porze chciał się zająć swoim muzykowaniem, zastał przed pulpitem do nut gorliwego Luciusa, zajętego ćwiczeniem. Zły, oddalił się i powrócił za pół godziny. Lucius ciągle jeszcze ćwiczył.

— Mógłbyś wreszcie przestać — ofuknął go Heilner. — Inni ludzie też chcą ćwiczyć. Twojego rzępolenia i tak mają wszyscy dosyć.

Lucius nie chciał ustąpić, Heilner uniósł się, a gdy tamten spokojnie podjął swoje rzępolenie, Heilner kopnięciem przewrócił mu pulpit, tak że nuty rozsypały się po pokoju, a pulpit uderzył grającego w twarz.

— Poskarżę się panu eforusowi — oznajmił Lucius stanowczym głosem.

— Proszę bardzo! — krzyknął Heilner w złości. — A nie zapomnij mi powiedzieć, że dołożyłem ci jeszcze kopniaka gratis! — Chciał natychmiast przystąpić do czynu.

Lucius uskoczył w bok i uciekając dopadł drzwi. Jego prześladowca pognął za nim. Rozpoczęła się gorączkowa i hałaśliwa gonitwa po korytarzach i salach, przez schody i sienie aż do najdalszego skrzydła klasztoru, gdzie w cichym odosobnieniu znajdowało się mieszkanie eforusa. Heilner dopadł uciekiniera tuż przed jego gabinetem. Lucius zdążył już zapukać i stanąć w otwartych drzwiach, kiedy w ostatnim momencie otrzymał obiecane kopniaka, tak że nie zdoławszy zamknąć za sobą drzwi wleciał jak pocisk do sanktuarium władcy.

Był to niesłychany wypadek. Nazajutrz eforus wygłosił przemówienie o zwyrodnieniu młodzieży. Lucius wysłuchał go ze skupieniem i uznaniem, a Heilnera ukarano ciężkim karcerem.

— Od szeregu lat — grzmiał eforus pod jego adresem — nie wydarzyła się tu podobna kara. Postaram się o to, żeby pan jeszcze i za dziesięć lat o niej pamiętał. Wam wszystkim zaś ukazuję Heilnera jako odstrasżający przykład.

Cała klasa zerkała nieśmiało ku niemu, on zaś stał blady i hardy, nie unikając wzroku eforusa. W duchu wielu go podziwiała, mimo to jednak po lekcji, kiedy wszyscy hałasowali na korytarzach, pozostał samotny i omijano go jak trędowatego. Trzeba było odwagi, żeby teraz stanąć po jego stronie.

Również Hans Giebenrath nie uczynił tego. Czuł, że było to jego obowiązkiem, i cierpiał z powodu swego tchórzostwa. Nieszczęśliwy i zawstydzony, wtulił się we wnękę okienną i nie śmiał podnieść oczu. Ciągnęło go, aby odszukać przyjaciela, i dużo by dał, by móc to niepostrzeżenie uczynić. Ale w klasztorze uczeń ukarany ciężkim karcerem jest jak napiętnowany. Wszyscy wiedzą, że znajduje się odtąd pod specjalną obserwacją i że zadawanie się z nim w tym okresie jest niebezpieczne i niejednemu może zepsuć opinię. Dobrodziejstwa, jakimi państwo obdarza swych wychowanków, musi równoważyć ostra, surowa dyscyplina, wspomniano o tym już w wielkim przemówieniu na uroczystości przyjęcia. Oczywiście i Hans o tym wiedział, toteż uległ w walce między obowiązkiem przyjaźni a ambicją. Ideałem jego było piąć się w górę, zdawać trudne egzaminy, grać w życiu rolę, ale bynajmniej nie romantyczną ani niebezpieczną. Zaszył się więc bojaźliwie w swoim kącie. Jeszcze był czas, żeby wystąpić i okazać odwagę, z każdą chwilą jednak trudniej było się na to zdobyć i nim się opatrzył, zdrada stała się faktem dokonany.

Heilner widział to wszystko; był zbyt wrażliwy, aby nie wyczuć, że go unikano, i rozumiał dlaczego, na Hansie jednak polegał. Wobec goryczy i oburzenia, jakie teraz odczuwał, dotychczasowe jego jałowe żale wydały mu się błahe i śmieszne. Na moment przystanął obok Giebenratha. Blady i wyniosły, rzekł szeptem:

— Jesteś zwykłym tchórzem, Giebenrath! Wstyd, do diabła! — I odszedł pogwizdując z cicha, z rękami w kieszeni.

Dobrze się stało, że inne myśli i czynności zajęły młodych ludzi. W parę dni po owym zajściu spadł nagle śnieg i nastąpiła mroźna, czysta pogoda zimowa, w sam raz do lepienia kul śnieżnych i jazdy na łyżwach. Wtedy wszyscy nagle spostrzegli i zaczęli o tym mówić, że Boże Narodzenie i wakacje świąteczne są tuż-tuż.

Na Heilnera prawie nie zwracano uwagi. Chodził milczący i hardy, z podniesioną głową i wyniosłą miną, nie rozmawiał z nikim i wpisywał często wiersze do oprawionego w czarną ceratę zeszytu z napisem: *Pieśni zakonnika*.

Z dębów, olch, buków i wierzb szron i zmarznięty śnieg zwiślał w misternych arabeskach. Kryształowy lód skuwający stawy chrzęścił na mrozie. Dziedziniec klasztorny wyglądał jak cichy ogród marmurowy. Wesole, przedświąteczne podniecenie objęło wszystkie pokoje; radość oczekiwania sprawiła, że na twarzach obu wstrzemięźliwych, dostojnych profesorów pojawił się błysk łagodności i pogodnego ożywienia. Wśród nauczycieli i uczniów nie było nikogo, kogo by święta nie poruszyły, nawet Heilner miał mniej zacięty i nieszczęśliwy wygląd, a Lucius zastanawiał się, jakie książki i jaką parę butów zabrać na wakacje. Listy nadchodzące z domu zawierały różne piękne, obiecujące zwroty: zapytania o specjalnie gorące życzenia, opisy przygotowań świątecznych, napomknienia o czekających niespodziankach i wyrazy radości z powodu rychłego spotkania.

Przed wyjazdem na ferie cała szkoła, a szczególnie "Hellada", przeżyła pewne drobne, ale nader wesołe zdarzenie. Postanowiono zaprosić grono profesorskie na wieczornicę świąteczną, która miała się odbyć w "Helladzie", jako największej ze wszystkich sal. Przygotowano świąteczne przemówienie, dwie deklamacje, solo na flet i duet na skrzypce. Ale w program miał wejść bezwarunkowo jakiś humorystyczny numer. Radzono i pertraktowano, układano plany i zarzucano je znowu, nie mogąc nic uzgodnić. Wtem Karl Hamel rzucił mimochodem słówko, że najzabawniejsze byłoby właściwie solo skrzypcowe Emila Luciusa. To chwyciło. Prośbami, obietnicami i groźbami doprowadzono nieszczęsnego grajka do tego, że się zgodził. I teraz w programie, przesłanym profesorom wraz z uprzejmym zaproszeniem, widniał specjalny numer "*Cicha noc*, pieśń na skrzypce w wykonaniu Emila Luciusa, wirtuoza kameralnego." Tytuł ten zawdzięczał Lucius swoim pilnym ćwiczeniom w owym odosobnionym pokoju muzycznym.

Eforus, profesorowie, repetytorzy, nauczyciel muzyki i starszy famulus byli zaproszeni i zjawili się na uroczystości. Nauczycielowi muzyki pot uderzył na czoło, kiedy wystąpił Lucius w pożyczonym od Hartnera czarnym surducie z długimi połami, ufryzowany i wyprasowany, z potulnie skromnym uśmiechem. Już sam jego ukłon pobudzał do śmiechu. Kolęda *Cicha noc* przemieniła się w jego interpretacji w przejmującą skargę, rozdzierającą, bolesną pieśń cierpienia; zaczynał dwukrotnie, porąbał i poszatkował melodię, wybijał takt nogą i pracował niczym drwał na mrozie.

Pan eforus, rozweselony, pokiwał głową w kierunku nauczyciela muzyki, który zbladł z oburzenia.

Kiedy Lucius po raz trzeci rozpoczął pieśń i znowu utknął, opuścił skrzypce i zwrócił się do słuchaczy z usprawiedliwieniem:

— Nie idzie jakoś. Ale bo też ja dopiero od jesieni gram na skrzypcach!

— Już dobrze, Lucius! — zawołał eforus. — Dziękujemy panu za wszystkie wysiłki. Niech się pan tylko tak dalej stara. *Per aspera ad astra!*

Dwudziestego czwartego grudnia od trzeciej rano panował w sypialniach ruch i wrzawa. Na oknach kwitły grube warstwy cienkolistnych kwiatów, woda do mycia zamarzała i po dziedzińcu klasztornym hulał tnący, mroźny wiatr, lecz nikt na to nie zważał. W sali jadalnej dymiły duże wiadra z kawą. Wkrótce potem uczniowie opatuleni w płaszcze i pledy wędrowali ciemnymi gromadkami przez białe, blado jaśniejące pola i przez milczący las ku dalekiej stacji kolejowej. Wszyscy rozmawiali, dowcipkowali i śmiali się głośno, a przy tym każdy był pełen skrytych pragnień, radości i oczekiwań. Wiedzieli, że hen po całym kraju, w miastach, po wsiach, w samotnych zagrodach, czekają na nich w ciepłych, odświeżonych przystrojonych izbach rodzice, bracia i siostry. Dla większości z nich były to pierwsze święta, na które przyjeżdżali z daleka, i wiedzieli, że oczekuje się ich z miłością i dumą.

Na małej stacyjce w głębi ośnieżonego lasu czekali w siarczystym mrozie na pociąg i nigdy jeszcze nie panowała między nimi taka zgoda, ustępliwość i wesołość. Tylko Heilner był samotny i milczący, a kiedy nadjechał pociąg, odczekał, aż koledzy wsiądą, potem sam wszedł do innego wagonu. W czasie przesiadania na następnej stacji Hans widział go jeszcze raz, ale przelotne uczucie zawstydzienia i skruchy szybko utonęło w zdenerwowaniu i radości spowodowanej powrotem do domu.

W domu zastał zadowolonego i uśmiechającego się pod wąsem ojca oraz bogato zastawiony podarunkami stół. Prawdziwych świąt co prawda w domu Giebenrathów nie było. Brakowało kolęd i nastroju świątecznego, brakowało matki i choinki. Pan Giebenrath nie znał się na sztuce urządzania świąt. Ale był dumny ze swego chłopca i nie szczędził tym razem podarunków. A Hans nie znał innych świąt, toteż nie odczuwał jakiegokolwiek braku.

Uważano, że źle wygląda, że jest za chudy i za blady, i pytano, czy też wikt klasztorny jest taki skąpy. Hans zaprzeczył żywo, zapewniając, że mu tam zupełnie dobrze, tylko że go często boli głowa. W tym względzie pocieszył go pastor, twierdząc, że sam za młodu cierpiał na bóle głowy, i tym samym wszystko zostało załatwione.

Rzeka zamarzała na dobre i w święta roiło się na niej od łyżwiarzy. Hans prawie cały dzień przebywał na ślizgawce, w nowym ubraniu, z zieloną czapką seminarzysty



na głowie, wyniesiony ponad swoich dawnych kolegów szkolnych w jakiś wyższy, zazdrość wzbudzający świat.

## **Rozdział czwarty**

Wiadomo z doświadczenia, że zwykle z każdego rocznika seminarzystów ubywa w ciągu czterech lat nauki jeden lub więcej kolegów. Czasami któryś umiera i chowa się go ze śpiewami lub też przewozi w asyście przyjaciół w strony rodzinne. Czasami ktoś się sam gwałtownie wyswobadza albo zostaje wydalony z powodu jakichś wyjątkowych przekroczeń. Niekiedy, choć rzadko i jedynie w wyższych klasach, zdarzy się też, że jakiś chłopak szuka błyskawicznego, posępnego wyjścia ze swych młodzieńczych niedoli za pomocą wystrzału lub skoku do wody.

Także rocznik Hansa Giebenratha miał utracić paru towarzyszy i dziwnym zrządzeniem przypadku wszyscy byli mieszkańcami "Hellady".

Wśród jej lokatorów znajdował się skromny, jasnowłosy chłopaczek nazwiskiem Hindinger, przezywany "Hindusem", syn krawca gdzieś z diaspory Algowii. Był to spokojny kolega, który dopiero swoim odejściem narobił nieco wrzawy, ale nawet i wtedy nie za wiele. Będąc sąsiadem z ławki wirtuoza kameralnego, oszczędnego Luciusa, uprzejmy i skromny, miał z nim nieco więcej styczności niż z innymi, ale poza tym nie posiadał żadnych przyjaciół. Ale kiedy go zabrakło, spostrzeżono w "Helladzie", że lubiano go jako bezpretensjonalnego, dobrego kolegę i jako oazę spokoju w niejednokrotnie burzliwym życiu sali.

Hindinger gdzieś w styczniu przyłączył się pewnego dnia do łyżwiarzy, którzy wyruszali na staw. Wprawdzie łyżew nie miał, ale chciał się choć raz przypatrzeć ślizgającym się kolegom. Wkrótce zmarzł, wobec czego zaczął przytupywać na brzegu, aby się rozgrzać. Ale nie dość tego, począł biec, przemierzył kawałek pola i dostał się nad inne, małe jezioro, z powodu swych cieplejszych i bystrzejszych źródeł zamrożone tylko z wierzchu. Przez szuwały wszedł na nie. Mimo że był drobny i lekki, lód załamał się pod nim tuż przy brzegu. Bronił się i krzyczał jeszcze chwilę, po czym nie zauważony zatonął w chłodnej toni.

Dopiero o godzinie drugiej, kiedy rozpoczęła się pierwsza lekcja popołudniowa, zauważono jego nieobecność.

— Gdzie jest Hindinger? — zawołał repetytor.

Nikt nie odpowiedział.

— Proszę zajrzeć do "Hellady"!

Ale i tam nie było po nim śladu.

— Pewnie się spóźni, zaczynamy więc bez niego. Stanęliśmy na stronie siedemdziesiątej czwartej, wiersz siódmy. Ale na przyszłość wypraszam sobie tego rodzaju wypadki. Punktualność obowiązuje.

Kiedy wybiła godzina trzecia, a Hindingera wciąż jeszcze nie było, nauczyciel zaniepokoił się i posłał po eforusa. Ten zjawił się natychmiast w klasie we własnej osobie i zadał szereg pytań, po czym wysłał dziesięciu uczniów w asyście famulusa i repetytora na poszukiwanie. Pozostałym chłopcom podyktowano zadanie pisemne.

O czwartej pomocnik nauczyciela bez pukania wszedł do klasy i złożył eforusowi szeptem sprawozdanie.

— Spokój! — nakazał eforus.

Uczniowie znieruchomieli w ławkach i wpatrzyli się w niego wyczekująco.

— Wasz kolega Hindinger — zaczął eforus cicho — prawdopodobnie utonął w którymś stawie. Musicie teraz dopomóc w szukaniu go. Pan profesor Meyer poprowadzi was, panowie. Macie wypełniać co do joty jego rozkazy i nie przedsiębrać żadnych samowolnych kroków.

Przerażeni wyruszyli wśród szeptów z profesorem na czele. Z miasteczka dołączyło się do pospiesznego pochodu kilku mężczyzn z linami, żerdziami i deskami. Mróz był tęgi, a słońce chyliło się już nad kraniec lasów.

Kiedy nareszcie znaleziono małe, sztywne ciało chłopca i ułożono je wśród ośnieżonych trzcin na noszach, zalegał już głęboki zmierzch. Wystraszeni seminarzyści stali dokoła jak spłoszone ptaki, wpatrując się w zwłoki i rozcierając sine, zgrabiałe palce. I dopiero kiedy niesiono nieżywego towarzysza, a oni w milczeniu szli za nim przez śnieżne pola, ich przygnębione serca wzdrygnęły się nagłym dreszczem i zwietryły okrutną śmierć, podobnie jak sarny wietrzą nieprzyjaciela.

W żalostnej, zmarzniętej gromadce Hans Giebenrath znalazł się przypadkowo obok swego dawnego przyjaciela Heilnera. Obaj zauważyli się wzajemnie dopiero wówczas, kiedy potknęli się o tę samą grudę na polu. Być może, że widok śmierci obezwładnił Hansa i przekonał go na krótką chwilę o nicości wszelakiego egoizmu, bo kiedy dostrzegł niespodzianie bladą twarz przyjaciela tak blisko siebie, odczuł niewytłumaczony, głęboki ból i sięgnął nagłym ruchem po jego rękę. Heilner cofnął ją gniewnie i obrażony odwrócił oczy. Natychmiast poszukał sobie też innego miejsca i zniknął w ostatnich szeregach pochodu.

Wtedy przykładnemu uczniowi serce zabiło z żalu i wstydu i potykając się na zamarzniętej grudzie, nie mógł wstrzymać łez toczących się po sinych policzkach. Pojął, że istnieją grzechy i zaniedbania, których nie można zapomnieć ani naprawić żadną skruchą, i zdawało mu się, że to nie syn krawca, lecz jego przyjaciel, Heilner, leży na wzniesionych noszach, unosząc z sobą żal i gniew z powodu jego zdrady daleko do innego świata, gdzie nikt nie pyta o świadectwa, egzaminy i sukcesy, lecz jedynie o czystość lub skalanie sumienia.

Tymczasem dotarli do gościńca, a stamtąd już szybko do klasztoru, gdzie wszyscy profesorowie z eforusem na czele zebrali się na przybycie zwłok Hindingera, który za życia byłby uciekł na samą myśl o takim zaszczycie. Zmarłego ucznia nauczyciele traktują zawsze inaczej niż żywego; uświadamiają sobie wtedy przez chwilę wartość i niepowracalność każdego żywota i każdej młodości, wobec których na ogół tak często lekkomyślnie grzeszą.

Również wieczorem i przez cały następny dzień obecność niepozornych zwłok działała jak jakieś zaklęcie, łagodząc i tłumiąc wszelkie rozmowy i poczynania, tak że na ten krótki okres czasu swary, gniewy, hałasy i śmiechy skryły się jak rusalki, które na oka mgnienie znikają z powierzchni wody pozostawiając nieruchome i pozornie martwe lustro. Ilekroć rozmowy chłopców schodziły na topielca, wymieniali zawsze jego pełne nazwisko, przezwisko Hindus wydawało im się czymś niestosownym wobec nieboszczyka. I cichy Hindus, niknący zazwyczaj w tłumie, nie postrzeżony i nie zauważony, wypełniał teraz ogromny klasztor swoim nazwiskiem i swoją śmiercią.

Na drugi dzień przyjechał stary Hindinger. Przesiedział kilka godzin samotnie w pokoiku, gdzie leżał jego chłopak, następnie na zaproszenie eforusa udał się do niego na herbatę i przenocował "Pod Jeleniem".

Potem odbył się pogrzeb. Trumnę ustawiono w dormencie, a krawiec z Algowii stał obok i przyglądał się wszystkiemu. Był to typowy krawczyzna, przeraźliwie chudy i kanciasty, w wyrudziałym czarnym tużurku i ciasnych, lichych spodniach. W ręku trzymał staroświecki cylinder. Jego drobna, szczupła twarz wyglądała tak smutnie i rzewnie jak taniutka lojówka na wietrze, malowało się na niej wieczne zakłopotanie i szacunek dla pana eforusa i panów profesorów.

W ostatniej chwili, zanim podniesiono trumnę, smutny człowieczek wysunął się jeszcze raz naprzód i dotknął wieka trumny niezaradnym i nieśmiałym gestem czułości. Potem zatrzymał się bezradnie, walcząc ze łzami, i stał na środku dużego, cichego korytarza jak suche drzewko w zimie, tak osamotniony, beznadziejny i

opuszczony, że żal było patrzeć. Pastor podszedł do niego i wziął go za rękę; wtedy nasadził swój fantazyjnie wygięty cylinder i pobiegł pierwszy za trumną po schodach na dół, przez dziedziniec klasztorny, przez starą bramę i białe pola ku niskiemu obmurowaniu cmentarza. Kiedy seminarzyści nad grobem zaśpiewali chorał, większość z nich ku przykrości dyrygującego nauczyciela muzyki nie spoglądała na jego wybijającą takt rękę, lecz na samotną, gnącą się postać krawca, który smutny i zmarznięty stał w śniegu słuchając ze schyloną głową przemówień pastora, eforusa i prymusa, machinalnie kiwał głową do taktu śpiewającym i od czasu do czasu sięgał lewą ręką po chustkę schowaną w połach tużurka, nie wyciągając jej wszelako.

— Ciągle musiałem tylko myśleć, jakby to było, gdyby na jego miejscu stał mój własny ojciec — powiedział potem Otto Hartner.

Wtedy wszyscy przytaknęli:

— Tak, ja też myślałem zupełnie to samo.

Później eforus z ojcem Hindingera przyszli do "Hellady".

— Czy który z panów był bliżej zaprzyjaźniony ze zmarłym? — rzucił eforus pytanie na salę.

Najpierw nikt się nie zgłosił i ojciec Hindusa spoglądał lękliwie w młode twarze chłopców. Ale potem wystąpił Lucius. Hindinger ujął rękę, ścisnął ją chwilę nie wiedząc, co powiedzieć, i wkrótce wyszedł z pokornym skinieniem głowy. Wreszcie wyjechał i musiał spędzić cały długi dzień w podróży przez jasny zimowy kraj, zanim przybył do domu i powiedział żonie, w jakim miejscu spoczywa obecnie jej Karol.

W klasztorze uroczysty nastrój minął szybko. Profesorowie znów besztali uczniów, po dawnemu trzaskano drzwiami i mało kto wspominał zmarłego "Helleńczyka". Kilku chłopców zaziębiło się w czasie długiego stania nad owym smutnym stawem: leżeli teraz w izbie chorych lub biegali w filcowych pantoflach z obwiązanymi szycami. Hans Giebenrath nie poniósł żadnego szwanku na zdrowiu, ale od owego nieszczęsnego dnia wyglądał doroślej i poważniej. Coś się w nim zmieniło, z chłopca wyrósł młodzieniec i dusza jego przeniosła się jak gdyby w inny kraj, gdzie zatrwożona tłukła się niespokojnie, nie wiedząc, gdzie spocząć. Spowodował to nie strach przed śmiercią ani żałoba po poczciwym Hindusie, lecz wyłącznie obudzone nagle poczucie winy względem Heilnera.

Heilner leżał z dwoma innymi kolegami w izbie chorych, popijając gorącą herbatę, i miał dosyć czasu na uporządkowanie wrażeń doznanych w związku ze śmiercią Hindingera, które mogły być dla niego również materiałem do późniejszego

poetyckiego opracowania. Lecz zdawało się, że niewiele mu na tym zależy; wyglądał mizernie i cierpiąco i prawie nie zamieniał słowa z towarzyszami niedoli. Narzucone mu od czasu jego kary osamotnienie zraniło jego wrażliwą duszę, łaknącą częstych wynurzeń, i zaprawiło ją goryczą. Profesorowie pilnowali go jako malkontenta i buntownika, koledzy unikali, famulus odnosił się do niego z kpiącą dobroduszością, a jego przyjaciele, Szekspir, Schiller i Lenau, ukazywali mu inny, większy i wspanialszy świat niż ten, który go otaczał, uciskając i poniżając. Z jego *Pieśni zakonnika*, nastrojonych początkowo na pustelniczo-melancholijny ton, powstał z czasem zbiór gorzkich i zjadliwych pamfletów na klasztor, profesorów i kolegów.

W swoim osamotnieniu znajdował cierpką przyjemność, brak zrozumienia u kolegów napawał go satysfakcją, a pisanie ciętych paszkwilów dawało mu poczucie, że jest małym Juwenalem.

W osiem dni po pogrzebie, kiedy obaj koledzy już wyzdrowieli i Heilner sam leżał w izbie chorych, odwiedził go Hans. Pozdrowił go nieśmiało, przysunął sobie krzesło do łóżka, usiadł i sięgnął po rękę chorego, który z wyraźną niechęcią odwrócił się do ściany i nie zachęcał do bliższego kontaktu. Ale Hans nie dał się zbyć. Przytrzymał pochwyconą dłoń i zmusił dawnego przyjaciela, aby spojrzał na niego. Heilner zirytowany wykrzywił usta.

— Czego ty właściwie chcesz?

Hans nie puścił ręki.

— Musisz mnie wysłuchać — rzekł. — Wtedy stchórzyłem i opuściłem cię. Ale ty wiesz, jaki jestem: chciałem za wszelką cenę wybić się w seminarium, a gdyby się udało, to zostać nawet prymusem. Mówiłeś, że jestem kujonem, może i słusznie, ale taki właśnie był mój ideał, lepszego nie znałem.

Heilner zamknął oczy, Hans szeptem ciągnął dalej:

— Wiesz, żal mi teraz. Nie wiem, czy jeszcze zechcesz być moim przyjacielem, ale przebaczyć mi musisz w każdym razie.

Heilner milczał nie otwierając oczu. Wszystko, co było w nim dobrego i radosnego, śmiało się do przyjaciela, ale tak przywykł już do roli zgorzkniałego samotnika, że nie chciał jeszcze na razie zdejmować tej maski z twarzy. Hans nie ustępował.

— Musisz, musisz przebaczyć! Wolę raczej być ostatnim uczniem niż dłużej tak się objąć wokół ciebie. Jeśli chcesz, będziemy znowu przyjaciółmi i pokażemy tamtym, że się bez nich obejdziemy.

Wtedy Heilner odwzajemnił uścisk jego dłoni i otworzył oczy.

Po kilku dniach również on opuścił łóżko i izbę chorych i w klasztorze powstało niemałe poruszenie z powodu nowo zawartej przyjaźni. Dla nich obu zaś nadeszły teraz dziwne tygodnie, właściwie bez jakichś szczególnych wydarzeń, ale przepojone osobliwie uszczęśliwiającym poczuciem przynależności do siebie i tajemnego porozumienia bez słów. Było to coś innego niż przedtem. Długa rozłąka zmieniła obu. Hans stał się czulszy, serdeczniejszy, bardziej marzycielski; Heilner nabrał męskości i stanowczości, obydwum zaś tak bardzo dokuczył okres samotności, że przeprosiny wydały im się wielkim przeżyciem i wspaniałym darem.

Obaj przedwcześnie dojrzały chłopcy z intuicyjnym lękiem odnajdywali bezwiednie w swej przyjaźni przedsmak subtelnych tajemnic pierwszej miłości. Przymierze ich miało też cierpki urok dojrzewającej męskości i zaprawione było równie cierpkim uczuciem hardości względem reszty kolegów, którzy Heilnera nie lubili, a Hansa nie rozumieli, własne zaś rozliczne związki przyjacielskie traktowali wciąż jeszcze jako niefrasobliwą zabawę dziecięcą.

Im więcej radości i przeżyć dawała Hansowi ta przyjaźń, tym bardziej obca stawała się dla niego szkoła. Nowe uczucie szczęścia szumiało jak młode wino w jego krwi i myślach, a Liwusz i Homer tracili w porównaniu z nim swoją doniosłość i świetność. Profesorowie natomiast obserwowali z przerażeniem, jak wzorowy dotychczas uczeń Giebenrath zmienia swe usposobienie z chwilą, gdy zaczyna podlegać ujemnemu wpływowi podejrzanego Heilnera. Pedagodzy niczego się tak nie lękają jak owych dziwnych zjawisk, występujących w usposobieniu przedwcześnie rozwiniętych chłopców podczas i tak już niebezpiecznego okresu poczynającego się dojrzewania. U Heilnera od dłuższego już czasu niepokoiły ich pewne przejawy genialności — bowiem między geniuszem a nauczycielstwem z dawien dawna utrwaliła się głęboka przepaść i co tylko z tego gatunku pokaże się w szkołach, z góry przejmuje profesorów zgrozą. Dla nich geniusze to najmniej wdzięczni wychowankowie, którzy nie mają szacunku dla przełożonych, którzy w czternastym roku życia zaczynają palić, w piętnastym się zakochują, w szesnastym chodzą do knajpy, czytują zabronione książki, piszą zuchwałe wypracowania, nierzadko patrzą ironicznym okiem na profesora i dostają się na karty dziennika jako podżegacze i kandydaci do karceru. Belfer woli mieć dziesięciu patentowanych osłów w swojej klasie niż jednego geniusza, a jeśli się nad tym zastanowić, ma właściwie rację, bo jego zadaniem nie jest kształcenie ekstrawaganckich osobników, lecz przysparzanie

państwu dobrych łacinników, rachmistrzów i pocziwców. Kto jednak komu zadaje większe i gorsze cierpienia, nauczyciel chłopcu czy na odwrót, kto z nich dwóch jest większym tyranem i dręczycielem i kto z nich niweczy drugiemu kawał życia i rani duszę, tego nie można dojść, nie wspominając z oburzeniem i wstydem własnej młodości. Lecz nie nasza to sprawa — możemy się tylko pocieszyć, że rany zadane rzeczywistym geniuszom prawie zawsze się zablźniają i że wyrastają z nich ludzie, którzy na przekór szkole tworzą dobre dzieła, a później, po śmierci, kiedy otoczy ich już miły nimb oddalenia, bywają przez dawnych nauczycieli stawiani innym pokoleniom jako szlachetny przykład i wzór do naśladowania. Tak więc z pokolenia na pokolenie powtarza się to widowisko, wojna indywidualności z ustawą, i wciąż na nowo widzimy, jak państwo i szkoła niezmordowanie starają się podcinać korzenie owym kilku głębszym, wartościowszym indywidualnościom, pojawiającym się rokrocznie. A przeważnie właśnie ci znieawidzeni przez belfrów, często karani, uciekający lub wypędzani ze szkoły są tymi, którzy potem wzbogacają skarbnicę narodu. Niektórzy zaś — a kto wie ilu — spalają się w milczącym uporze i giną. Toteż gdy tylko zwietrzono coś niedobrego u tych dwóch dziwnych chłopców, natychmiast, kierując się dobrą, starą zasadą pedagogiczną, zdwojono względem nich nie życzliwość, lecz surowość. Jedyne eforus, dumny z Hansa jako z najpilniejszego "hebrajczyka", uczynił niezręczną próbę ratowania sprawy. Zawezwał go do swej kancelarii, pięknej, malowniczej komnaty z wykuszem, mieszczącej się w dawnym mieszkaniu opata, gdzie według legendy doktor Faust z pobliskiego Knittlingen wychylił niejedną puchar Elfingera. Eforus nie był człowiekiem trudnym, nie zbywało mu na pojętności i praktycznym rozsądku, a wychowanków traktował nawet z pewną pocziwą dobroduszością, zwracając się do nich przez "ty". Jego wybitna próżność znajdowała nieraz upust w arcyzarozumiałych popisach *ex cathedra* i nie znosiła najmniejszej oznaki podawania w wątpliwość jego władzy i autorytetu. Nie cierpiał sprzeciwu, nie potrafił się przyznać do omyłki. Wskutek tego uczniowie o słabej woli albo wręcz nieuczciwi świetnie sobie z nim radzili, zaś mocne i uczciwe jednostki miały trudne zadanie, bo wyprowadzał go z równowagi nawet cień sprzeciwu. Eforus po mistrzowsku opanował rolę przyjaciela pełnego ojcowskich uczuć i również teraz ją odgrywał; głos miał wzruszony, a wzrok pełen zachęty.

— Niech pan siada, Giebenrath — odezwał się przyjaźnie, uściśnawszy mocno dłoń onieśmiałego chłopca. — Chciałbym nieco z panem pomówić. Ale czy wolno mi mówić "ty"?



– Proszę pana eforusa.

– Sam zapewne czujesz kochany Giebenrath, że twoje postępy ostatnio trochę osłabły, przynajmniej w języku hebrajskim. Dotychczas byłeś chyba naszym najlepszym hebrajczykiem, dlatego z żalem stwierdzam nagle opuszczenie się. Może hebrajszczyzna nie sprawia ci już przyjemności?

– Przeciwnie, proszę pana eforusa.

– Zastanów się tylko! Takie rzeczy się zdarzają. Może ze szczególnym zamiłowaniem zająłeś się jakimś innym przedmiotem?

– Nie, proszę pana eforusa.

– Naprawdę, nie? No, to musimy szukać innych przyczyn. Czy dopomożesz mi wpaść na ślad?

– Nie wiem... zawsze odrabiałem zadania.

– Oczywiście, mój drogi, oczywiście. Ale *differendum est inter et inter*<sup>4</sup>. Naturalnie odrabiałeś zadania, co zresztą było twoim obowiązkiem. Ale dawniej osiągałeś lepsze wyniki. Byłeś może pilniejszy, w każdym razie okazywałeś więcej zainteresowania. Zastanawiam się tedy, skąd to raptowne ostudzenie twojego zapału. Chyba nie jesteś chory?

– Nie.

– A może cię głowa boli? Swoją drogą nie wyglądasz specjalnie kwitnąco.

– Owszem, głowa mnie czasami boli.

– Czy za dużo masz codziennej nauki?

– O nie, wcale nie.

– A może dużo czytasz poza lekturą szkolną? Przyznaj się uczciwie!

– Nie, proszę pana eforusa, ja prawie nic nie czytam.

– Wobec tego nic nie rozumiem, kochany młody przyjacielu. Przecież gdzieś musi tkwić przyczyna. Czy przyrzekasz mi, że będziesz się odpowiednio przykładał do nauki?

Hans złożył swoją dłoń w wyciągniętej prawicy mocarza, spoglądającego nań z łagodną powagą.

– Tak, to dobrze, mój kochany, to się chwali. Tylko nie osłabnąć, bo wpadniesz pod koła. – Uścisnął Hansowi dłoń i chłopak z westchnieniem ulgi skierował się ku drzwiom. Wtem eforus przywołał go z powrotem.

– Jeszcze coś, Giebenrath. Dużo obcujesz z Heilnerem, prawda?

— Tak, dosyć dużo.

— Więcej niż z innymi, jak mi się zdaje. Czy nie tak?

— Owszem, tak. To mój przyjaciel.

— Jakże do tego doszło? Różnicie się przecież dosyć usposobieniem.

— Nie wiem. Po prostu jest moim przyjacielem.

— Ty wiesz, że ja nieszczególnie lubię twojego przyjaciela. To nie zadowolony, niespokojny duch; może nawet zdolny, ale nic nie robi i nie wywiera dobrego wpływu na ciebie. Bardzo chętnie bym widział, żebyś trzymał się bardziej z daleka od niego. No cóż, jakże?

— Nie mogę, proszę pana eforusa

— Nie możesz? A dlaczego to?

— Bo to przecież mój przyjaciel. Nie mogę go po prostu porzucić.

— Hm. Ale mógłbyś się jednak nieco więcej zbliżyć do innych. Jesteś jedynym, który się tak poddał ujemnemu wpływowi tego Heilnera i skutki tego już widzimy. Co cię tak szczególnie w nim pociąga?

— Sam nie wiem. Ale lubimy się i byłoby tchórzostwem z mej strony opuścić go.

— Aha. No, nie zmuszam cię. Ale mam nadzieję, że z czasem odsuniesz się od niego. Chętnie bym to widział. Bardzo chętnie bym to widział!

Ostatnie słowa nie miały już nic z poprzedniej łagodności. Teraz Hans mógł odejść.

Od tej pory na nowo zadreślał się nauką. Nie było to, co prawda, już owo dawniejsze pewne posuwanie się naprzód, lecz raczej mozolne dotrzymywanie kroku, aby przynajmniej nie pozostać zbyt daleko w tyle. Również on wiedział, że ma to po części związek z Heilne-rem, ale w przyjaźni widział teraz nie stratę i przeszkodę, tylko wielki skarb równoważący wszystko inne — spotęgowane, cieplejsze życie, z którym owo dawniejsze, trzeźwe bytowanie jedynie w kręgu obowiązku nie mogło się równać. Działo się z nim to, co z młodymi zakochanymi: czuł się zdolny do wielkich, heroiczych czynów, ale nie do codziennej, nudnej i drobiazgowej pracy. Wciąż od nowa zaprzęgał się więc w jarzmo z westchnieniem rozpacz. Nie potrafił naśladować przyjaciela, który odrabiał lekcje szybko i powierzchownie, wtłaczając w siebie niemal przemocą najkonieczniejsze wiadomości. Ponieważ przyjaciel każdego niemal wieczora pochłaniał mu wolne godziny, zmuszał się rano do wstawania o godzinę

---

<sup>4</sup> Differendum est inter et inter (łac.) — należy czynić różnicę między ... a między

wcześniej, uważając za najgroźniejszego wroga hebrajską gramatykę. Właściwie już tylko Homer i lekcje historii sprawiały mu przyjemność. Po omacku kroczył ku zrozumieniu homeryckiego świata, a w historii bohaterowie przestawali być nazwiskami i cyframi, lecz patrzyli bliskimi, płomiennymi oczyma i mieli żywe, czerwone usta. Każdy miał swoje oblicze i ręce — jeden czerwone, grube, brutalne ręce, drugi spokojne, chłodne, kamienne dłonie, jeszcze ktoś inny wąskie, gorące, znaczone delikatnymi żyłkami.

Również podczas czytania greckiego tekstu Ewangelii bywało, że zaskakiwała go i olśniewała bliskość i wyrazistość postaci. Zachwyił się szczególnie kiedyś miejscem w szóstym rozdziale św. Marka, gdzie Jezus z apostołami opuszcza łódź i Ewangelia mówi: "euthýs epignóntes autón periédramon" — "poznali Go zaraz i przybieżeli". Wtedy i on widział, jak Syn Człowieczy opuszcza łódź i poznał Go od razu, nie z postaci ani twarzy, lecz po wielkiej głębi jego oczu pełnych miłości i blasku, po lekkim skinieniu czy raczej zapraszającym, powitalnym geście jego szczupłej, pięknej, smagłej dłoni, którą zdawała się zamieszkiwać i kształtować dusza subtelna, a jednak silna. Na moment wyłonił się też brzeg wzburzonych wód i dziób ciężkiej łodzi, po czym cały obraz przeminął jak para oddechu zimową porą.

Raz po raz zdarzało się, że z ksiąg wyłamywała się jakby jakaś postać lub fragment historii, tęskniący do tego, aby raz jeszcze ożyć i zobaczyć swoje odbicie w żywym oku. Hans przyjmował to ze zdziwieniem, czując się przez te krótkotrwałe, gotowe w każdej chwili pierzchnąć zjawy głęboko i dziwnie przemieniony, jak gdyby przejrzał czarną ziemię, co stała się przezroczysta niby szkło, albo jak gdyby Bóg spojrział na niego. Te cudowne momenty nadchodziły nie wołane i znikwały nie żałowane jak pielgrzymi i mili goście, których nie śmie się zagadnąć i zapraszać na dłuższy pobyt, ponieważ unosi się wokół nich coś obcego i boskiego.

Hans chował te przeżycia w głębi duszy i nie wspominał o nich nawet Heilnerowi. Dawna melancholia Heilnera zamieniła się w niespokojną zgryźliwość, krytykującą klasztor, profesorów i kolegów, pogodę, życie ludzkie i odrzucającą nawet istnienie Boga, prowadzącą niekiedy także do kłótności lub nieprzemyślanych, głupich wybryków. Ponieważ był i tak odosobniony i skłócony z kolegami, starał się w nierozważnej pysze zaostrić jeszcze ów zacięty i wrogi stosunek, wciągając weń nie opierającego się Giebenratha, tak że obaj przyjaciele stanowili zwracającą uwagę, otoczoną niechęcią wysepkę, leżącą gdzieś na uboczu.

Hans czuł się w tym odosobnieniu coraz mniej nieswojo. Niepokoił go tylko eforus, przed którym odczuwał nieokreślony lęk, a który teraz wobec Hansa — dawniej ulubionego ucznia — był pełen rezerwy i ignorował go z wyraźnym rozmysłem. A Hans właśnie do hebrajszczyzny, specjalności eforusa, stracił z czasem całe zamiłowanie.

Zabawnie było obserwować, jak już po tych kilku miesiącach czterdziestu seminarzystów zmieniło się duchowo i fizycznie z wyjątkiem paru najbardziej niemrawych. Wielu z nich wystrzeliło ogromnie w górę z wielkim uszczerbkiem dla objętości, wystawiając beztrosko przeguby rąk i nóg z ubrań, które nie urosły wraz z nimi. Twarze nosiły ślady wszelkich możliwych przemian, jakie zachodziły w okresie między zanikającą dziecinnością a męskością, zaczynającą już chępić się nieśmiało. Czyje zaś ciało nie nabrało jeszcze kanciastych kształtów okresu dojrzewania, temu przynajmniej studiowanie ksiąg Mojżesza oblekło gładkie czoło w prowizoryczną męską powagę. Pucółowate policzki stały się już rzadkością.

Również Hans się zmienił. Wzrostem i chudością dorównywał obecnie Heilnerowi, a nawet wydawał się niemal starszy od niego. Łagodne dawniej czoło ukształtowało się, oczy wpadły głębiej, cera miała niezdrowy kolor, ręce, nogi, ramiona były kościste i chude.

Im mniej miał powodów do zadowolenia ze swoich postępów w nauce, tym bardziej cierpko pod wpływem Heilnera odsuwał się od reszty kolegów. Było mu zupełnie nie do twarzy w tej pysze, ponieważ nie miał już powodu patrzeć na nich z góry jako wzorowy uczeń i przyszły prymus. Ale nie mógł im wybaczyć, że dawali mu to poznać i że sam to boleśnie odczuwał. Zwłaszcza z nienagannym Hartnerem i owym zuchwałym Ottonem Wengerem miewał nieraz zatargi. Kiedy Wenger pewnego dnia znowu się z niego natrzęsał i drażnił go, Hans uniósł się i odpowiedział uderzeniem pięści. Doszło do zażartej bójki. Wenger był tchórzem, ale z wątlym przeciwnikiem nie trudno się było uporać, toteż walił bez opamiętania. Heilnera przy tym nie było, reszta zaś kolegów przyglądała się biernie, ciesząc się, że Hans bierze cięgi. Oberwał porządnie, krwawił z nosa i bolały go wszystkie żebra. Przez całą noc wstyd, ból i gniew nie dały mu spać. Przemilczał przygodę przed przyjacielem, ale od tej pory odsunął się całkowicie od towarzyszy z sypialni i niemal przestał z nimi rozmawiać.

Ku wiośnie, pod wpływem deszczowych południ, dżdżystych niedziel i długich zmierzchów, w życiu klasztorным objawiły się nowe prądy i ruchy. Sala "Akropol",

mająca wśród swoich lokatorów dobrego pianistę i dwóch flecistów, urządziła dwa regularne wieczorki muzyczne, "Germania" utworzyła kółko głośniego czytania utworów dramatycznych, a kilku młodych pietystów założyło stowarzyszenie biblijne, które co wieczór odczytywało rozdział z Biblii wraz z komentarzami Calwera.

Heilner zgłosił się do kółka "Germanii", ale go nie przyjęto. Zawrzał gniewem. Chcąc się zemścić, udał się do stowarzyszenia biblijnego. Również tam nie chciano go przyjąć, ale narzucił się swoimi śmiałymi przemówieniami oraz bezbożnymi aluzjami wprowadził kłótnie i swary do pobożnych rozmów skromnego, małego bractwa. Wnet i ta zabawa mu się znudziła, przez dłuższy czas jednak zachował ironicznie-biblijny ton w rozmowie. Lecz ostatnio nie zwracano prawie uwagi na niego, ponieważ uczniów opanował w tym okresie bez reszty duch przedsiębiorczości i inicjatywy organizacyjnej.

Najwięcej wrzawy narobił dokoła swej osoby pewien uzdolniony i dowcipny "Spartanin". Poza osobistą sławą miał na celu także to, by wnieść trochę życia do budy i przez rozmaite zabawne kawały "rozerwać się" czasem po jednostajnym dniu pracy. Przezywano go "Dunstan". Otóż ów Dunstan znalazł oryginalną drogę do wywołania sensacji i zdobycia sobie rozgłosu.

Pewnego ranka, kiedy uczniowie wychodzili z sypialni, zastali na drzwiach łazienki przyklepioną kartkę papieru, na której pod tytułem *Sześć epigramów spartańskich* dowcipnie wyszydzone w dystychach niektórych wybitniejszych kolegów, ich błazeństwa, kawały i przyjaźnie. Dostało się również parze Giebenrath-Heilner. Ogromne poruszenie powstało w małym państwie. Tłoczono się przed owymi drzwiami jak przy wejściu do teatru i cała gromada brzęczała, szumiała i popychała się wzajemnie niczym rój pszczeli, którego królowa zbiera się do lotu.

Następnego ranka całe drzwi pokryte były epigramami i fraszkami, zawierającymi odpowiedzi, przytakiwania i nowe napaści. Sprawca skandalu był jednak na tyle mądry, że już nie brał w tym udziału. Osiągnął swój cel, wetknął kij w mrowisko i teraz zacierał ręce. Przez kilka dni prawie wszyscy uczniowie brali udział w tej walce, każdy chodził zamyślony, układając dystychon, i Lucius był chyba jedynym, który nie przejmując się niczym zajmował się jak zawsze nauką. W końcu jeden z profesorów zwrócił na to uwagę i zabronił kontynuowania tej denerwującej zabawy.

Chytry Dunstan nie spoczął na laurach, lecz przygotował sobie tymczasem główne uderzenie. Wydał obecnie pierwszy numer gazetki, powielanej w

miniaturowych rozmiarach na papierze kancelaryjnym, do której od szeregu tygodni zbierał materiał. Miała ona tytuł "Jeż" i była przede wszystkim pismem humorystycznym. Główną okrasę pierwszego numeru stanowiła zabawna rozmowa między autorem Księgi Jozuego a seminarzystą z Maulbronn.

Sukces był niebywały i Dunstan, który teraz przybrał minę i maniery wielce zajętego redaktora i wydawcy, pozyskał w klasztorze mniej więcej tę samą niebezpieczną sławę, jaką ongiś w republice weneckiej cieszył się znakomity Aretino.

Ogólne zdziwienie wywołał Herman Heilner, kiedy z całą pasją przystąpił do redakcji i razem z Dunstanem zaczął ostry, satyryczny sąd nad kolegami, do czego nie zbywało mu dowcipu ani zjadliwości. Blisko cztery tygodnie gazetka wprawiała cały klasztor w poruszenie.

Giebenrath nie bronił przyjacielowi zabawy. On sam nie miał do niej ochoty ani talentu. Początkowo prawie nie zauważył, że Heilner ostatnio coraz częściej spędza wieczory w "Sparcie", gdyż od niedawna zaprzętały go inne sprawy. W dzień był ospały i nieuważny, uczył się wolno i bez zapału, a pewnego razu podczas lekcji łaciny wydarzyło mu się coś zupełnie nowego.

Profesor wezwał go do tłumaczenia Liwiusza. Hans nie wstał.

— Co to znaczy? Dlaczego pan nie wstaje? — zawołał profesor rozgniewany.

Hans nie poruszył się. Siedział wyprostowany w ławce, z lekko pochyloną głową i w pół przymkniętymi oczyma. Wezwanie nauczyciela wyrwało go częściowo z marzeń, ale słyszał jego głos jak gdyby z bardzo daleka. Czuł także, że sąsiad w ławce trąca go mocno. Nic go to nie obchodziło. Był otoczony innymi ludźmi, dotykały go inne ręce i inne głosy przemawiały do niego, głosy bliskie, ciche, głębokie, nie mówiące słowami, tylko szumiące głęboko i kojąco jak woda w studni. I spoglądało nań mnóstwo oczu — obce, duże oczy pełne blasku i przeczuć. Może oczy rzymskiego tłumu, o którym czytał przed chwilą w Liwiuszu, może oczy nieznanymi ludźmi, o których śnił lub które widział gdzieś na obrazach?

— Giebenrath! — krzyknął profesor. — Czy pan śpi?

Uczeń otworzył z wolna oczy, wlepił je ze zdumieniem w nauczyciela i potrząsnął głową.

— Pan spał! Czy może mi pan powiedzieć, przy którym zdaniu jesteśmy? No, proszę!

Hans wskazał palcem wiersz w książce. Dobrze wiedział, gdzie się zatrzymali.

— A może by pan teraz raczył wstać? — zapytał profesor szyderczo.

I Hans wstał.

— Co pan wyprawia? Niech pan spojrzy na mnie!

Hans popatrzył na profesora, który musiał spostrzec w oczach chłopca coś niepokojącego, bo pokręcił zdziwiony głową.

— Czy panu coś dolega, Giebenrath?

— Nie, panie profesorze.

— Niech pan siada, a po lekcji zgłosi się pan do mego pokoju.

Hans usiadł i pochylił się nad swoim Liwiuszem. Był już zupełnie przytomny i rozumiał wszystko, równocześnie zaś jego wewnętrzny wzrok śledził tłum obcych postaci, które z błyszczącymi oczyma utkwionymi w niego oddalały się wolno gdzieś w bezkresy, aż wreszcie zginęły w dalekiej mgle. Jednocześnie zbliżał się coraz bardziej głos profesora i głos tłumaczącego ucznia, i cały ów nikły szmer klasy w końcu był znowu tak rzeczywisty i wyraźny jak zawsze. Ławki, katedra i tablica stały znowu na zwykłych miejscach, na ścianie wisiał duży drewniany cyrkiel i kątomierz, dokoła siedzieli koledzy i wielu z nich zerkało ciekawie i bezczelnie ku niemu. Wtedy Hans przeraził się śmiertelnie.

“Po lekcji zgłosi się pan do mego pokoju” — słyszał głos profesora. Na Boga, co się stało?

Po skończonej lekcji profesor skinął na niego i poprowadził go za sobą przez tłum gapiących się kolegów.

— Niech mi pan powie, co to się właściwie z panem działo? A więc pan nie spał?

— Nie.

— Czemu pan nie wstał, kiedy pana wywołałem?

— Nie wiem.

— Może mnie pan nie słyszał? Czy pan ma przytępiony słuch?

— Nie. Słyszałem pana profesora.

— I nie wstał pan? Miał pan potem jakieś dziwne oczy. O czym pan myślał?

— O niczym. Miałem właśnie wstać.

— To czemu pan tego nie zrobił? Może panu jednak było niedobrze?

— Chyba nie. Nie wiem, co to było.

— Czy bolała pana głowa?

— Nie.

— Dobrze. Może pan odejść.

Przed obiadem znowu go wezwano i zaprowadzono do sypialni, gdzie oczekiwał na niego eforus z lekarzem urzędowym. Zbadano go i wypytywano, ale nic mądrego z tego nie wyszło. Lekarz śmiał się dobrodusznie, nie przejmując się tą całą sprawą.

— To takie drobne przypadłości nerwowe — zachichotał łagodnie. — Przejściowe osłabienie, rodzaj lekkiego zawrotu głowy. Należy się postarać o to, aby młody człowiek co dzień wychodził na powietrze. Na bóle głowy mogę mu zapisać jakieś krople.

Od tej pory Hans wychodził codziennie po obiedzie na godzinną przechadzkę. Nie miał nic przeciwko temu. Gorzej było, że eforus kategorycznie zabronił mu spacerów w towarzystwie Heilnera. Przyjaciel złościł się i złorzeczył, ale musiał ustąpić. Hans wychodził zatem zawsze sam i znajdował w tym pewną przyjemność. Był to początek wiosny. Przez krągłe, pięknie sklepione wzgórza kielkująca zieleń biegła rzadką, jasną falą, drzewa porzucały swą zimową postać, ową brązową siatkę o ostrych konturach, zlewały się młodym listowiem ze sobą i z barwami krajobrazu w nieskończony, płynny nurt żywej zieleni.

Dawniej, za czasów szkoły łacińskiej, Hans inaczej przyglądał się wiosnie niż obecnie, jakoś żywiej, ciekawiej i bardziej szczegółowo. Obserwował wówczas powracające ptaki, ich coraz to inny rodzaj, i kolejność kwitnienia drzew, a potem w maju zaczynał chodzić na ryby. Teraz nie zadawał sobie trudu, aby rozróżnić odmiany ptaków albo rozeznawać krzaki po ich pączkach. Widział tylko ogólny rozkwit, wytryskujące wszędzie kolory, oddychał zapachem młodej zieleni, czuł miękkie, wibrujące powietrze i szedł w zadziwieniu przez pola. Szybko się męczył, wciąż tylko myślał o tym, żeby się położyć i zasnąć, i prawie nieustannie widział przed sobą rzeczy inne zgoła niż te, które go w rzeczywistości otaczały. Co to właściwie było, sam nie wiedział i nie zastanawiał się też nad tym. Jasne, subtelne, niezwykle sny otaczały go jak malowidła albo jak aleje egzotycznych drzew, przy czym nic się w nich nie działo. Same obrazy, li tylko do oglądania, ale już samo ich oglądanie stanowiło przecież przeżycie. Jakieś przeniesienie w inne okolice i ku innym ludziom. Wędrowka po obcej ziemi, po miękkiej, miłej w dotknięciu glebie, i oddychanie obcym powietrzem, powietrzem pełnym lekkości i delikatnego, marzycielskiego aromatu. Zamiast tych obrazów pojawiało się też czasami wrażenie, niejasne, ciepłe i podniecające, jak gdyby jakaś lekka dłoń przesuwała się miękkim ruchem po jego ciele.



Podczas czytania i odrabiania lekcji Hans musiał sobie zadawać wiele trudu, aby się skupić. To, co go nie interesowało, wymykało mu się na kształt cieni z rąk, toteż hebrajskich słówek mógł się uczyć dopiero na pół godziny przed lekcją — inaczej ulatywały mu z pamięci. Natomiast często miewał owe chwile wprost namacalnej wizualności, kiedy podczas lektury wszystko, o czym czytał, zaczynało nagle ożywać, poruszać się i stawało się o wiele wyrazistsze i bardziej rzeczywiste niż najbliższe otoczenie. I w tych właśnie dniach, kiedy spostrzegł z rozpaczą, że pamięć jego nie nasiąka już wiadomościami, leniwieje i zawodzi, opadały go niekiedy dawniejsze wspomnienia z tak niesamowitą wyrazistością, że zdumiewała go i przejmowała lękiem. W środku lekcji czy lektury przypominał mu się czasem ojciec albo stara Anna, lub któryś z dawniejszych profesorów i kolegów i stawał przed nim w nieomal cielesnej postaci, zagarniając na moment całą uwagę chłopca. Bez końca przeżywał Hans sceny z pobytu w Stuttgarcie, egzamin krajowy i wakacje albo widział siebie z wędką nad rzeką, czuł opar rozslonecznionej wody, a zarazem zdawało mu się, że czasy, o których śnił, leżą przywalone górą lat.

W pewien ciepły, wilgotny i ciemny wieczór przechadzał się z Heilnerem po dormencie i opowiadał o domu, ojcu, o rybach i szkole. Przyjaciel był milczący jak nigdy. Pozwalał mu mówić, potakując od czasu do czasu głową albo wymachując w zamyśleniu małą linijką, którą bawił się cały boży dzień. W końcu Hans także umilkł. Zapadła noc. Chłopcy usiedli na parapecie okna.

— Słuchaj, Hans — zaczął wreszcie Heilner, głos jego był niepewny i wzburzony.

— Co?

— Ech, nic.

— No, mówże!

— Myślałem tylko... bo tyle różności opowiedziałeś...

— No, więc co?

— Powiedz, czy nigdy nie latałeś za dziewczyną?

Nastała cisza. O tym jeszcze nie rozmawiali. Hans bał się tego tematu, a równocześnie pociągały go te sprawy jak tajemniczy ogród. Czuł, że się zaczerwienił i że ręce mu drżą.

— Tylko raz — odpowiedział szeptem. — Byłem wtedy jeszcze głupim smarkaczem.

Znowu cisza.

– A ty?

Heilner westchnął.

– Ach, zostaw! Wiesz, nie powinno się o tym mówić, to nie ma sensu.

– Owszem, ma.

– ...mam dziewczynę...

– Ty? Naprawdę?

– Aha. W domu... Córka sąsiada. A tej zimy pocałowałem ją.

– Pocałowałeś?

– Tak. Wiesz... było już ciemno, wieczorem, na ślizgawce... pozwoliła mi pomóc przy zdejmowaniu łyżew. Wtedy ją pocałowałem.

– A ona? Powiedziała coś?

– Powiedzieć nie powiedziała, ale uciekła.

– A potem?

– Potem? Nic.

Znowu westchnął i Hans patrzył na niego jak na bohatera wracającego z zakazanych ogrodów.

Wtem zabrzmiał dzwonek; trzeba było iść spać. Kiedy zgaszono lampę i wszystko ucichło, Hans leżał dłużej niż godzinę, nie mogąc zasnąć, i myślał o pocałunku, jakim Heilner obdarzył swoją dziewczynę.

Następnego dnia chciał się dalej dopytywać, ale wstydził się, Heilner zaś, ponieważ Hans go nie nagabywał, nie śmiał sam zaczynać o tym rozmowy.

W szkole wiodło się Hansowi coraz gorzej. Profesorowie zaczęli się krzywić i patrzeć na niego złym okiem, eforus był ponury i nasrożony, a także koledzy spostrzegli już dawno, że Giebenrath spada ze swej wysokości i przestaje aspirować na prymusa. Tylko Heilner niczego nie spostrzegął, ponieważ szkoła niewiele go obchodziła, a Hans z zupełną obojętnością pozwalał się toczyć sprawom.

Tymczasem Heilnerowi znudziło się redagowanie gazetki i powrócił całkowicie do przyjaciela. Na przekór zakazowi towarzyszył Hansowi kilka razy w jego codziennej przechadzce, leżąc z nim na słońcu i marząc, czytając mu wiersze albo dowcipkując na temat eforusa. Hans łudził się z dnia na dzień, że Heilner rozpocznie dalsze wywniesienia o swoich przygodach miłosnych, ale im więcej czasu upływało, tym trudniej mu było o to zagadnąć. Wśród kolegów byli teraz obaj mniej lubiani niż kiedykolwiek, ponieważ Heilner swoimi żartami w "Jeżu" nie zdobył sobie niczyjej sympatii.

Gazetka przestała w tym czasie wychodzić; przeżyła się, a zresztą i tak była obliczona tylko na nudny okres między zimą a wiosną. Rozpoczynająca się teraz piękna pora roku nastroczała dosyć rozrywek w postaci zielników, spacerów i gier na wolnym powietrzu. Każdego południa zwolennicy gimnastyki i biegów oraz gracze w piłkę napełniali dziedziniec klasztorny wrzawą i ruchem.

Ożywienie wprowadziła również nowa wielka sensacja, której sprawcą i ośrodkiem był znowu uprzykrzony dla wszystkich Herman Heilner.

Eforus dowiedział się, że Heilner kpi z jego zakazu i towarzyszy niemal codziennie Giebenrathowi w czasie jego spacerów. Tym razem zostawił Hansa w spokoju i wezwał do kancelarii tylko głównego winowajcę, swego starego wroga. Zwrócił się do niego przez "ty", co sobie Heilner natychmiast wyprosił. Eforus wypomniał mu jego nieposłuszeństwo. Heilner oświadczył, że jest przyjacielem Giebenratha i że nikt nie ma prawa zabronić im przebywania ze sobą. Doszło do awantury, w wyniku której Heilner dostał kilka godzin aresztu oraz zabroniono mu surowo w najbliższym czasie wychodzić razem z Giebenrathem.

Następnego dnia zatem Hans znowu sam odbył swoją oficjalną przechadzkę. Wrócił o drugiej i udał się z innymi kolegami do klasy. Kiedy rozpoczęto lekcje, okazało się, że nie ma Heilnera. Wszystko było dokładnie tak samo jak podczas zniknięcia Hindusa, tylko że tym razem nikt nie myślał o jakimś spóźnieniu. O godzinie trzeciej cała klasa wraz z trzema profesorami udała się na poszukiwanie zaginionego. Podzielono uczniów na grupy, biegano i hukano po lasach, niektórzy spośród szukających, wśród nich dwóch profesorów, uważali za rzecz niewykluczoną, że Heilner wyrządził sobie jakąś krzywdę.

O godzinie piątej zatelegrafowano do wszystkich posterunków policji w okolicy, a wieczorem wysłano ekspresem list do ojca Heilnera. Późnym wieczorem jeszcze nie natrafiono na żaden ślad i długo w noc szeptano wśród uczniów przypuszczenie, że Heilner wskoczył do wody. Inni mniemali, że po prostu pojechał do domu. Ale stwierdzono, że zbieg nie mógł mieć pieniędzy przy sobie.

Hansowi przyglądano się tak, jakby wiedział coś o tej sprawie. Ale tak nie było. Przeciwnie, ze wszystkich on właśnie był najbardziej przerażony i zmartwiony, a słysząc w nocy w sypialni, jak koledzy dopytywali się, snuli przypuszczenia, pletli i dowcipkowali, zaszył się głęboko pod kołdrę i tak, godzina za godziną, mijała zła noc, wypełniona żalem i strachem o przyjaciela. Zasnął wreszcie znużony i stroskany,

ogarnięty rozpaczliwą boleścią, z sercem ściśniętym trwogą na samo przypuszczenie, że Heilner mógłby już nie wrócić.

W tym samym czasie zbieg leżał w zagajniku odległym o kilka mil. Było mu zimno i nie mógł zasnąć, ale oddychał mocno w głębokim poczuciu swobody i prostował kości, jakby uciekł z ciasnej klatki. Biegł od południa. W Knittlingen kupił sobie chleba i przelykał teraz od czasu do czasu kęs, obserwując przez wiosenne jeszcze rzadkie listowie czerń nocy, gwiazdy i szybkobieżne obłoki. Było mu obojętne, dokąd ostatecznie zajdzie; przynajmniej wyrwał się z tego znienawidzonego klasztoru i pokazał eforusowi, że jego wola była silniejsza od rozkazów i zakazów.

Cały następny dzień poszukiwano go bezskutecznie. Spędził drugą noc w pobliżu jakiejś wioski, wśród snopków słomy na polu; rano znowu skręcił w las i dopiero wieczorem, kiedy szukał schronienia w innej wsi, wpadł w ręce stróża porządku publicznego. Ten; życzliwie pokpiwając, odprowadził go do gminy, gdzie Heilner żartami i przymilaniem pozyskał sobie serce sołtysa. Sołtys wziął go na noc do domu i przed spoczynkiem nakarmił suto szynką i jajkami. Następnego dnia zabrał go ojciec, który tymczasem po niego przyjechał.

Wielkie poruszenie zapanowało w klasztorze, kiedy przyprowadzono zbiega. Ale on zadzierał głowę i zdawało się, że wcale nie żałuje swego wypadu. Zażądano, aby przeprosił, ale on odmówił i stanął przed sądem ciała profesorskiego bynajmniej nie z pokorą lub uszanowaniem. Nie zamierzano usuwać go ze szkoły, ale teraz miarka się przebrała. Wydalono go sromotnie i wieczorem odjechał z ojcem na zawsze. Ze swoim przyjacielem Giebenrathem zdołał się pożegnać jedynie uściskiem dłoni.

Piękna i pełna polotu była mowa, którą pan eforus wygłosił na temat tego wyjątkowego przypadku buntowniczości i zwyrodnienia. O wiele łagodniej, słabiej i bardziej rzeczowo brzmiało jego sprawozdanie do zwierzchności w Stuttgarcie. Seminarzystom zabroniono korespondencji z wydalonym potworem, na co Hans Giebenrath tylko się uśmiechnął. Przez szereg tygodni o niczym tyle nie rozprawiano, co o Heilnerze i jego ucieczce. Oddalenie i upływający czas zmieniły ogólny sąd i niektórzy wspominali wkrótce tak starannie dawniej omijanego Heilnera jako orła, który uleciał w przestworza.

Sala "Hellady" świeciła teraz dwoma pustymi pulpitemi, lecz o ostatnio utraconym koledze nie zapomniano tak szybko jak o pierwszym. Tylko eforusowi sprawiłoby większą satysfakcję, gdyby się dowiedział, że Heilner zmienił się teraz w potulnego i ustatkowanego chłopca. Heilner jednak nie zrobił już nic, aby zamącić

spokój klasztorny. Jego przyjaciel na próżno wyczekiwał — nigdy nie miał otrzymać od niego listu. Heilner wyjechał i przepadł; postać chłopca i ucieczka zamieniły się zwolna w historię, a wreszcie w legendę.

Pełnego temperamentu chłopca, który popełnił jeszcze wiele omyłek i genialnych szaleństw, wzięło życie z całą swoją surowością ostro w karby i wreszcie wyrósł z niego jeśli nie bohater, to w każdym razie człowiek.

Na przyjacielu ciążyło podejrzenie, że wiedział o zamierzonej ucieczce Heilnera, co pozbawiło go do reszty sympatii profesorów. Kiedy raz podczas lekcji nie umiał odpowiedzieć na kilka z rzędu pytań, jeden z nich dociął mu:

— Czemu pan nie poszedł razem ze swoim znakomitym przyjacielem, Heilnerem?

Eforus ignorował go spoglądając na niego koso, z wzdorliwym politowaniem, jak faryzeusz na celnika. Giebenrath już się nie liczył. Należał do trędowatych.

## **Rozdział piąty**

Jak chomik z nagromadzonych zapasów, tak Hans utrzymywał się jeszcze jakiś czas na powierzchni ze swych dawniej nabytych wiadomości. Potem zaczęło się przykre biedowanie, przerywane krótkimi i bezsilnymi zrywami, których beznadziejność śmieszyła niemal jego samego. Zaniechał tedy bezwocnych wysiłków, cisnął Homera w ślad za Pięcioksięgiem, a algebrę za Ksenofontem i przyglądał się obojętnie, jak stopniowo spada jego dobra opinia u profesorów, a oceny z dobrych na dostateczny, z dostatecznego na mierny i wreszcie na zero. Jeśli nie bolała go głowa, co obecnie znowu stało się regułą, myślał o Hermanie Heilnerze, snuł lekkie, wielkookie marzenia i pograżał się godzinami w półsennej zadumie. Na coraz częstsze wyrzuty profesorów odpowiadał od niedawna dobrodusznym, pokornym uśmiechem. Repetytor Wiedrich, miły, młody nauczyciel, był jedynym, któremu bezradny uśmiech sprawiał ból, toteż odnosił się do wykolejonego chłopca z pełną współczucia wyrozumiałością. Pozostali profesorowie, oburzeni na Hansa, przepytując uczniów pogardliwie go omijali lub próbowali czasami pobudzić jego uśpioną ambicję ironicznym drażnieniem:

— O ile pan przypadkiem nie śpi, czy wolno prosić, aby przeczytał pan to zdanie?

Eforus był dystyngowanie urażony. Próżny ten człowiek był wielce dumny z rzekomej potęgi swego wzroku, toteż nie posiadał się z oburzenia, kiedy Giebenrath na jego majestatyczne i groźne przewracanie oczami odpowiadał niezmiennie swym pokornie uniżonym uśmiechem, który go z wolna poczynął denerwować.

— Niech się pan nie uśmiecha tak bezdennie głupio, pan miałby raczej powody do płaczu!

Większe wrażenie wywarł na Hansie ojcowski list, zaklinający go z przerażeniem, aby się poprawił. Eforus napisał do ojca Giebenratha i ten ogromnie się przestraszył. Jego list do Hansa był kolekcją wszystkich zachęcających i zgorzonych frazesów, jakimi rozporządzał ten pocziwiec, mimo to jednak przebłyskiwała w nim jakaś niezmierna, płaczliwa żalność, która syna zaboląła.

Wszyscy ci gorliwi wychowawcy młodzieży, począwszy od eforusa, a skończywszy na papie Giebenracie, profesorowie i repetytorzy, widzieli w Hansie tylko opór przeciwko sobie, coś zaciętego i leniwego, wobec czego należy zastosować

przymus i siłą sprowadzić na dobrą drogę. Nikt, poza owym wyrozumiałym repetytorem może, nie dostrzegł za bezradnym uśmiechem błakającym się po szczupłej twarzy chłopca cierpiącej duszy, która tonąc rozglądała się ze strachem i rozpaczą. I nikt nie pomyślał o tym, że to szkoła i barbarzyńska ambicja ojca oraz kilku nauczycieli doprowadziły tę kruchą istotę do takiej ostateczności. Czemu w najwrażliwszym i najniebezpieczniejszym okresie chłopięctwa musiał się codziennie uczyć do późnej nocy? Czemu odebrano mu jego króliki, odsunięto rozmyślnie od kolegów w gimnazjum, czemu zabroniono mu chodzenia na ryby i włóczęgi, a wszczepiono weń pusty, nędzny ideał podłej, zżerającej ambicji? Dlaczego nie pozwolono mu nawet po egzaminie korzystać z dobrze zasłużonych wakacji?

Teraz zagoniony żróbek leżał na drodze, do niczego niezdatny.

Z początkiem lata lekarz urzędowy oświadczył powtórnie, że chodzi tu o pewne osłabienie na tle nerwowym, spowodowane w głównej mierze rozwojem. Hans powinien podczas wakacji mieć troskliwą opiekę, dostatecznie jeść i dużo biegać po lesie, wtedy się na pewno poprawi.

Niestety finał nastąpił jeszcze przed wakacjami. Na trzy tygodnie przed końcem roku szkolnego, kiedy profesor w czasie lekcji popołudniowej porządnie zwymyślał Hansa, chłopiec osunął się na ławkę, zaczął się bojaźliwie trząść i wybuchnął długim, spazmatycznym płaczem, który przerwał całą lekcję. Potem przeleżał pół dnia w łóżku.

Nazajutrz podczas lekcji matematyki profesor wezwał go do tablicy i zażądał narysowania figury geometrycznej oraz przeprowadzenia dowodu. Hans wyszedł z ławki, ale zakręciło mu się w głowie i stanąwszy przed tablicą, bez sensu jeździł po niej kredą i linijką, upuścił jedno i drugie, a kiedy schylił się po nie, przykleknął na podłodze i nie potrafił wstać.

Lekarza urzędowego zdenerwował lekko fakt, że pacjent jego pozwala sobie na takie wybryki. Swoje zdanie wyrażał ostrożnie, zalecił natychmiastową przerwę w nauce i proponował wezwanie lekarza chorób nerwowych.

— Gotów jeszcze dostać choroby św. Wita — szepnął do eforusa, który kiwał głową i uznał za stosowne zmienić niełaskawy, nasrożony wyraz twarzy na ojcowski i ubolewający, co mu się bez trudu udało i z czym mu było do twarzy.

Potem każdy z nich z osobna napisał list do ojca Hansa, wsadzili je chłopcu do kieszeni i odesłali go do domu. Złość eforusa przemieniła się w ciężką troskę — co pomyślą władze szkolne, dopiero co niepokozone przypadkiem Heilnera, o tym

nowym nieszczęściu? Ku ogólnemu zdumieniu zrezygnował nawet z mowy odpowiednio nawiązującej do zajścia i odnosił się do Hansa na ostatnich lekcjach niezwykle życzliwie. Jasne było dla niego, że Giebenrath nie wróci po wakacjach do seminarium — nawet w razie wyzdrowienia uczeń pozostający już teraz daleko za innymi nie był w stanie nadrobić straconych miesięcy czy choćby tygodni. I chociaż pożegnał Hansa pełnym otuchy, serdecznym “do zobaczenia”, jednak miał przykre przecucie w ciągu następnych dni, ilekroć wchodził do “Hellady” i widział trzy puste pulpity; nie mógł pozbyć się myśli, że może jednak ponosi część winy za utratę dwóch uzdolnionych wychowanków. Jako człowiekowi dzielnemu i o silnym charakterze udało się ostatecznie wygnać z duszy te zbyteczne i ponure wątpliwości.

Za odjeżdżającym seminarzystą z małym tobołkiem podróжным zapadł się klasztor z kościołami, bramą, dachami i basztami, zniknęły lasy i łańcuchy wzgórz, na ich miejsce pojawiły się urodzajne sady i łąki badeńskiego pogranicza, potem Pforzheim, a tuż za nim wyrosły granatowoczarne góry jodłowe Schwarzwald, poprzecinane licznymi roztokami, jeszcze bardziej niebieskie, chłodne i nęcące cieniem w upalnym żarze słonecznym niż zazwyczaj. Chłopak przyglądał się zmieniającemu się i coraz bardziej swojskiemu krajobrazowi nie bez przyjemności, aż blisko już rodzinnego miasta przypomniał mu się ojciec, i przykry lęk przed powitaniem popsuł mu całkowicie chwilową satysfakcję. Wspomniał wyjazd na egzamin w Stuttgarcie i podróż do Maulbronn oraz towarzyszące im napięcie i nieśmiałe rozradowanie. I na co to wszystko? Wiedział równie dobrze jak eforus, że już tam nie wróci i że koniec z seminarium, nauką i wszystkimi ambitnymi nadziejami. Lecz to nie napełniało go w tej chwili smutkiem, tylko strach przed ojcem, którego nadzieje zawiódł, legł mu ciężarem na sercu. Nie miał teraz innych pragnień, jak odpocząć, wyspać się, wypłakać, podumać i po całej tej męczarni zaznać trochę spokoju. Obawiał się, że nie znajdzie tego w domu ojca. Pod koniec podróży rozboleła go bardzo głowa; przestał wyglądać oknem, chociaż droga wiodła teraz przez ulubioną okolicę, której wyżyny i lasy przebiegał ongiś z pasją wzdłuż i wszerz, i nieomal byłby zapomniał wsiąść na dobrze znanym dworcu rodzinnego miasta.

Oto stoi już z parasolem i tobołkiem, a ojciec przygląda mu się bacznie. Po ostatnim liście eforusa rozczarowanie i oburzenie starego Giebenratha z powodu nieudanego syna przemieniło się w uczucie bezgranicznego przerażenia. Wyobrażał sobie Hansa zmizerowanego i wynędzniałego; teraz przekonał się, że chłopak wychudł wprawdzie i wygląda słabowicie, jest jednak żywy i cały. To go nieco pocieszyło,



najgorsze jednak było to, o czym donosili mu teraz w listach eforus i lekarz — owa choroba nerwów, przed którą Giebenrath czuł jakiś instynktowny lęk, która napełniała go zgrozą. W rodzinie dotychczas nikt nigdy nie cierpiał na podobne przypadłości. O takich chorych wyrażano się zawsze z bezrozumnymi kpinkami albo z wzgardliwym politowaniem jak o wariatach, a teraz jego Hans wyprawiał takie historie.

Pierwszego dnia chłopak był zadowolony, że nie przywitano go wyrzutami. Potem uderzyła go nieśmiała, bojaźliwa oględność, z jaką go ojciec traktował, wyraźnie się do niej zmuszając. Chwilami spostrzegał też, że przygląda mu się dziwnie badawczym okiem, z jakąś niezwykłą ciekawością, że mówi z nim przyciszonym i nieszczerym tonem i potajemnie go obserwuje. To wszystko sprawiło, że Hans jeszcze bardziej przycichł i sam zaczął się martwić swym stanem zdrowia.

Kiedy pogoda sprzyjała, leżał godzinami w lesie i czuł się jakby lepiej. Czasami spływał wtedy na jego zranioną duszę nikły odblask szczęśliwości z dawnego chłopięcego okresu, kiedy to radość sprawiały mu kwiaty i żuki, wsłuchiwanie się w śpiew ptaków lub tropienie śladów zwierząt. Ale były to zawsze tylko krótkie chwile. Przeważnie wyciągał się gnuśnie na mchu, z ociężałą głową i daremnie próbował o czymkolwiek myśleć, dopóki nie ogarnęły go znowu marzenia, unosząc w rozległe krainy. Prawie stale bolała go głowa, a na wspomnienie klasztoru albo szkoły lacińskiej wyobrażenie mnóstwa książek, przedmiotów i obowiązków spadało na niego jak groźny koszmar i w jego obolałej głowie Liwiusz i Cezar, Ksenofont i zadania arytmetyczne wyczyniały dzikie, przykre harce.

Kiedyś miał następujący sen: ujrzał swego przyjaciela Hermana Heilnera nieżywego na noszach, a kiedy chciał podejść do niego, eforus i profesorowie odpychali go, częstując za każdym nowym zbliżeniem się bolesnymi szturchańcami. Byli to nie tylko profesorowie seminarium i repetytorzy, ale także rektor i egzaminatorzy ze Stuttgartu, wszyscy z zawziętymi minami. Nagle wszystko się zmieniło, na noszach spoczywał Hindus, który utonął, a obok stał bezradnie, na krzywych nogach, jego śmieszny ojciec w wysokim cylindrze.

I znowu sen: gonił po lesie zbiegłego Heilnera, widział go ciągle przed sobą z dala między drzewami, ale za każdym razem, kiedy chciał na niego zawołać, tamten zniknął mu znowu z oczu. Wreszcie Heilner przystanął, pozwolił mu się zbliżyć i powiedział: "Słuchaj, ja mam dziewczynę!" Potem roześmiał się nadmiernie głośno i zniknął w zaroślach. Teraz Hans ujrzał pięknego, szczupłego człowieka wysiadającego

z łodzi, z cichymi boskimi oczyma i szlachetnymi dłońmi, zwiastującymi pokój, i podbiegł ku niemu. Wszystko się rozplynęło, a Hans zastanawiał się, co by to być mogło, aż przypomniało mu się owo miejsce z Ewangelii, gdzie powiedziano: "euthys epignontes auton periedramon". Z kolei zaczął odgadywać jaką formą koniugacyjną jest "periedramon" i jak brzmi bezokolicznik oraz czas terażniejszy, przeszły dokonany oraz przyszły tego czasownika, musiał go odmieniać w liczbie pojedynczej, podwójnej i mnogiej, a kiedy mu coś nie wychodziło, siódme poty były na niego. Gdy oprzytomniał, miał wrażenie, że jego głowa jest wewnątrz pełna ran, a kiedy twarz wykrzywił mu bezwiednie ów senny uśmiech rezygnacji i poczucia winy, słyszał od razu głos eforusa: "Co to znaczy ten głupi uśmiech? Pan akurat ma się z czego śmiać!"

Mimo kilku trochę lepszych dni stan zdrowia Hansa nie uległ na ogół poprawie, raczej wszystko wskazywało na to, że się pogarsza. Lekarz domowy, który swego czasu leczył matkę i wydał świadectwo zgonu, oraz odwiedzał czasem ojca cierpiącego nieco na podagrę, miał niewyraźną minę i ociągał się z dnia na dzień z wyrażeniem swej opinii.

Dopiero w owych dniach spostrzegł Hans, że w ciągu ostatnich dwóch lat szkoły łacińskiej nie miał już przyjaciół. Część jego kolegów opuściła miasteczko, innych widywał jako terminatorów, ale z żadnym go nic nie łączyło, do żadnego nie ciągnęło i żaden z nich się nim nie interesował. Dwukrotnie stary rektor zamienił z nim kilka przyjaznych słów, także profesor łaciny i pastor kiwali mu na ulicy życzliwie głową, ale właściwie Hans nic już ich nie obchodził. Przestał być naczyniem, do którego można wpychać, co się da, oraz glebą przyjmującą wszelkie nasiona; niewart był tego, by mu poświęcać czas i staranie.

Może byłoby się dobrze stało, gdyby pastor się nim trochę zajął. Ale co mógł zrobić? Co mu z siebie mógł dać, a więc wiedzę albo chociażby poszukiwanie wiedzy, tego nie skrywał swego czasu przed chłopcem, a więcej po prostu nie posiadał. Nie należał do typu duszpasterzy, do których, choć łacina ich budzi poważne zastrzeżenia, a kazania zaczerpnięte są z dobrze znanych źródeł, garną się ludzie w chwilach niedoli, bo mają dobrotliwe oczy i życzliwe słowa dla wszystkich cierpiących. Również ojciec Giebenrath nie nadawał się na przyjaciela czy pocieszyciela, choć nie szczędził trudu, aby ukryć gniewne rozczarowanie z powodu syna.

Tak więc Hans czuł się opuszczony i niekochany; przesiadywał w małym ogródku na słońcu albo leżał w lesie snując marzenia lub zadręczając się przykrymi myślami. Nie mógł czytać, choć to sprawiłoby mu ulgę, ponieważ zaraz zaczynała go

boleć głowa i oczy i ponieważ z każdej książki wyłaniało się natychmiast po jej otwarciu widmo klasztornych dni i upiór dawnego strachu, zapędzający go w duszne, niepokojące zaułki snów i urzekający go tam gorejącym okiem.

W tej nędzy i osamotnieniu zagnieździł się w fantazji chorego chłopca nowy upiór pod złudną postacią pocieszyciela. Zwolna spoufalili się i stał się dla niego niezbędny. Była to myśl o śmierci. Przecież nie trudno wystarać się o jakąś broń palną albo gdzieś w lesie uwiązać pętlę sznura. Niemal co dzień towarzyszyły mu te myśli na jego przechadzkach, oglądał poszczególne, odludnie położone zakątki i znalazł wreszcie taki, gdzie by się pięknie umierało, toteż obrał go definitywnie na miejsce śmierci. Odwiedzał to miejsce stale, przesiadywał tam i znajdował dziwną przyjemność w wyobrażaniu sobie jak to go w owym miejscu wkrótce znajdą martwego. Upatrzył gałąź na sznur i zbadał jej wytrzymałość. Nie było już żadnych przeszkód. Z czasem napisał też, kilkakrotnie przerywając tę czynność i wracając do niej, krótki list do ojca oraz bardzo długi do Hermana Heilnera: listy miały być znalezione przy zwłokach.

Przygotowania te i wrażenie pewności wypływające z powziętej decyzji wywarły dobroczynny wpływ na umysł chłopca. Siedząc pod fatalną gałęzią, miewał czasami godziny, kiedy ucisk folgował, a Hansa ogarniało prawie że radosne samopoczucie. Również ojciec spostrzegł poprawę, syn zaś przyglądał się z ironicznym rozbawieniem, jak cieszy się on z obecnego jego nastroju, którego przyczyną była przecież tylko pewność rychłego końca.

Dlaczego już dawno nie zawisł na owej gałęzi, tego sam nie wiedział. Myśl została powzięta, jego śmierć była rzeczą postanowioną, tymczasem czuł się jednak zupełnie dobrze i w tych ostatnich dniach chętnie rozkoszował się pięknem słonecznego blasku i urokiem samotnych dumań, tak jak się to chętnie czyni przed daleką podróżą. Mógł ją przecież odbyć każdego dnia, wszystko zatem było w porządku. Poza tym znajdował pewną szczególną, gorzką przyjemność w tym, aby dobrowolnie przedłużyć jeszcze swoje obcowanie z dawnym otoczeniem i patrzeć w twarze ludzi, którzy o jego niebezpiecznych postanowieniach nic nie wiedzieli. Ile razy spotkał na przykład lekarza, myślał: "No, ty to się zdziwisz!"

Los pozwalał mu się delektować posepnymi zamiarami i patrzył spokojnie, jak z kielicha śmierci co dzień wychyla kilka kropel entuzjazmu i sił do życia. Mało już chyba zależało mu na tej młodej, okaleczonej istocie, ale nie wolno jej było zniknąć ze

sceny bez zakosztowania gorzkiej słodyczy życia, przed zamknięciem się kręgu przeznaczenia.

Napastliwe, dręczące majaki pojawiały się rzadziej, ustępując miejsca jakiejś znużonej gnuśności, jakiemuś bezbolesnemu rozleniwieniu, kiedy Hans bezmyślnie pozwolił płynąć godzinom i dniom, spoglądając obojętnie w błękit i sprawiając wrażenie istoty zdziecinniałej lub somnambulicznej. W ospałym odrętwieniu siedział w ogródku pod świerkiem i nucił bezwiednie i ciągle od nowa jakąś starą śpiewkę, pochodzącą jeszcze z czasów szkoły łacińskiej.

*Ach, zmęczony jestem tak,  
Znużony tak,  
W mieszkku moim grosza brak,  
W kieszeni brak.*

Śpiewał te słowa ciągle w kółko, nie pesząc się wcale tym, że zaczął od początku chyba po raz dwudziesty. Ale ojciec stojący blisko okna, słyszał to i przeraził się niezmiernie. Dla jego oschłej natury owo bezmyślne, lubujące się we własnej tępcie nucenie było czymś zupełnie niezrozumiałym; toteż z westchnieniem tłumaczył je sobie jako oznakę beznadziejnego zidiocenia. Od tej pory obserwował syna z jeszcze większą obawą, co nie uszło uwagi chłopca i sprawiło mu ból. Mimo to ciągle jeszcze nie mógł się zdobyć na zabranie z domu sznura i skorzystanie z owej mocnej gałęzi.

Tymczasem nadeszła gorąca pora roku — od egzaminu krajowego i tamtych wakacji upłynął już rok. Hans myślał o tym niekiedy, jednak bez szczególnego wzruszenia; stał się niemal zupełnie osowiały. Chętnie poszedłby znowu na ryby, ale nie śmiał prosić ojca o pozwolenie. Ilekroć stawał nad wodą, męczyła go owa cicha namiętność i czasem długo zatrzymywał się na brzegu, gdzie nikt go nie widział, śledząc pożądlivym okiem ruchy ciemnych, bezszelestnie płynących ryb. Pod wieczór szedł codziennie kawałek w górę rzeki do kąpieli, a ponieważ przechodził przy tym zawsze koło domku inspektora Gesslera, odkrył przypadkowo, że Emma Gessler, o której marzył przed trzema laty, przebywa znowu u rodziców. Z ciekawością obejrzał się kilka razy za nią, ale nie podobała mu się już tak jak dawniej. Wtedy była szczupłą, bardzo delikatną dziewczynką, teraz urosła, miała kanciaste ruchy i nosiła dorosłe, modne uczesanie, które ją do reszty szpeciło. Także w długich sukniach wyglądała niedobrze, a jej wysiłki, by sprawiać wrażenie damy, były zdecydowanie nieudane.

Hans uważał, że jest śmieszna, wspominając równocześnie z żalem, jak dziwnie słodkie, niewyraźne i ciepłe uczucie ogarniało go wówczas, ilekroć ją widział. W ogóle wtedy jednak wszystko było inne, o wiele ładniejsze, weselsze, żywsze. Od długiego czasu nie znał nic innego prócz łaciny, historii, greki, egzaminu, seminarium i bólu głowy. Wtedy zaś istniały książki z bajkami i książki z opowieściami o rozbójnikach, wtedy miał w ogródku własnoręcznie zmaistrowany młynek wodny, a wieczorem słuchał awanturnych historii w sieni Nascholdów. Wtedy przez pewien czas uważał starego sąsiada Grossjohanna, zwanego Garibaldim, za zbója i mordercę i postać ta zjawiała się nawet w jego snach; wtedy cały rok, miesiąc w miesiąc, cieszył się na coś: to na sianokosy, to na żęcie koniczyny, to znów na pierwsze łowienie ryb albo połów raków, na zbieranie chmielu, trzęsienie śliwek, pieczenie ziemniaków, na początek młocki, a poza tym jeszcze z osobna na każdą niedzielę i święto. Wówczas istniało jeszcze mnóstwo rzeczy pociągających go swym tajemniczym urokiem; domy, uliczki, schody, strychy stodół, studnie, płoty, ludzie i zwierzęta wszelkiego rodzaju były mu drogie i znane albo nęciły go zagadkowo. Pomagał przy zrywaniu chmielu przysłuchując się, jak starsze dziewczęta śpiewały; zapamiętał niektóre wiersze z ich piosenek, przeważnie ucieszne, ale też niektóre tak dziwnie zawodzące, że przy ich słuchaniu łzy dławiły w gardle.

Wszystko to zapadło się jak pod ziemię i skończyło, a on nawet nie od razu to zauważył. Najpierw skończyły się wieczory u Lizy, potem połowy w niedzielne przedpołudnia, potem czytanie bajek i tak jedno po drugim aż do zrywania chmielu i młynka w ogrodzie. O, gdzie się to wszystko podziało?

I tak oto ten przedwcześnie dojrzały chłopak przeżywał w czasie swej choroby drugi nierzeczywisty okres dziecięcych lat. Jego dusza, okradziona z dzieciństwa, zbiegła teraz z nagle zdradzoną tęsknotą w owe piękne, nieświadome lata i błędziła zaczarowana w lesie wspomnień, których intensywność i wyrazistość były może oznaką choroby. Przeżywał teraz wszystko z tym samym uczuciem i żarem co przedtem w rzeczywistości; oszukane i zgwałcone dzieciństwo wytrysnęło jak długo siłą powstrzymywane źródło.

Drzewo, któremu odcięto wierzchołek, puszcza chętnie przy korzeniu nowe pędy, dotknięta śmiertelną chorobą w okresie pełnego rozkwitu dusza człowieka cofa się często ku owym wiośniwym dniom początku i wyczekiwania, jak gdyby mogła tam znaleźć nowe nadzieje i zacząć prąść od nowa zerwaną nić życia. Pędy przy korzeniu

bujają soczyście i szybko w górę, ale życie, które zaczynają jest pozorne i już nigdy nie rozrosną się one w prawdziwe drzewo.

Tak samo miała się rzecz z Hansem Giebenrathem i dlatego najlepiej będzie, jeżeli podążymy teraz za nim jego marzycielskimi ścieżkami w krainę, do której powrócił.

Dom Giebenrathów stał blisko starego kamiennego mostu, tworząc narożnik dwóch bardzo odmiennych ulic. Jedna, do której należał i bywał zaliczany, była najdłuższą, najszerszą i najbardziej elegancką ulicą miasta i zwała się ulicą Garbarzy. Druga, prowadząca stromo pod górę, była krótka, wąska i nędzna i nazywała się Pod Sokołem — od prastarej, dawno nie istniejącej gospody, której godło stanowił sokół.

Przy ulicy Garbarzy mieszkali dom w dom sami porządni, solidni, dawno zasiedzieli obywatele miasta, z własnymi posesjami, własnymi ławkami w kościele i własnymi ogrodami wznoszącymi się za domami tarasowato w górę, granicząc płotami z porośłym janowcem nasypem kolejowym, wzniesionym w roku siedemdziesiątym. Co do wytworności, z ulicą Garbarzy mógł rywalizować jedynie rynek, gdzie stał kościół, ratusz i plebania, czyniąc w swym schludnym dostojeniu zgoła miejskie, nobliwe wrażenie. Ulica Garbarzy nie posiadała wprawdzie żadnych urzędowych gmachów, ale miała stare i nowe domy mieszczańskie z okazałymi portalami, ładne staroświeckie budyneczki z pruskiego muru i miłe, jasne facjatki. Dzięki temu zaś, że posiadała tylko jeden rząd domów, ponieważ po drugiej stronie ulicy płynęła rzeka u podnóża muru zaopatrzonego w balustradę z belek, miała w sobie coś miłego, zacisznego i jasnego.

Przeciwieństwem długiej, szerokiej, czystej i wytwornej ulicy Garbarzy była ulica Pod Sokołem. Stały tam koślawe, ponure domy z brudnym i obsypującym się tynkiem, z wystającymi facjatkami, wielokrotnie popękkanymi, połatanymi drzwiami i oknami, z chylącymi się kominami i uszkodzonymi rynnami. Jeden dom drugiemu odbierał przestrzeń i światło, uliczka była wąska, dziwnie kręta i zasnuta wiekuistym zmierzchem, który podczas deszczu albo po zachodzie słońca przemieniał się w wilgotny mrok. Przed każdym niemal oknem na drążkach i sznurach suszyło się mnóstwo bielizny, bo jakkolwiek mała i nędzna to była uliczka, mieszkało w niej dużo rodzin, nie mówiąc już o sublokatorach i o tych, co przychodzili jedynie na nocleg. Wszystkie zakamarki krzywych, starzejących się domów były gęsto zaludnione, gnieźdząc w sobie nędzę, występki i chorobę. Jeśli wybuchł tyfus, to właśnie tam, jeśli kogoś zabito, to również tam, a jeśli w mieście dokonano włamania, poszukiwania

rozpoczęły się od tej ulicy. Mieli tam swe przelotne kwatery wędrujący domokrażcy, między nimi Hottehotte, zabawny sprzedawca proszku do czyszczenia, i szlifierz Adam Hittel, którego pomawiano o wszystkie zbrodnie i występki.

W pierwszych latach szkoły Hans bywał częstym gościem na Sokole, gdzie wśród podejrzanej bandy jasnowłosych, obdartych łobuzów z zadartą głową słuchał niesamowitych przygód osławionej Lotty Frohmüller. Była to rozwiedziona żona właściciela małej gospody, mająca pięć lat więzienia za sobą. Swego czasu była znaną pięknoscią, miała licznych kochanków spośród robotników fabrycznych i nieraz była powodem skandalów i bójek na noże. Obecnie żyła samotnie i spędzała wieczory po fajrancie na parzeniu kawy i opowiadaniu przeróżnych historii. Przy tym drzwi jej izby były zawsze na oścież otwarte, a za plecami kobiet i młodych robotników stała zawsze gromada sąsiedzkich dzieci przysłuchując się jej od progu z zachwytem i zgrozą. Na czarnym piecu ceglany gotowała się w kociołku woda, obok paliła się łojuwka, rozjaśniając wspólnie z błękitnym ogieńkiem węglowym zatłoczoną, ciemną izbę niesamowitym migotaniem, rzucając wyolbrzymione cienie słuchaczy na ściany i pułap i nadając im jakąś upiorną ruchliwość.

Tam ośmioletni chłopak zawarł znajomość z dwoma braćmi Finkenbein i na przekór surowemu zakazowi ojca utrzymywał z nimi przyjaźń przez blisko rok. Nazywali się Dolf i Emil i byli najbardziej przebiegłymi ulicznikami w całym mieście, sławnymi z kradzieży owoców i drobnych szkód w lesie oraz mistrzami w niezliczonych kawałach i sztuczkach. Poza tym handlowali ptasimi jajami, ołowianymi kulkami, młodymi kawkami, szpakami i zajączkami, zakładali wędki na noc, co było zabronione, i czuli się we wszystkich ogrodach miasta jak u siebie w domu, bo nie było tak spiczastego płotu ani tak gęsto wyłożonego odłamkami szkła muru, przez który by nie mogli bez trudu przejść.

Ale na Sokole mieszkał przede wszystkim Herman Rechtenheil, z którym wiązała Hansa bliska przyjaźń. Herman nie miał rodziców; był przedwcześnie dojrzałym, chorym, dziwnym dzieckiem. Miał jedną nogę krótszą i musiał stale chodzić o lasce; z tego też powodu nie mógł brać udziału w żadnej zabawie ulicznej. Był szczupły, a jego bezbarwna, cierpiąca twarzyczka miała przedwcześnie zgorzkniałe usta i nazbyt spiczastą brodę. Odznaczał się niezwykłą zręcznością w palcach i szczególną pasją do wędki, która udzieliła się Hansowi. Hans wtedy jeszcze nie posiadał karty rybackiej, ale mimo to łowił ryby w ustronnych miejscach, i jeśli polowanie uchodzi za przyjemność, to kłusownictwo — jak wiadomo — jest szczytem

rozkoszy. Kulawy Rechtenheil nauczył Hansa przycinać odpowiednie witki, pleść włosie, farbować sznury, kręcić pętle z nici, ostrzyć haczyki. Nauczył go też baczenia na pogodę, obserwowania wody i mącenia jej otrębami, wybierania odpowiednich przynęt i przymocowywania ich; nauczył go rozróżniać gatunki ryb, śledzić je podczas łowienia i trzymać linkę na odpowiedniej głębokości. Nauczył go odpowiednich chwytów i owej umiejętności trafnego wyczuwania, kiedy należy wędkę przyciągnąć, a kiedy popuścić. Herman kpił sobie z ładnych, w sklepach kupionych wędzisk, korków, linek i wszelakich przyborów wędkarskich; przekonywał Hansa, że powinno się łowić tylko wędką, którą sobie człowiek sam zмайstruje i dopasuje w najdrobniejszych szczegółach.

Z braćmi Finkenbein Hans rozstał się w złości. Cichy, kulawy Rechtenheil opuścił go bez zwady. Pewnego dnia w lutym położył się do swego ubogiego łóżeczka, złożył laskę na stołku obok ubrania, zaczął gorączkować i umarł szybko i cicho. Ulica zapomniała o nim natychmiast i tylko Hans zachował go długo w życzliwej pamięci.

Ale na nim nie kończyła się bynajmniej kolekcja dziwnych mieszkańców Sokoła. Któż nie znał listonosza Rottelera, zwolnionego ze służby z powodu pijaństwa, który po czternaście dni leżał pijany na ulicy albo urządził w domu awantury, poza tym zaś był dobry jak dziecko i obnosił po świecie wiecznie życzliwy uśmiech na ustach. Częstoował Hansa tabaką z owalnej tabakierki, przyjmował czasem ryby od niego, smażył je na maśle i zapraszał wówczas chłopca na wspólny posiłek. Posiadał wypchanego myszołowa o szklanych oczach i starą pozytywkę, która cienkim, delikatnym głosikiem wygrywała staroświeckie taneczne kawałki. A któż nie znał prastarego mechanika Porscha, który stale nosił mankiety, nawet gdy chodził boso? Będąc synem surowego nauczyciela wiejskiego umiał na pamięć pół Biblii i bezlik przysłów oraz moralnych sentencji. Ale ani to, ani jego śnieżnobiały włos nie przeszkadzały mu w odgrywaniu roli uwodziciela wobec wszystkich kobiet oraz nadużywaniu alkoholu. Kiedy był nieco podpity, przesiadywał chętnie na narożnym kamieniu drogowym przed domem Giebenrathów i zaczepiał wszystkich przechodniów wołając ich po nazwisku i częstując suto sentencjami.

— Giebenracie juniorze, drogi synu, posłuchaj co ci powiem. Jak mówi Szirach? Chwała temu, kto nie udziela złej rady i nie obarcza przez to swego sumienia. Podobnie jak bywa z liśćmi na pięknym drzewie, jedne opadają, drugie znów wyrastają, tak samo i z ludźmi: jedni umierają, drudzy się rodzą. Tak, a teraz możesz iść do domu, ty foko! Tenże stary Porsch, niezależnie od swych nabożnych sentencji,



znał mnóstwo ponurych i legendarnych gadek o duchach i podobnych stworach. Znał miejsce, gdzie się pokazywały, i zawsze wahał się między wiarą i niewiarą we własne opowiadania. Najczęściej zaczynał tonem pełnym powątpiewania i z lekceważącą wyższością, jak gdyby sobie kpił z gadki i ze słuchaczy, ale w miarę opowiadania garbił się trwożnie, zniżał coraz bardziej głos, aż kończył cichym, wnikliwym, przejmującym szeptem.

Ileż niesamowitości, mroków i posepnych powabów mieściła w sobie ta mała, uboga uliczka! Przy niej także mieszkał po bankructwie swego interesu i zupełnej ruinie zaniechanego warsztatu ślusarz Brendle. Całymi dniami wysiadywał w okienku, patrząc ponuro na ruchliwą uliczkę, a gdy mu czasem jakiś obdarty, nie umyty dzieciak z sąsiednich domów wpadł w ręce, dręczył go z wyuzdaną przyjemnością, targając za uszy i włosy, szczypiąc po całym ciele. Pewnego dnia zaś zawisł na schodach na kawałku cynkowego drutu, a wyglądał tak okropnie, że nikt nie śmiał się do niego zbliżyć, aż wreszcie stary mechanik Porsch podszedł od tyłu i przeciął drut nożycami od blachy, na skutek czego trup z językiem na wierzchu przechylił się do przodu i z rumorem stoczył się po schodach w dół, prosto między przestraszonych gapiów.

Ile razy Hans z jasnej, szerokiej ulicy Garbarzy wchodził na ciemny, wilgotny Sokół, ogarniał go wraz z dziwnym, smrodliwym powietrzem jakiś rozkosznie niesamowity niepokój, mieszanina ciekawości, strachu, wyrzutów sumienia i błogiego przecucia przygód. Sokół był jedynym miejscem, gdzie mogła się jeszcze wydarzyć bajka, cud, czy jakiś niezwykle straszny wypadek, gdzie wiarygodne i prawdopodobne było nawet istnienie duchów i gdzie można było doznać tych samych boleśnie rozkosznych dreszczów, co przy czytaniu legend i skandalicznych powiastek ludowych Reutlingera, konfiskowanych przez nauczycielstwo, a opisujących występki szynkarza z "Pod Słońca", Jasia-hycła, Karolka-nożownika, pocziarza Michała i innych ciemnych bohaterów, zbrodniarzy i awanturników oraz kary, które ich spotkały.

Ale poza Sokolem istniało jeszcze jedno miejsce, gdzie było inaczej niż wszędzie, gdzie można było coś przeżyć, usłyszeć i zgubić się wśród ciemnych strychów i w niezwykłych zakamarkach. Była to pobliska duża garbarnia, stary, olbrzymi dom, gdzie na mrocznych strychach wisiały ogromne skóry, a w piwnicy były jakieś pozakrywane doły i zakazane korytarze i gdzie wieczorem Liza opowiadała dzieciom swoje piękne bajki. Wszystko odbywało się tam ciszej, życzliwiej i bardziej ludzko niż na "Sokole", ale niemniej zagadkowo. Krzątanina czeladników garbarskich

w dołach, w piwnicach, w dziale garbunkowym i na strychach była dziwna i osobliwa; wielkie, pustką ziejące izby były ciche i równie pociągające jak niesamowite; potężny i mrukliwy gospodarz domu wzbudzał lęk i unikano go jak ludożercy, a Liza poruszała się po tym niezwykłym domu jak dobra wróżka, będąc wszystkim dzieciom, ptakom, kotom i pieskom opiekunką i matką, pełną dobroci i bogatą w bajki i wierszyki.

W tym zamierzczłym już dla niego świecie obracały się teraz myśli i marzenia chłopca. Ze swego wielkiego rozczarowania i swej beznadziejności uciekł do minionych lat, kiedy był jeszcze pełen nadziei, a świat ukazywał mu się jako ogromny, zaczarowany bór kryjący w swej nieprzeniknionej głębi straszliwe niebezpieczeństwa, zaklęte skarby i szmaragdowe zamki. Zapisał się w tę puszcę, ale zmęczył się, zanim dotarł do owych dziwów, i teraz stał znowu na skraju kierując wzrok w zagadkowy półmrok, tym razem już jako człowiek obcy.

Kilkakrotnie wybrał się Hans na nowo na tę ulicę. Powitał go ten sam dawny zmierzch i ten sam przykry odór, stare kąty i ciemne klatki schodowe; znowu starcy i kobiety siedzieli przed bramami, a brudne jasnowłose dzieciaki hałasowały po ulicy. Mechanik Porsch zestarzał się jeszcze bardziej; nie poznał Hansa i odpowiedział na jego nieśmiały ukłon szyderczym chichotem. Grossjohann, zwany Garibaldim, umarł, tak jak Lotte Frohmüller. Listonosz Rotteler jeszcze żył: skarżył się, że chłopaki zepsuły mu pozytywkę, poczęstował Hansa tabaką, po czym próbował wyżebrać od niego trochę grosza. W końcu opowiedział mu o braciach Finkenbein, że jeden z nich pracuje obecnie w fabryce cygar i pije już jak stary, drugi zaś uciekł po bójce na noże na odpuście i nie ma go już pół roku. Wszystko sprawiało wrażenie żalosne i nędzne.

Pewnego dnia Hans poszedł do garbarni. Ciągnęło go przez bramę i wilgotne podwórze, jak gdyby w tym dużym domu ukrywało się jego dzieciństwo wraz ze wszystkimi utraconymi radościami.

Przez krzywe stopnie i płytami wyłożoną sień dostał się do ciemnych schodów, wszedł po omacku na strych, gdzie wisiały rozpięte skóry i wchłonął wraz z ich ostrym zapachem cały tuman buchających zniecka wspomnień. Zszedł znowu na dół i odszukał podwórze w głębi, gdzie mieściły się doły garbunkowe i stały rusztowania z wąskimi daszkami do suszenia wyługowanej kory. Rzeczywiście na ławce pod ścianą siedziała Liza z koszem ziemniaków do obierania, a wokół niej kilkoro zasłuchanych dzieciaków.

Hans przystanął w ciemnych drzwiach i nastawił uszu. Ogromny spokój nappełniał zmierzchający ogród i poza nikłym szumem rzeki, przepływającej za murem

podwórza, słycać było tylko chrzęst noża Lizy i jej opowiadający głos. Dzieci siedziały, spokojnie w kucki, nie ruszając się prawie. Liza opowiadała legendę o św. Krzysztofie, jak go nocą dziecięcy głos wzywa przez rzekę.

Hans posłuchał chwilę, po czym wrócił cicho przez czarną sień do domu. Zdał sobie sprawę, że nie potrafi już stać się znów dzieckiem i przesiadywać wieczorem w garbarskim ogrodzie u Lizy, i od tej pory unikał zarówno domu garbarza, jak i Sokoła.

## ***Rozdział szósty***

Miało się już mocno ku jesieni. W ciemnych lasach świerkowych samotne drzewa liściaste jaśniały żółto i czerwono jak pochodnie, w jarach zaległy gęste mgły, a rzeka parowała o rannym chłodzie.

Blady eks-seminarzysta ciągle jeszcze wałęsał się całymi dniami po polach, zniechęcony i zmęczony, uciekając od tej odrobiny towarzystwa, które mógł mieć. Lekarz przepisywał krople, tran, jajka i zimne nacierania.

Nie było w tym nic dziwnego, że wszystko to zawodziło. Każdy zdrowy żywot musi mieć treść i cel, a to młody Giebenrath utracił. Ojciec jego postanowił obecnie, że Hans albo zostanie urzędnikiem, albo nauczy się jakiegoś rzemiosła. Chłopak był wprawdzie jeszcze dość słaby i powinien nabrać przedtem trochę sił, ale w najbliższej przyszłości będzie już można zabrać się do niego.

Od czasu, kiedy pierwsze otumaniające wrażenia złagodniały i Hans sam przestał wierzyć, że popełni samobójstwo, jego podniecenie i różnorodne lękliwe nastroje przemieniły się w równomierną melancholię, w której tonął wolno i bez oporu jak w grząskim trzęsawisku.

Wałęsał się teraz po jesiennych polach ulegając wpływowi pory roku. Schyłek jesieni, ciche opadanie liści, żółkniecie łąk, gęsta mgła poranna, dojrzałe i znużone pragnienie śmierci całego roślinnego świata wpędzały go, jak wszystkich chorych, w ciężkie, beznadziejne nastroje i smutne myśli. Zapragnął razem z przyrodą zginąć, razem z nią usnąć i skonać i cierpiał nad tym, że jego młodość opierała się temu, z cichą zaciętością czepiając się życia.

Przyglądał się drzewom, jak żółkły, brązowiały, łyślały, i dymiącym mlecznobiałymi mgłami lasom; przyglądał się ogrodom, w których po ostatnich zbiorach owoców życie wymarło i nikt już nie patrzył na barwnie przekwitające astry, i rzece pokrytej zeschniętymi liśćmi, w której skończyła się już kąpiel oraz łowienie ryb i na której zimnych brzegach wytrwali z uporem jedynie garbarze. Od kilku dni unosiła ona mnóstwo wytłoczyn z jabłek, ponieważ we wszystkich tłoczniach i młynach krzątano się pracowicie przy wytłaczaniu moszczu, a w mieście lekki zapach fermentującego soku owocowego przenikał wszystkie ulice.

Również szewc Flaig wynajął w dolnym młynie małą tłocznię i zaprosił Hansa na robienie jabłecznika.

Na placu przed młynem stały duże i małe tłocznie, wozy, kosze i worki pełne owoców, kadzie, ducki, wiadra i beczki, całe góry brunatnych wytłoczyn, drewniane dźwignie, taczki, próżne wózki. Tłocznie pracowały trzeszcząc, piszcząc, stękając i becząc. Większość z nich była polakierowana na zielono i ta zieleń z żółtym brązem wytłoczyn, kolorami koszów jabłek, z zieloną rzeką, bosymi dzieciakami i jasnym słońcem jesiennym sprawiały na każdym, kto to widział, kuszące wrażenie wesela, radości i obfitości. Chrząst rozgniatanych jabłek brzmiał cierpko i podniecał apetyt; ten, kto podchodził i słyszał to, musiał czym prędzej wziąć jabłko do ręki i ugryźć. Z rur spływał gęstym strumieniem słodki młody moszcz, żółtoczerwony i roześmiany w słońcu; kto podchodził i widział to, musiał poprosić o szklaneczkę i szybko skosztować, po czym przystawał, oczy mu wilgotniały i czuł w sobie prąd słodczy i lubości. Słodki jabłecznik przepoił powietrze wokół swoim radosnym, silnym, cudownym zapachem. Ten zapach jest właściwie wonią wszystkiego, co najlepsze w całym roku, jest wcieleniem dojrzałości i plonu; i dobrze jest wchłonąć go tak przed nadchodzącą zimą, bowiem człowiek wspomina sobie przy tym z wdzięcznością mnóstwo dobrych, cudownych rzeczy: łagodne deszczyki majowe, szumiące ulewy lata, chłodną rosę poranną jesieni, pieszczotliwe promienie wiosennego słońca i letnie upały, białoróżowo jaśniejący kwiat i dojrzały czerwonobrazowy blask drzew owocowych przed zbieraniem plonów. A wśród tego w ogóle wszystko, co taki rok przynosi z piękna i radości.

Były to dni świetności dla każdego. Bogacze i pyszałki, o ile raczyli zjawić się osobiście, ważyli swe jędrne jabłka na dłoni, przeliczali swój tuzin czy więcej worków, kosztowali z srebrnych kubków i ogłaszali wszem wobec, że do ich jabłeczniaka nie doda się ani kropli wody. Biedacy mieli zazwyczaj tylko jeden jedyny worek owoców, kosztowali ze szklanek albo glinianych miseczek, dolewali wody i byli mimo to niemniej dumni i weseli. Kto z jakichkolwiek przyczyn nie mógł robić jabłeczniaka, ten biegał między znajomymi i sąsiadami od prasy do prasy; otrzymywał wszędzie napełnioną szklankę oraz jabłko, starając się dowieść fachowymi uwagami, że i on zna się coś niecoś na rzeczy. Mnóstwo dzieciaków zaś, biednych i bogatych, kręciło się z małymi kubkami, każdy z nadgryzionym jabłkiem i kromką chleba w garści, gdyż od niepamiętnych czasów nieuzasadniona fama głosiła, że kto zje odpowiednią ilość chleba przy wyrabianiu jabłeczniaka, tego potem brzuch nie zaboli.

Setka głosów krzyczała naraz, nie mówiąc o tym, jaki harmider robiła dzieciarnia, a wszystkie te głosy były ożywione, podniecone i wesołe.

— Hannes, podejdz no bliżej! Na jedną szklaneczkę!

— Piękne dzięki, mnie już brzuch boli!

— Coś płacił za cetnar?

— Cztery marki. Ale pierwsza klasa. Spróbuj tylko!

Czasami zdarzała się mała katastrofa. Jakiś worek otwierał się za wcześnie i wszystkie jabłka toczyły się na ziemię.

— Do kroćset tysięcy, moje jabłka! Pomóście ludziska!

Wszyscy pomagali zbierać i tylko kilku łobuzów usiłowało się przy tym wzbogacić.

— Nie ściągać, wy cholery! Żreć możecie, ile wlezie, ale nie ściągać! Poczekaj, ty nicponiu, darmozjadzie!

— Hej, panie sąsiedzie, nie tak z pyszna! Niech no pan pokosztuje!

— Jak miód! Istny miód! Ileż to tego robicie?

— Dwie beczułki, nie więcej, ale za to dobry!

— Dobrze, że to nie środek lata, bo byśmy wszystko od razu wytrąbili!

I w tym roku nie zabrakło owych kilku starych zrządów, bez których by się nie obeszło. Sami już od dawna nie robią jablecznika, ale przecież wiedzą wszystko lepiej i opowiadają o czasach króla Ćwieczka, kiedy dostawało się owoc niemal za darmo. Wszystko było o wiele tańsze i lepsze, o dodawaniu cukru nie było mowy i w ogóle drzewa dawały wtedy zupełnie inny plon.

— Wtedy jeszcze można było mówić o jakimś zbiorze. Ja miałem jabłonkę, co sama dawała z pięć cetnarów.

Ale pomimo, że czasy tak się popsuły, zgryźliwi starcy również w tym roku wydatnie pomagają przy kosztowaniu, a który z nich ma jeszcze zęby, ten żuje swe jabłko. Jeden z nich poradził nawet kilku dużym gruszkom i teraz porządnie wierci go w brzuchu.

— Przecież mówię — zrzedzi — dawniej zjadałem z dziesięć takich gruszek. — I wśród rzewnych westchnień wspomina te czasy, kiedy to jeszcze mógł zjeść dziesięć gruszek, nim dostał boleści.

W samym środku tego ścisku stała tłocznia majstra Flaiga. Pomagał mu starszy czeladnik. Flaig sprowadził swoje jabłka aż z Baderiskiego i jego jablecznik należał do najlepszych. Był rozradowany i nie bronił nikomu skosztować "na próbę" napoju. Jeszcze bardziej uradowane były jego dzieci, które wałęsały się wszędzie i uszczęśliwione brały udział w ogólnej uciesze. Ale najbardziej zadowolony był jego

czeladnik, chociaż tego głośno nie objawiał. Czuł błogość w całym ciele, że znów może się czymś zająć na powietrzu i rozprostować grzbiet, pochodził bowiem z górskich lasów, z ubogiej chaty chłopskiej, a zresztą bardzo smakował mu dobry, słodki jabłecznik. Jego zdrowa twarz wiejskiego chłopaka śmiała się jak maska satyra, a jego szewskie ręce były czystsze niż kiedykolwiek w niedzielę.

Gdy Hans Giebenrath wszedł na plac, był cichy i wylęknięty; niechętnie tu przyszedł. Ale zaraz przy pierwszej tłoczni podsunięto mu kubek, podała mu go Liza od Nascholdów. Skosztował i kiedy przełknął pierwszy łyk, wraz z słodkim, mocnym smakiem moszczu zawirowało w nim mnóstwo roześmianych wspomnień o dawniejszych jesieniach i równocześnie nieśmiałe pragnienie, aby raz znowu wziąć udział w ogólnej zabawie i rozweselić się. Znajomi zagadywali go, częstowano go, a kiedy dotarł do tłoczni Flaiga, ogólna wesołość i napój już go porwały i zrobiły swoje. Z wielkim humorem przywitał się z szewcem i powiedział kilka przyjętych, okolicznościowych kawałów. Majster ukrył swe zdziwienie i wyraził głośną radość z jego przybycia.

Minęło pół godziny, nadeszła jakaś dziewczyna w niebieskiej sukience, zaśmiała się do Flaiga i jego czeladnika i wzięła się do pomocy.

— A to — powiedział szewc — moja siostrzenica z Heilbronn. Ona do innego winobrania przyzwyczajona, bo przecież w jej stronach tyle winnic.

Miała może osiemnaście lub dziewiętnaście lat; była ruchliwa i wesoła jak wszyscy mieszkańcy niziny, niewysoka, ale dobrze zbudowana i pełnych kształtów. Wesoło i mądrze błyszczały z okrągłej twarzyczki ciemne oczy o ciepłym wejrzeniu, a ładne usta były jak stworzone do całowania. Ogólnie biorąc, wyglądała wprawdzie na dorodną i żywą mieszkankę Heilbronn, ale bynajmniej nie na krewną nabożnego szewca. Była całkowicie z tego świata, a jej oczy nie wyglądały na to, aby wieczorem i nocą czytywały Biblię i Skarbczyk Gossnera.

Hans nagle zmarkotniał znowu i zapragnął z całej duszy, aby Emma prędko sobie poszła. Ale ona została. Śmiała się i plotła, trzepotała językiem, znajdując na każde odezwanie się ciętą odpowiedź, a Hans wstydził się i zamilkł zupełnie. Obcowanie z młodymi dziewczętami, do których musiał mówić "pani", zawsze było dla niego okropnym przeżyciem, a ta dziewczyna była tak żywa, tak rozmowna i tak sobie nic nie robiła z jego obecności i nieśmiałości, że niezdarnie i z lekka obrażony schował różki i zamknął się w sobie jak ślimak przy drodze, potrącony kołem wozu.

Trzymał się na uboczu i próbował przybrać minę człowieka, który się nudzi; lecz nie bardzo mu się to udawało i miał raczej minę, jakby mu w tej chwili ktoś umarł.

Nikt nie miał czasu zważać na to, a najmniej sama Emma. Od dwóch tygodni, jak się Hans dowiedział, bawiła w odwiedzinach u Flaigów, ale znała już całe miasto. Kręciła się wśród bogatych i biednych, "próbowała" jabłecznika, a pożartowawszy i pośmiawszy się trochę, wracała znowu, udając, że gorliwie pomaga, brała dzieci na rękę, rozdawała jabłka i szerzyła dokoła siebie sam śmiech i wesołość. Zaczepiała każdego łobuziaka: "Chcesz jabłko?" Potem brała ładne, rumiane jabłko, chowała ręce za plecami i kazała zgadywać: "W lewej czy w prawej?", ale jabłko nigdy nie było w tej właściwej ręce i dopiero kiedy dzieciarnia zaczynała wymyślać, dawała jabłko, ale mniejsze i zielone. Widocznie słyszała już o Hansie, gdyż zapytała go, czy on jest tym, którego stale boli głowa, ale zanim zdążył odpowiedzieć, wdała się w rozmowę z sąsiadami.

Hans już miał zamiar cichaczem się wymknąć i pójść do domu, kiedy Flaig wetknął mu rączkę dźwigni do ręki.

— Tak, teraz możesz nas trochę wyręczyć, Emma ci pomoże. Ja muszę wracać do warsztatu.

Majster poszedł, czeladnikowi razem z majstrową kazano odnieść jabłecznik i Hans został z Emma sam przy tłoczni. Zacisnął zęby i pracował za dwóch.

Nagle zdziwił się dlaczego dźwignia tak ciężko chodzi, a kiedy podniósł oczy dziewczyna wybuchnęła szyderczym śmiechem. Dla żartu stawiała mu opór z drugiej strony, a gdy Hans szarpnął już teraz ze złością, powtórzyła to samo.

Nie powiedział ani słowa. Ale gdy znowu próbował uruchomić dźwignię, opierającą się pod ciężarem ciała dziewczyny, ogarnęło go raptem wstydlive zmieszanie. Zwolna przestał kręcić rączką. Poczuł słodki lęk, a kiedy dziewczyna roześmiała mu się zuchwale w twarz, wydała mu się nagle zmieniona, bliższa, choć jednocześnie i bardziej obca. Teraz i on również roześmiał się z jakąś niezręczną poufałością.

A potem dźwignia całkiem spoczęła.

Emma powiedziała:

— Po cóż tak harować? — i podała mu szklanekę napełnioną do połowy, z której dopiero co sama piła.



Ten łyk jabłeczniaka wydał mu się bardzo mocny i słodszy niż poprzedni; po wypiciu zajrzał pożądliwie do próżnej szklanki, dziwiąc się, jak gwałtownie bije mu serce i jak ciężko mu oddychać.

Potem znowu trochę pracowali i Hans nie wiedział dlaczego próbował stanąć tak, aby spódnica dziewczyny muskała go, a jej ręka dotykała jego dłoni. Ale ilekroć się to zdarzyło, serce cichło mu z trwożnej rozkoszy i ogarniała go błoga, słodka niemoc, tak że drżały mu z lekka kolana, a głowę wypełniał zawrotny szum.

Nie wiedział, co mówi, ale odpowiadał na jej zaczepki, śmiał się, gdy ona się śmiała, pogroził jej kilka razy palcem, gdy dokazywała, i wypił jeszcze dwie szklanki z jej ręki. Równocześnie zwałił się na niego cały potok wspomnień: służące, które widywał wieczorami, wystawające z mężczyznami po bramach, kilka zdań z powieści, pocałunek otrzymany swego czasu od Hermana Heilnera i mnóstwo słów, opowiadań i rozmów uczniowskich o "panienkach" i o tym, "jak to jest, gdy się ma dziewczynkę". Oddychał przy tym tak ciężko jak koń ciągnący pod górę.

Wszystko się odmieniło. Ludzie i ruch wokół nich rozwiały się w barwnie roześmianą mgłę. Poszczególne głosy, przekleństwa i śmiechy ginęły gdzieś w jakimś ogólnym mętłym poszumie, rzeka i stary most wyglądały, jakby były bardzo daleko i namalowane.

Również Emma wyglądała inaczej. Nie widział już jej twarzy — tylko ciemne, wesołe oczy i czerwone usta z białymi, ostrymi zębami; jej postać rozpływała się i dostrzegał już tylko jakieś szczegóły — to pantofelek z czarną pończochą, to jakiś zbłąkany zwisający loczek na karku, to niknącą w niebieskim materiale opalona, krągłą szyję, to spadziste ramiona, a pod nimi falowanie oddechu, to różowo przeświecające ucho. Upłynęła jeszcze chwila i oto Emma upuściła szklankę do kadzi, a schylając się po nią przycisnęła kolanem jego dłoń do brzegu kadzi. Hans nachylił się także, ale wolniej, dotykając niemal twarzą jej włosów. Włosy wydzielaly nikły zapach, a pod nimi w cieniu luźnych, krętych loczków lśnił ciepło i brązowo piękny kark i ginął w niebieskiej sukni, przeświecając jeszcze odrobinę w rozchyleniach między silnie napiętymi zapinkami.

Kiedy prostowała się znowu, kolano jej przesunęło się wzdłuż ramienia Hansa i włosy musnęły go po policzku, a ona cała poczerwieniała od wysiłku schylania. Hansa przeniknął gwałtowny dreszcz. Zbladł i miał przez moment wrażenie ogromnego znużenia, tak że musiał się chwycić za śrubę prasy. Serce kołatało mu niespokojnie, ramiona omdlały, kłuło go pod łopatkami.

Odtąd nie odzywał się już niemal słowem i unikał oczu dziewczyny. Za to, gdy odwracała wzrok, patrzył na nią nieruchomo, z mieszaniną nieznanej rozkoszy i wyrzutów sumienia. W tej godzinie coś się w nim przełamało i przed jego duszą otworzyła się nieznana, egzotyczna, kusząca kraina z dalekimi błękitnymi wybrzeżami. Nie pojmował jeszcze, lecz może tylko przeczuwał, czym jest dla niego ta trwoga i ta słodka udręka, i nie wiedział także, co w nim jest silniejsze, męka czy rozkosz.

Rozkosz zaś oznaczała zwycięstwo jego młodego pędu do miłości i pierwsze przecucie potęgi życia; a męka znaczyła, że spokój poranka został zachwiany i że jego dusza opuściła kraj dzieciństwa do którego się już nie wraca. Jego lekka łódeczka ledwo ocalała z pierwszego rozbicia dostała się teraz w moc nowych burz, w pobliże czyhających mielizn i karkołomnych raf, przez które nawet najlepiej prowadzona młodzież nie ma przewodnika, lecz musi własnymi siłami szukać dróg i ratunku.

Dobrze się stało, że czeladnik wrócił i złuzował go przy tłoczni. Hans ociągał się chwilę. Spodziewał się jeszcze jakiegoś zetknięcia czy życzliwego słowa od Emmy. Ale Emma gawędziła już znowu przy tłoczniach sąsiadów. Ponieważ Hans krępował się czeladnika, wyniósł się wkrótce cichaczem do domu, bez pożegnania.

Wszystko stało się dziwnie inne, piękne i podniecające. Spasione na wytłoczynach wróble uganiały hałaśliwie po niebie, które jeszcze nigdy nie było tak wysokie, ładne i tęsknie błękitne. Nigdy jeszcze lustro rzeki nie było tak czyste, niebieskozielone i roześmiane, nigdy jaz nie huczał tak oślepiającą bielą. Wszystko zdawało się świeżo wymalowane niczym barwne obrazki za jasnymi, czystymi szybami. Wszystko jak gdyby czekało na rozpoczęcie wielkiej uroczystości. Także we własnej piersi czuł Hans niepokojąco silne, trwożne i słodkie falowanie dziwnie zuchwałych uczuć i niezwykłych, śmiałych nadziei wraz z trwożnym powątpiewaniem, czy to aby nie sen, co się nigdy nie ziści. Wzbierając na sile zamieniły się te sprzeczne wrażenia w mrocznie nurtujące źródło, jakby coś nazbyt silnego w nim chciało się wydostać na zewnątrz, zaczerpnąć oddechu — może jakiś szloch, może śpiew, krzyk albo głośny śmiech. Dopiero w domu owo podniecenie uspokoiło się nieco. Tam oczywiście wszystko było tak jak zawsze.

— Skądże to wracasz? — zapytał pan Giebenrath.

— Od Flaiga z młyna.

— Ile narobił jabłecznika?

— Dwie beczki, zdaje mi się.

Poprosił ojca, aby pozwolił mu zaprosić dzieci Flaiga, gdy sam będzie robił jabłecznik.

— Ma się rozumieć — mruknął Giebenrath. — Zabiorę się do tego w przyszłym tygodniu. Możesz je wtedy przyprowadzić.

Do kolacji była jeszcze godzina czasu. Hans wyszedł do ogrodu. Poza dwoma świerkami niewiele pozostało już w nim zieleni. Zerwał witkę leszczynową, śmignął nią w powietrzu i rozrzucił na boki zwiędłe liście. Słońce schowało się już za górę, której czarny kontur z cienkimi jak włos iglicami jodeł przecinał seledynowobłękitne, przejrzyste niebo wieczorne. Szary, wydłużony obłok, prześwietlony żółto i brunatnie, płynął z dostojną powolnością przez rzadkie, złociste powietrze w górę doliny, jak powracający okręt.

Hans przechadzał się po ogrodzie przejęty w dziwny, nie znany mu sposób dojrzałym, nasyconym kolorami pięknem wieczoru. Czasami przystawał, zamykał oczy i próbował wyobrazić sobie Emmę, jak stała naprzeciw niego przy tłoczni, jak dawała mu pić ze swojej szklanki, jak schylała się nad kadzią i znowu prostowała się zarumieniona. Widział jej włosy, jej kształty w ciasnej niebieskiej sukience, jej szyję i kark ocieniony ciemnobrązowymi włoskami; wszystko to napępiało go rozkoszą i drżeniem, tylko jej twarzy nie mógł sobie jakoś wyobrazić.

Gdy słońce zaszło, nie zauważył chłodu, a zapadający zmierzch wydał mu się zasłoną pełną tajemnic, dla których nie miał nazw. Rozumiał wprawdzie, że zakochał się w dziewczynie z Heilbornn, ale zew budzącej się męskości w jego krwi pojmował niejasno jako niezwykły, drażniący i nużący stan.

Przy kolacji było mu jakoś dziwnie, gdy tak siedział odmieniony w swoim zwykłym otoczeniu. Ojciec, stara sługa, stół, sprzęty i cały pokój zestarzały się nagle w jego oczach. Spoglądał na wszystko z uczuciem zdziwienia, obcości i czułości, jak gdyby dopiero co powrócił z dalekiej podróży. Wówczas, kiedy flirtował ze swą ponurą gałęzią, przyglądał się tym ludziom i przedmiotom z rzewną wyższością, jak ktoś, co się żegna; obecnie był to powrót, zdumienie, uśmiech, ponowne objęcie swojej własności.

Skończyli kolację i Hans chciał właśnie wstać, gdy ojciec zapytał nagle w swój obcesowy sposób:

— Czy chciałbyś zostać mechanikiem, Hans, czy też wolisz być urzędnikiem?

— Jak to? — odpowiedział Hans zdziwiony pytaniem.

— Mógłbyś pod koniec przyszłego tygodnia wstąpić do terminu u mechanika Schulera albo za dwa tygodnie wziąć praktykę w ratuszu. Zastanów się dobrze. Pogadamy jutro o tym.

Hans wstał i wyszedł. Niespodziewane zapytanie zakłopotало go i oszołomiło. Nieoczekiwanie stanęło przed nim codzienne, czynne, ruchliwe życie, od którego odwykł od szeregu miesięcy. Ukazywało oblicze ponętne i oblicze groźne, obiecywało i stawiało wymagania. Nie nęcił go specjalnie ani zawód mechanika, ani urzędnika. Ciężka praca fizyczna w rzemiośle odstraszała go trochę. Wtem przypomniał sobie szkolnego kolegę Augusta, który został przecież mechanikiem i z którym mógł na ten temat porozmawiać.

Kiedy tak o tym rozmyślał, wyobrażenia w jego umyśle blakły i mętniały, a cała sprawa przestała mu się wydawać aż tak ważną i pilną. Coś innego poruszało go i zajmowało. Niespokojnie przemierzał sień, aż nagle wziął kapelusz i wyszedł wolno na ulicę. Przyszło mu do głowy, że musi dziś jeszcze raz zobaczyć Emmę.

Już się ściemniło. Z pobliskiej gospody dobiegały krzyki i ochryple śpiewy. Niektóre okna były oświetlone; tu i ówdzie rozjaśniało się jedno, a potem znów inne, kładąc poprzez mrok nikłą czerwoną smugę jasności. Długi rząd dziewcząt, idących pod rękę, sunął z głośnym śmiechem i gwarem w dół jezdni, chybotając się w niewyraźnym świetle i płynąc niby ciepła fala młodości i rozkoszy przez zasypiające uliczki. Hans oglądał się długo za nimi. Serce kołatało mu w gardle. Z okna zasłoniętego firankami dochodziły dźwięki skrzypiec. Przy studni jakaś kobieta płukała sałatę. Po moście spacerowało dwóch młodych chłopców ze swymi wybrankami. Jeden z nich trzymał swoją dziewczynę za rękę i paląc cygaro kołysał jej luźno opuszczonym ramieniem. Druga para szła wolno, ciasno przytulona do siebie. Chłopak obejmował biodro dziewczyny, a ona opierała mocno ramię i głowę na jego piersi. Hans widywał takie rzeczy setki razy, nie zwracając na nie uwagi. Teraz nabrały one ukrytego sensu, nabrały niejasnego, ale lubieżnie słodkiego znaczenia; jego wzrok spoczął na tej grupie, a pełna przeczuć wyobraźnia parła do bliskiego zrozumienia. Niespokojny i do głębi wzburzony, poczuł się bliski wielkiej tajemnicy, o której nie wiedział, czy jest cudowna, czy straszna, ale z drżeniem wyczuwał jedno i drugie.

Zatrzymał się przed domkiem Flaiga, nie mogąc zdobyć się na odwagę, aby wejść. Cóż tam będzie robić, co powie? Przypomniał sobie, jak to będąc chłopcem jedenasto- czy dwunastoletnim często tu przychodził; wtedy Flaig opowiadał mu historie z Biblii i wytrzymywał napór jego ciekawych pytań o piekło, diabła i duchy. Te

wspomnienia przyszły nie w porę i wzbudziły w nim wyrzuty sumienia. Nie wiedział, co chce uczynić, nie wiedział nawet, czego właściwie pragnie, ale zdawało mu się, że stoi przed czymś tajemniczym i zabronionym. Wydawało mu się, że nie jest w porządku wobec szewca, stojąc tak po ciemku przed drzwiami i nie wchodząc do środka. A gdyby go Flaig zobaczył albo stanął w tej chwili w drzwiach? Prawdopodobnie nie zwymyślałyby go nawet, tylko wyśmiały, a tego Hans lękał się najbardziej.

Zakradł się za dom i mógł teraz zza płotu ogrodowego zajrzeć do oświetlonej jadalni. Majstra nie widział. Żona szła zapewne czy też robiła na drutach, najstarszy syn jeszcze nie spał i siedział czytając przy stole. Emma snuła się to tu, to tam, widocznie zajęta sprzątaniami, tak że widział ją zawsze tylko przez chwilę. Było tak cicho, że słychać było wyraźnie każdy najdalszy krok na ulicy i łagodny szum rzeki po tamtej stronie ogrodu. Ciemność i chłód nocy wzmagają się szybko.

Obok okien jadalni ciemniało mniejsze okienko sieni. Po długiej chwili ukazała się w tym okienku jakaś niewyraźna postać i wychyliła się spoglądając w ciemność. Hans poznał po figurze, że była to Emma, i serce stanęło mu z trwoźnego oczekiwania. Stała przy oknie, patrząc długo i spokojnie w jego stronę, jednak nie wiedział, czy go widzi albo poznaje. Nie poruszył się i wlepił w nią oczy z niepewną obawą, pragnąc, aby go poznała i lękając się tego zarazem.

Niewyraźna postać znikła znowu z okienka. Zaraz potem szcęknęła klamka w drzwiach prowadzących do ogrodu i Emma wyszła z domu. Hans w pierwszym przestachu chciał uciec, dokąd go nogi poniosą, ale stał w miejscu, bezwładnie oparty o płot, i patrzył, jak dziewczyna powoli idzie ku niemu przez ciemny ogród. Po każdym jej kroku zdawało mu się, że ucieknie, lecz coś silniejszego zatrzymywało go na miejscu.

Emma stała teraz na wprost niego, oddalona o niecałe pół kroku — tylko niski płot ich dzielił. Spoglądała mu w oczy uważnie i dziwnie. Przez długą chwilę żadne z nich nie powiedziało ani słowa. Potem Emma zapytała cicho:

— Po coś przyszedł?

— Po nic — odparł.

Powiedziała mu "ty", a on odczuł to jak najczulszą pieczętę.

Podawała mu rękę przez płot. Wziął ją nieśmiało i czule, ściskając lekko. Gdy spostrzegł, że jej nie cofnęła, nabrał odwagi i pogłaskał delikatnie i ostrożnie ciepłą dłoń dziewczęcą. A kiedy dłoń ta nadal pozostawała chętnie w jego uścisku, przyłożył

ją sobie do policzka. Przebiegła go fala przenikliwej rozkoszy, dziwnego ciepła i błogiego znużenia, powietrze dokoła wydało mu się łagodne i nasycone wilgocią górskiego wiatru, nie widział już uliczki ani ogrodu, tylko bliską jasną twarz i płataninę ciemnych włosów.

I zdawało mu się, że głos dziewczyny dobiega z jakiejś ogromnej odległości nocnej, kiedy zapytała go cicho:

— Czy chcesz mnie pocałować?

Jasna twarz przybliżyła się, żerdki płotu wygięły się pod ciężarem ciała nieco na zewnątrz, luźno puszczone pachnące włosy musnęły czoło Hansa, a przymknięte oczy o białych, szerokich powiekach i ciemnych rzęsach znalazły się tuż przed jego oczyma. Gwałtowny dreszcz wstrząsnął nim, gdy nieśmiało wargami dotknął ust dziewczyny. Natychmiast cofnął się pełen przerażenia, ale ona chwyciła jego głowę obiema dłońmi, przycisnęła swoją twarz do jego twarzy i nie puściła jego warg. Czuł jej palące usta, czuł, jak przywarły i przyssały się chciwie, jakby chciały wypić zeń życie. Ogarnęło go ogromne osłabienie; nim jeszcze obce wargi oderwały się od niego, drżąca rozkosz zamieniła się w śmiertelne znużenie i mękę, a kiedy Emma go puściła, słańiał się i zaciśniętymi palcami trzymał się kurczowo płotu.

— Słuchaj, przyjdź tu znowu jutro wieczorem — powiedziała Emma i weszła szybko do domu. Nie była w ogrodzie nawet pięciu minut, ale Hansowi wydawało się, że upłynęły całe godziny. Patrzył za nią pustym spojrzeniem, trzymając się ciągle jeszcze płotu, i czuł się nazbyt zmęczony, żeby postąpić choć krok naprzód. Rozmarzony przysłuchiwał się swojej krwi, która łomotała mu w skroniach, nierównym, bolesnym nurtem płynęła z serca i wracała doń zapierając mu oddech.

Teraz zobaczył, że w pokoju otwierają się drzwi i wchodzi majster, który zapewne był dotąd w warsztacie. Strach, że go zauważą, przynaglił go do odejścia. Szedł powoli, niechętnie i niepewnie jak lekko pijany i przy każdym kroku miał wrażenie, że osunie się na kolana. Ciemne uliczki z sennymi facjatkami i mętnymi, czerwonymi oczyma okien, most, rzeka, podwórza i ogrody przesuwwały się koło niego jak dekoracja. Studnia przy ulicy Garbarzy szemrała dziwnie głośno i dźwięcznie. Jak we śnie Hans otworzył jakąś bramę, wszedł w otchłań ciemnej sieni, wspiał się po schodach, otworzył i zamknął najpierw jedno, potem jeszcze jedno drzwi, usiadł na jakimś stole i dopiero po dłuższym czasie ocknął się z przeświadczeniem, że jest w domu, w swojej izdebce. Znowu minęła chwila, zanim zdecydował się rozebrać. Czynił

to w roztargnieniu i rozebrany siedział przy oknie, aż wreszcie jesienna noc przejęła go nagłym chłodem i zapędziła do łóżka.

Mniemał, że natychmiast zaśnie. Ale zaledwie się położył i nieco zagrzał, wróciło bicie serca i nierówne, gwałtowne pulsowanie krwi. Gdy tylko zamykał oczy, miał wrażenie, że usta dziewczyny wpijają się w jego wargi, wysysając mu duszę i napęlniając go dręczącym żarem.

Zasnął późno i gorączkowo uciekał z jednego snu w drugi. Stał w jakichś zatrważająco głębokich ciemnościach, błędząc po omacku, chwycił ramię Emmy, ona objęła go ramieniem i zapadli się powoli w jakąś ciepłą, głęboką toń. Lecz oto stał przed nim szewc zapytując, dlaczego nie chce go odwiedzić. Na to Hans śmieje się, bo widzi, że to nie Flaig, tylko Herman Heilner siedzi obok niego w okiennej wnęce w maullbrońskim oratorium i opowiada kawały. Ale natychmiast i ten sen rozwiął się także i oto Hans stoi przy tłoczni. Emma opiera się na dźwigni, a on wszystkimi siłami próbuje złamać jej opór. Nachyliła się i szuka jego ust, zrobiło się cicho i ciemno i znowu osunął się w ciepłą, czarną głębię, zatracając się w zawrocie głowy. Równocześnie słyszał, że eforus wygłasza przemówienie, a nie wiedział, czy odnosi się ono do niego.

Potem spał do późnego ranka. Dzień był pogodnie złoty. Przechadzał się długo po ogrodzie, starając się otrząsnąć i oprzytomnieć, ale otaczała go lepka, senna mgła. Widział fioletowe astry, ostatnie kwiaty ogrodu, piękne i roześmiane w słońcu, jak gdyby to był sierpień, i widział ciepłe, miłe światło, spływające pieszczotliwie i przytulnie na uschnięte gałązki i ogołocone z liści witki, jakby to była pora przedwiośnia. Ale widział to tylko oczami, nie przeżywał tego, nic go to nie obchodziło. Nagle nasunęło mu się jasne, wyraziste wspomnienie z okresu, kiedy tu, w ogrodzie, biegały jeszcze jego króliki i poruszał się jego wodny młynek. Przypomniwał mu się pewien wrześnieowy dzień przed trzema laty. Było to w wilię święta Sedanu. August przyszedł do niego i przyniósł bluszcz; potem myli drzewce chorągwi do czysta i wiązali bluszcz na złotych ostrzach mówiąc o jutrzejszym dniu i ciesząc się nań. Poza tym nie było nic i nic się nie wydarzyło, ale obaj przepelnieni byli świątecznym nastrojem i radością, chorągwie błyszczały w słońcu, Anna upiekła placek ze śliwkami, a wieczorem miano zapalić na wysokiej górze ognisko ku uczczeniu Sedanu.

Hans nie wiedział, dlaczego właśnie dziś musiał myśleć o owym wieczorze, nie wiedział, dlaczego to wspomnienie było takie ładne i silne ani dlaczego napęlnia go ono takim smutkiem i żalnością. Nie wiedział, że w szacie tego wspomnienia stanęło

przed nim jeszcze raz wesołe i roześmiane dzieciństwo wraz z chłopięcymi latami, aby go pożegnać, zostawiając po sobie kolce wielkiego szczęścia, które kiedyś było i już nigdy nie powróci. Czuł tylko, że owo wspomnienie nie idzie w parze z myślami o Emmie i o wczorajszym wieczorze i że przebudziło się w nim coś, co nie da się pogodzić z ówczesną szczęśliwością. Zdawało mu się, że znowu widzi błysk złotych ostrzy chorągwi, słyszy śmiech swego przyjaciela Augusta i czuje zapach świeżego placka. To wszystko było tak pogodne i radosne, a przy tym tak odległe od niego, że oparł się o szorstki pień wielkiego świerka i wybuchnął rozpaczliwym płaczem, który mu na tę krótką chwilę przyniósł ulgę i pociechę.

Około południa pobiegł do Augusta, który został teraz pierwszym czeladnikiem i ogromnie się rozrósł i zmężniał. Wyłożył mu swoją rzecz.

— To nie taka prosta sprawa — uznał August z wielce doświadczoną miną. — To nie taka prosta sprawa Bo z ciebie prawdziwe chuchro. W pierwszym roku przy kuciu trzeba się diabelnie namachać, a młot kowalski to nie łyżka. Udźwigasz się też żelastwa, a wieczorem musisz posprzątać. Do szlifowania też potrzeba nie byle jakiej siły, a na początek, póki się nie nauczysz, będziesz dostawał same stare pilniki, nie niewarte i wyślizgane jak małpi tyłek.

Hans z punktu stracił odwagę.

— Więc lepiej nie brać się do tego? — zapytał nieśmiało.

— Ojej, tego przecież nie powiedziałem. Nie bądźże fajtłapą. Tylko że na początku to nie fraszka. Ale potem, no cóż — taki mechanik to coś lepszego, wiesz, a potrzeba też dobrej głowy na to, bo inaczej możesz zostać zwykłym kowalem. Popatrz no się.

Przyniósł kilka małych, wyczelowanych części maszynowych z lśniącej stali i pokazał je Hansowi.

— Widzisz, tu nie może być omyłki ani na pół milimetra. Wszystko zrobione ręką, aż do śrubek. Trzeba mieć oko. Teraz się je jeszcze wypoleruje i zahartuje, i dobra jest.

— Owszem ładne. Gdybym tylko wiedział...

August roześmiał się.

— Boisz się? Ano cóż, terminator dostaje szkołę, na to nie ma rady. Ale ja też jeszcze tu jestem, przecież ci pomogę. Jeśli zaczniesz w przyszły piątek, to właśnie skończę drugi rok nauki i w sobotę dostanę pierwszą wypłatę. A w niedzielę będziemy



świętować z piwem i plackami, wszyscy razem, ty też; wtedy zobaczysz, jak to u nas wygląda. A widzisz. Zresztą dawniej też byliśmy zawsze dobrymi przyjaciółmi.

Przy obiedzie Hans zawiadomił ojca, że ma ochotę zostać mechanikiem, i zapytał, czy może zacząć naukę za tydzień.

— Dobrze zatem — powiedział ojciec.

Po południu poszedł z Hansem do warsztatu Schulera i zgłosił jego wstąpienie.

Ale kiedy zaczęło się zmierzchać, Hans zapomniał prawie o wszystkim, myśląc jedynie o tym, że wieczorem oczekuje go Emma. Już teraz zapierało mu oddech, godziny były mu raz za długie, to znowu za krótkie. Niosło go ku spotkaniu jak łódkę ku wirowi na rzece. O jedzeniu tego wieczora nie było mowy, zaledwie zdołał przełknąć filiżankę mleka. Potem wyszedł.

Wszystko było jak wczoraj — ciemne, zasypiające uliczki, martwe okna, nikły blask latarni i powoli przechadzające się pary miłosne.

Przy płocie ogrodu Flaiga ogarnął go ogromny niepokój; wzdrygał się za każdym szmerem i stojąc tu i nasłuchując po ciemku, czuł się jak złodziej. Nie minęła nawet minuta, kiedy Emma stanęła przed nim. Rękami przegarnęła mu włosy i otworzyła furtkę ogrodową. Wszedł ostrożnie, a ona pociągnęła go cicho za sobą, przez dróżkę, obsadzoną krzewami i przez tylną bramę do ciemnej sieni. Tam usiedli obok siebie na najwyższym stopniu schodków wiodących do piwnicy. Minęła dłuższa chwila, nim zdołali się jako tako rozeznać w ciemnościach. Dziewczyna była w świetnym humorze i szeptała bez przerwy. Zakosztowała już niejednego pocałunku i była obeznana ze sprawami miłosnymi. Nieśmiały, czuły chłopak był w sam raz dla niej. Ujęła jego szczupłą twarz w obie dłonie i całowała czoło, oczy i policzki, a kiedy nadeszła kolej na usta i znowu pocałowała go tak długo i ssąco, chłopiec dostał nieomal zawrotu głowy, bezwładny i bezwolny leżał oparty o nią. Ona roześmiała się z cicha i pociągnęła go za ucho. Plotła bez końca, a on słuchał nie rozumiejąc nic. Błądziła dłonią po jego ramieniu, po włosach, szyi i rękach, opierała swój policzek o jego policzek i składała mu głowę na piersiach. Milczał i nie opierał się niczemu, przepojony słodką zgrozą i głębokim, szczęśliwym niepokojem, wzdrygając się czasami krótko i nieznacznie jak w gorączce.

— Co z ciebie za chłopiec! — śmiała się. — Przecież ty się wszystkiego boisz.

Wzięła jego rękę, powiodła nią przez swój kark i włosy, przyłożyła do swej piersi i przycisnęła się do niej. Poczul miękką kształt i słodkie, obce falowanie i zamknął oczy zapadając w bezdenne głębie.

— Nie! Dość już! — bronił się, gdy chciała go znowu pocałować.

Roześmiała się.

Pociągnęła go ku sobie obejmując ramieniem, przytuliła się swoim bokiem do jego boku, aż wyczuwszy jej ciało zupełnie stracił głowę i już nic nie potrafił powiedzieć.

— Czy mnie choć lubisz? — zapytała.

Chciał powiedzieć, że tak, ale zdobył się jedynie na skinienie i dłuższą chwilę kiwał głową.

Wzięła jeszcze raz jego rękę i wsunęła ją sobie żartobliwie za gors. Gdy poczuł tak gorąco i blisko tętno i oddech cudzego życia, serce zamarło mu, a oddech stał się tak ciężki, jakby za chwilę miał skonać. Cofnął rękę i jęknął:

— Teraz muszę już iść do domu.

Kiedy spróbował wstać, zatoczył się i o mało nie wpadł do piwnicy.

— Co tobie? — zapytała Emma ze zdziwieniem.

— Nie wiem. Taki jestem zmęczony.

Nie czuł, że podpierała go w drodze do płotu i przyciskała się do niego, i nie słyszał, że życzyła mu dobrej nocy zamykając za nim furtkę. Sam nie wiedział, jak zaszedł uliczkami do domu — jak gdyby porwał go silny wichur lub uniósł rozkołysany, potężny prąd.

Widział szare domy z lewej i prawej strony, ponad nimi grzbiety gór, szczyty jodeł, czerń nocy i duże, uśpione gwiazdy. Czuł powiew wiatru, słyszał szum rzeki koło filarów mostu i ujrzał w wodzie odbicie ogrodów, szarych domów, czerni nocy, latarni i gwiazd.

Na moście musiał usiąść; był tak zmęczony, że wątpił, czy kiedykolwiek zajdzie do domu. Usiadł na balustradzie słuchając, jak woda ociera się o filary, szumi przy jazie i gra na młyńskiej śluzie. Ręce miał zimne, w piersiach i w krtani pulsowała mu krew, to zatrzymując się, to krążąc nadmiernie szybko, zaciemniała wzrok i znowu raptowną falą spływała do serca, przyprowadzając go o zawroty głowy.

Wrócił do domu, z trudem dotarł do swojej izdebki, położył się i natychmiast usnął spadając we śnie z głębin w głębinę poprzez niezmierzone obszary. O północy obudził się udręczony i wyczerpany i przeleżał do rana na wpół drzemiąc, trawiony palącą tęsknotą, miotany nieokiełznanymi siłami, aż o pierwszym brzasku cała jego męka i bezradność wyładowały się w długim płaczu i zasnął znów na poduszce mokrej od łez.

## ***Rozdział siódmy***

Pan Giebenrath krzątał się dostojnie i hałaśliwie przy tłoczni, a Hans pomagał mu. Z zaproszonych dzieci szewca przyszło tylko dwoje. Kręciły się przy owocach, próbując kolejno z jednej szklaneczki i dzierżąc każde po ogromnej pajdzie ciemnego chleba w garści. Ale Emma nie przysła z nimi.

Dopiero kiedy ojciec z kiprem odszedł na pół godziny, Hans ośmielił się zapytać o nią.

— Gdzież jest Emma? Czy nie chciała przyjść?

Minęła chwila, nim malcy mieli próżne pyszczki i potrafilo odpowiedzieć.

— Nie ma jej przecież — powiedzieli kiwając głowami.

— Jak to nie ma?

— Wróciła do domu.

— Wyjechała? Koleją?

Dzieci przytakiwały gorliwie.

— Kiedy?

— Dziś rano.

Malcy sięgnęli znowu po swoje jabłka.. Hans poruszał coś przy tłoczni, wpatrzony nieruchomo w wiadro z jabłecznikiem, i zaczął zwolna pojmować.

Ojciec wrócił; pracowano i śmiano się, dzieciaki podziękowały i pobiegły, nastał wieczór i wszyscy poszli do domu.

Po kolacji Hans siedział w swojej izdebce sam. Minęła godzina dziesiąta i jedenasta, a on nie zapalał światła. Potem spał długo i mocno.

Kiedy obudził się, później niż zazwyczaj, miał tylko niejasne wrażenie jakiegoś nieszczęścia i straty, aż nagle przypomniała mu się Emma. Wyjechała bez pozdrowienia, bez pożegnania; gdy ostatniego wieczora był u niej, niewątpliwie wiedziała już, kiedy wyjedzie. Przypomniał sobie jej śmiech, jej pocałunki i tę wyższość, z jaką odnosiła się do niego. Nie traktowała go poważnie.

Gniewna uraza o to splotła się z niepokojem jego podnieconych i niezaspokojonych pożądań w mętłą udrękę, która gnała go z domu do ogrodu, na ulicę, do lasu i znowu z powrotem do domu.

W ten sposób, może zbyt wcześnie, zapoznał się już po trosze z tajemnicą miłości. Zawierała ona w sobie według niego mało słodczy, a dużo zgryzoty. Nastały

dni bezowocnych skarg, tęsknych wspomnień, beznadziejnych dociekań; noce, w których bicie serca i paraliżujący lęk nie pozwalały mu spać albo wpędzały go w straszliwe sny. Sny, gdzie nie zrozumiany niepokój krwi zamieniał się w potworne, straszące twory baśniowe, w śmiertelny uścisk ramion, w fantastyczne zwierzęta o palących spojrzaniach, w zawrotne przepaście, w olbrzymie, płonące oczy. Po przebudzeniu spostrzegął, że jest sam, objęty samotnością chłodnych nocy jesiennych. Odczuwał wtedy bolesną tęsknotę za swoją dziewczyną i z jękiem wciskał się w mokre od płaczu poduszki.

Piątek, dzień, kiedy miał wstąpić do warsztatu mechanicznego, przybliżał się. Ojciec kupił mu granatowe płócienne ubranie i granatową bawełnianą czapkę. Hans przymierzył je i czuł się dosyć śmieszny w tym ślusarskim mundurze. Gdy przechodził koło szkoły, koło domu rektora albo profesora matematyki, koło warsztatu Flaiga lub plebanii, ogarniała go żal. Tyle trudu, pilności i potu, tyle drobnych wyrzeczeń, tyle dumy i ambicji, i marzeń pełnych nadziei, wszystko na darmo, wszystko tylko po to, aby teraz, później od wszystkich innych kolegów, wyśmiany przez wszystkich, chodzić do warsztatu jako najostatniejszy z terminatorów!

Co by Heilner na to powiedział?

Dopiero z czasem przeprosił się z granatowym ubraniem ślusarskim i cieszył się nawet na myśl o owym piątku, kiedy miał pierwszy raz w ubraniu wystąpić. Przynajmniej znowu pozna coś nowego!

Ale te myśli nie były niczym więcej jak szybkimi błyskawicami na ciemnym niebie. Nie zapomniał o wyjeździe dziewczyny, a tym bardziej jego krew nie zapomniała ani nie uporała się z podnietami tych dni. Domagała się i krzyczała o więcej, o wyzwolenie jego zbudzonej tęsknoty. W ten sposób w głuchej męce powoli mijał czas.

Jesień była piękna jak nigdy, przepojona łagodnym blaskiem słońca, ze srebrnymi rankami, barwnie roześmianymi południami i przejrzystymi wieczorami. Cofnięte aż po horyzont góry nasiąkały głębokim aksamitnym błękitem, drzewa kasztanowe błyszczały złotym złotem, a z murów i parkanów zwisały purpurowe liście dzikiego wina.

Hans bez wytchnienia uciekał sam przed sobą. W dzień biegał po mieście i po polach, unikając ludzi, ponieważ sądził, że widać po nim jego miłosną udrękę. Wieczorem zaś wychodził na ulicę, oglądał się za każdą służącą i z nieczystym sumieniem snuł się za każdą parą. Zdawało mu się, że wraz z Emmą zbliżył się do

niego i znowu go opuścił cały powab i czar życia. Nie pamiętał już o męce i niepokoju jakie przy niej odczuwał. Mniemał, że gdyby ją teraz znowu miał przy sobie, nie byłby nieśmiały, lecz wydarłby jej wszystkie tajemnice i wtargnąłby całkowicie do zakłętego ogrodu miłości, którego bramę zatrzaśnięto mu tuż przed nosem. Cała jego wyobraźnia zaplątała się w owym dusznym, niebezpiecznym gąszczu, błąkała się w nim strwożona i w upartym samoudręczeniu nie chciała nic o tym wiedzieć, że poza ciasnym, zaczarowanym kołem rozciągają się w pogodnej jasności piękne i rozległe obszary.

W końcu był zadowolony, kiedy nadszedł ów początkowo z obawą wyczekiwany piątek. Wczesnym rankiem wdział nowe granatowe ubranie robocze, nałożył czapkę i z lekka stropiony poszedł ulicą Garbarzy w dół do domu Schulera. Kilku znajomych obejrzało się za nim z zaciekawieniem, a jeden nawet zapytał:

— Co to, zostałeś ślusarzem?

W warsztacie pracowano już żwawo. Majster był właśnie zajęty kuciem. Miał na kowadle sztabę rozgrzanego do czerwoności żelaza, czeladnik dzierżył ciężki młot, on sam zaś wybijał lżejsze, forujące uderzenia, kierował kleszczami i raz po raz uderzał ręcznym młotkiem kowalskim do taktu; jasne i pogodne dzwonięcie wypełniło poranek poprzez na oścież otwarte drzwi.

Nad długim warsztatem, szerniałym od oliwy i opilków żelaznych, stał starszy czeladnik, a obok niego August, każdy zajęty przy swoim imadle. Pod powalą brzęczały szybkie pasy obracające tokarki, kamień szlifierski, miech i wiertarkę, posługiwano się tu bowiem napędem wodnym. August kiwnął głową na widok wchodzącego kolegi i pokazał mu, że ma poczekać przy drzwiach, aż majster będzie miał czas dla niego.

Hans popatrzył nieśmiało na palenisko, na nieruchome tokarki, na rozpędzone pasy i wolno obracające się koła. Kiedy majster skończył swoją robotę, podszedł do Hansa i wyciągnął dużą, twardą, ciepłą rękę.

— Tu powiesz sobie czapkę — powiedział wskazując wolny gwóźdź na ścianie.

— No, chodź. Tu będzie twoje miejsce i imadło.

Z tymi słowami zaprowadził go do ostatniego imadła i pokazał mu przede wszystkim, jak ma się z nim obchodzić, i jak utrzymywać w porządku warsztat i narzędzia.

— Twój ojciec mi już mówił, że siłaczem nie jesteś. Zresztą sam to widzę. No, na początek możesz jeszcze nie kuć, dopóki się trochę nie wzmocnisz.

Sięgnął pod warsztat i wydobył lane kółko zębate.

— O, od tego zaczniesz. Kółko jest jeszcze surowe z odlewni i ma pełno małych zgrubień i nierówności. Trzeba je zdrapać, bo inaczej zmarnują się na nich delikatne narzędzia.

Założył kółko do imadła, wziął stary pilnik i pokazał, jak to należy robić.

— No, teraz rób tak dalej. Ale żebyś mi nie brał innego pilnika. Do południa masz dość zajęcia przy tym; potem mi je pokażesz. A przy robocie niech cię nic nie obchodzi poza tym, co ci się powie. Terminator nie potrzebuje myśleć.

Hans zaczął piłować.

— Stój! — zawołał majster. — Nie tak. Lewą rękę kładzie się na pilniku w ten sposób. A może jesteś mańkutom?

— Nie.

— No, to dobrze. Jakoś to będzie.

Odszedł do swojego imadła, zaraz przy drzwiach i Hans musiał sobie sam radzić.

Przy pierwszych pociągnięciach dziwił się, że materiał jest tak miękki i tak łatwo schodzi. Potem spostrzegł, że była to tylko wierzchnia szorstka skorupa, która się łatwo kruszyła, i że dopiero pod nią znajduje się ziarniste żelazo, które miał wygładzić. Wziął się w garść i pracował gorliwie dalej. Od czasu kiedy jako chłopak bawił się w majstra klepkę, nie zaznał tej przyjemności, aby móc widzieć rezultaty swej pracy, aby spod jego rąk wyszło coś użytecznego.

— Wolniej! — zawołał majster. — Przy piłowaniu trzeba zachować takt: raz, dwa, raz, dwa! I nacisnąć, bo inaczej pilnik się popsuje!

Teraz najstarszy czeladnik zakreślił się koło tokarki i Hans nie mógł się powstrzymać, aby nie zerknąć w jego stronę. Założył na głowicę jakiś czop stalowy, naciągnął pas i czop błyskając zaczął się szybko obracać, podczas gdy czeladnik zdejmował z niego cieniuteńki, lśniący wiór.

Wszędzie leżały narzędzia, kawałki żelaza, stali i mosiądzu, na wpół wykończone roboty, błyszczące kółeczka, przecinaki i wiertła, noże tokarskie i dorniki wszelkich kształtów. Koło paleniska wisiały młoty i młotki, nakładki na kowadła, obcęgi i kolby do lutowania, wzdłuż ścian błyszczały rzędy pilników i frezów, na ławach leżały oliwiarki, szczoteczki, gładziki, piłki do żelaza oraz stały bańki z oliwą, butle z kwasami, skrzynki z gwoździami i śrubami. Co chwilę kamień szlifierski był w ruchu.

Hans zauważył z satysfakcją, że ręce miał już całkiem czarne. Miał nadzieję, że również ubranie jego przybrudzi się wkrótce, bo na razie przy czarnych i połatanych kombinezonach innych wyglądało śmiesznie nowe i niebieskie.

W miarę upływu godzin ruch w warsztacie ożywił się jeszcze dzięki klientom. Przychodzili robotnicy z sąsiednich warsztatów trykotarskich, aby dać drobne części maszynowe do oszlifowania lub naprawy. Przyszedł chłop, zapytał o swoją wyżymaczkę, którą dał do naprawy, i szpetnie zaklął, gdy się dowiedział, że jeszcze nie jest gotowa. Potem przyszedł jakiś elegancki właściciel fabryki, z którym majster konferował w pokoju obok.

Równocześnie, wśród całego tego ruchu, ludzie, kółka i pasy pracowały jednostajnie dalej i dzięki temu Hans usłyszał i zrozumiał po raz pierwszy w życiu hymn pracy, który przynajmniej dla nowicjusza ma w sobie coś wzruszającego i upajającego. Zobaczył też swoją małą osobę i swe błahe życie wprzęgnięte w ogólny rytm.

O godzinie dziewiątej była piętnastominutowa przerwa i każdy dostał po kromce chleba i po szklance jabłeczniaka. Dopiero teraz August przywitał nowego terminatora. Dodał mu otuchy i znowu zaczął się rozwodzić na temat najbliższej niedzieli, kiedy to z kolegami przepuści swoją pierwszą tygodniówkę. Hans zapytał, co to za kółko dano mu do spiłowania, i dowiedział się, że pochodzi ono z zegara wieżowego. August chciał mu jeszcze pokazać, jak ono ma się później obracać i pracować, ale pierwszy czeladnik wziął się już znowu do piłowania i wszyscy udali się szybko na swoje miejsca.

Między godziną dziesiątą a jedenastą Hans poczuł zmęczenie; bolały go nieco kolana i prawe ramię. Przestępował z nogi na nogę i prostował się po kryjomu, ale nie na wiele się to zdało. Odłożył na moment pilnik i oparł się o imadło. Nikt nie zważał na niego. Gdy tak stał i odpoczywał słysząc za sobą świst pasów, ogarnęło go lekkie oszołomienie, tak że na minutę przymknął oczy. Akurat wtedy majster przystanął koło niego.

— Co się stało? Już się zmęczyłeś?

— Owszem, troszkę — przyznał się Hans.

Czeladnicy roześmieli się.

— To z czasem minie — orzekł majster spokojnie. — Teraz możesz się przyjrzeć, jak się lutuje. Chodź.

Hans przyglądał się z zaciekawieniem, jak się odbywa lutowanie. Najpierw ogrzewa się kolbę, potem smaruje się miejsce przeznaczone do lutowania kwasem solnym, a potem z gorącej kolby skapuje biały metal sycząc z cicha.

— Weź ścierkę i zetrzyj to porządnie. Kwas gryzie, nie wolno zostawiać go na metalu.

Potem Hans znowu stanął przy swoim imadle i skrobał pilnikiem kółko. Bolało go ramię, a lewa ręka, naciskająca pilnik, poczerwieniała i też rozboląła.

W południe, kiedy starszy czeladnik odłożył pilnik i poszedł umyć ręce, Hans zaniósł swoją robotę majstrowi. Ten obejrzał ją przelotnie.

— Dobra, możesz je tak zostawić. Na twoim miejscu w skrzynce leży drugie takie same kółko. Weźmiesz się do niego dziś po południu.

Teraz również Hans umył ręce i udał się do domu. Miał godzinę czasu na obiad.

Dwaj pomocnicy sklepowi, jego dawniejsi koledzy, szli za nim ulicą i wyśmiewali się z niego.

— Ślusarz z egzaminem krajowym! — krzyknął jeden z nich.

Hans przyspieszył kroku. Nie bardzo wiedział, czy właściwie jest zadowolony czy nie; podobało mu się w warsztacie, tylko tak się zmęczył, tak się strasznie zmęczył.

A w bramie, kiedy cieszył się już, że za chwilę usiadzie i będzie jadł, przypomniała mu się raptem Emma. Przez całe przedpołudnie ani razu o niej nie pomyślał. Cichutko poszedł do swojej izdebki, rzucił się na łóżko i jęknął z udreki. Chciał zapłakać, ale oczy były suche. Zrozpaczony poczuł znowu, że jest rzucony na pastwę pożerającej tęsknoty. W głowie mu huczało i łomotało; a krtań bolała go od zdławionego szlochu.

Obiad był męką. Musiał ojcu wszystko opowiedzieć i znosić różne żartobliwe docinki, ponieważ był on w dobrym humorze. Ledwie skończyli jeść, wybiegł do ogrodu i spędził tam koło kwadransa drzemiąc na słońcu. Później trzeba było znów wracać do warsztatu.

Już przed południem porobiły mu się czerwone odciski na rękach; teraz ręce zaczęły nie na żarty boleć i do wieczora spuchły tak, że nie mógł niczego tknąć bez bólu. A przed fajrantem musiał jeszcze pod kierunkiem Augusta posprzątać cały warsztat.

Sobota była jeszcze gorsza. Ręce go piekły, odciski powiększyły się w pęcherze. Majster był nie w humorze i kłął z byle powodu. August wprawdzie pocieszał, że ta historia z odciskami trwa tylko parę dni, a potem ma się twarde ręce i nie czuje się już



nic, ale Hans był bardzo nieszczęśliwy, zerkał przez cały dzień na zegar i beznadziejnie mordował się nad swoim kółkiem.

Wieczorem podczas sprzątania August szepnął mu, że wybiera się jutro z paroma kolegami do Bielach; zabawa ma być huczna i wesoła i Hans koniecznie musi się stawić. Niech wstąpi po niego o godzinie drugiej. Hans obiecał przyjść, choć najchętniej spędziłby całą niedzielę w łóżku, taki był osłabiony i zmęczony. W domu stara Anna dała mu maść na jego poranione ręce. Poszedł już o godzinie ósmej do łóżka i spał do późnego ranka, tak że musiał się śpieszyć, aby z ojcem zdążyć do kościoła.

Przy obiedzie zaczął mówić o Auguście i że chce pójść z nim dzisiaj za miasto. Ojciec nie miał nic przeciwko temu i dał mu nawet pięćdziesiąt fenigów, żądając tylko, aby wrócił na kolację.

Gdy Hans w pięknym blasku słonecznym szedł wolnym krokiem przez ulice, po raz pierwszy od szeregu miesięcy cieszył się znowu niedzielą. Ulica była bardziej uroczysta, słońce pogodniejsze i w ogóle wszystko było bardziej odświeżone i ładniejsze, gdy człowiek miał za sobą robocze dni, z zamorusanymi rękami i znużonym ciałem. Rozumiał teraz rzeźników i garbarzy, piekarzy i kowali, którzy siedzieli przed swymi domami na nasłonecznionych ławkach z takim królewskim zadowoleniem, i nie uważał ich już za beznadziejnych filistrów. Oglądał się za robotnikami, czeladnikami i terminatorami, przechadzającymi się po kilku lub wchodzącymi do gospody, w kapeluszach nieco na bakier, z białymi kołnierzykami i w odświeżonym, wyszczotkowanym odzieniu. Przeważnie, choć nie zawsze, rzemiosła łączyły się z sobą. Cieśle przestawali z cieślami, murarze z murarzami, trzymając się razem i strzegąc honoru cechu, a wśród nich rej wiedli ślusarze z mechanikami na czele. To wszystko miało w sobie coś miłego i chociaż nie jedno było trochę naiwne i śmieszne, kryło się za tym piękno i duma rękodziela, będącego i dziś jeszcze czymś radosnym i dzielnym, czymś, co udziela odrobiny blasku nawet najmizerniejszym krawieckim terminatorom.

Gdy tak przed domem Schulera zeszedli się młodzi mechanicy, pewni siebie i dumni, kłaniając się przechodniom i rozmawiając między sobą, zaraz było widać, że tworzą zwartą społeczność i obejdą się bez obcych, nawet przy niedzielnej zabawie.

Hans także to czuł i cieszył się, że należy do nich. Mimo to ogarnął go lekki strach przed projektowaną zabawą, gdyż wiedział już, że mechanicy suto i bujnie używają życiowych przyjemności. Może nawet będą tańczyć. Hans tańczyć nie umiał, ale poza tym miał zamiar w miarę możliwości odegrać zucha, ryzykując w razie potrzeby nawet małego "kaca". Nie pił nigdy piwa w większej ilości, a w paleniu z trudem doszedł do tego, że potrafił wypalić cygaro do końca bez nabawienia się nudności i wstydu.

August przywitał go z świątecznym rozradowaniem. Opowiedział mu, że starszy czeladnik wprawdzie nie chce z nimi iść, ale za to idzie kolega z innego warsztatu, tak że będzie ich przynajmniej czterech, a to już wystarczy, aby całą wieś przewrócić do góry nogami. Piwa może dziś każdy wypić, ile zapragnie, on bowiem płaci za wszystkich. Poczęstował Hansa cygarem, po czym cała czwórka ruszyła powoli, krocząc statecznie i dumnie przez miasto, i dopiero na dole, na placu z lipami, przyspieszając kroku, aby w porę zająć do Bielach.

Lustro wody skrzyło się błękitem, złotem i bielą, przez niemal bezlistne jawory i akacje uliczne grzało łagodne słońce październikowe, wysokie niebo było bezchmurne i jasnoszafirowe. Był to jeden z tych cichych, przejrzystych i pogodnych dni jesiennych, kiedy łagodne powietrze przepojone jest całym pięknem minionego lata jak bezbolesnym, uśmiechniętym wspomnieniem, kiedy dzieci zapominają o porze roku i chcą zbierać kwiaty, a starzy ludzie patrzą zadumanym wzrokiem w przestworza z okna lub ławki przed domem, ponieważ wydaje się im, że nie tylko miłe wspomnienia roku, ale wspomnienia całego minionego życia suną widzialne przez czysty błękit. Młodzi zaś są w dobrych humorach i czczą ładny dzień, zależnie od możliwości i usposobienia, ofiarami z wina lub mięsa, śpiewami albo tańcem, pijatykami albo zapalczywymi bójkami; wszędzie bowiem nęcą świeżo pieczone placki z owocami, wszędzie fermentuje w piwnicy młody jabłecznik lub wino, zaś przed karczmami albo na placach w cieniu lip skrzypki lub harmonia święcą ostatnie piękne dni roku i zapraszają do tańca, śpiewów i zalotów.

Młodzi chłopcy wędrowali szybko; Hans palił cygaro z pozorną beztroską, sam się dziwiąc, że tak mu to łatwo przychodzi. Czeladnik opowiadał o latach wędrówki i nikt się nie gorszył tym, że się tak przechwalał: taki był zwyczaj. Nawet najskromniejszy czeladnik, gdy już raz osiadł gdzieś na stałe i jest pewien, że nie natknie się na naocznych świadków, opowiada niestworzone historie o czasach swego wędrowania. Cudowna poezja życia czeladników rzemieślniczych jest bowiem

wspólnym dobrem ludu i poprzez osobę każdego z nich snuje wciąż od nowa tradycyjne, stare wątki wzbogacane coraz nowymi ozdobnikami; każdy zaś powsinoga, gdy się rozgada, ma w sobie coś z nieśmiertelnego Sowizdrzała i coś z nieśmiertelnego Straubingera<sup>5</sup>.

— A więc we Frankfurcie, gdzie wówczas byłem, tam ci jeszcze było życie, choroba! Czy nie opowiadałem wam jeszcze nigdy, jak pewien bogaty kupiec, taki wylizany firecyk, chciał się żenić z córką mojego majstra; ale ona dała mu kosza, ponieważ wolała mnie i była moją dziewczyną przez cztery miesiące. Gdybym się nie był pożarł ze starym, siedziałbym tam teraz i byłbym jego zięciem.

I opowiadał dalej, jak majster, ta cholera, chciał go wziąć za mordę, ten podły krwiopijca, i ośmielił się raz podnieść na niego rękę, ale wtedy on nie rzekł ani słowa, tylko zamachnął się młotem i tak spojrział na starego, że ten odszedł w milczeniu, ponieważ własny łeb był mu milszy. Tchórzliwy głupiec — wypowiedział mu potem na piśmie. Opowiadał o wielkiej bójce w Offenburgu, gdzie trzech ślusarzy, wśród nich on, pobiło siedmiu robotników fabrycznych, że ledwo zipali. Kto znajdzie się w Offenburgu, niech tylko zapyta długiego Schorscha, on tam jeszcze jest i brał wtedy udział w tej bijatyce.

Wszystko to opowiadał chłodnym, brutalnym tonem, ale z dużym wewnętrznym zapalem i upodobaniem, a każdy słuchał z głębokim zadowoleniem, postanawiając po cichu, że także opowie kiedyś tę historię, gdzie indziej, przy innych kolegach. Każdy bowiem ślusarz kochał się choć raz w córce majstra i każdy podniósł raz kiedyś młot na niedobrego szefa i złożył siedmiu robociarzy fabrycznych. Czasem działo się to w Badeńskim, czasem znów w Hesji albo w Szwajcarii; zamiast młota występował nieraz w opowiadaniu pilnik albo rozpalone żelazo, a zamiast robotników fabrycznych piekarze albo krawcy, ale zawsze były to te same stare historie, których słucha się chętnie, ponieważ są dawne, dobre i przynoszące zaszczyt cechowi. Przez co bynajmniej nie chcemy twierdzić, że nie było i nie ma nawet dziś jeszcze wśród wędrownych czeladników takich, którzy potrafią genialnie przeżywać i genialnie zmyślać, co w gruncie rzeczy na jedno wychodzi.

Zwłaszcza August był zachwycony i rozbawiony. Śmiał się bez ustanku i przytakiwał, czując się już na wpół czeladnikiem, i z pogardliwą miną starego palacza wydmuchiwał dym tytoniowy w złotawe powietrze. A ów pleciuga grał swoją rolę

---

<sup>5</sup> Straubinger — żartobliwa nazwa wędrownego czeladnika, zaczerpnięta z ludowej pieśni niemieckiej *Gott grüß dir Bruder Straubinger*

dalej, ponieważ zależało mu na tym, aby zaznaczyć, że on tylko zniża się do brodaczy do kompanii, bowiem jako czeladnikowi nie wypadało mu właściwie spędzać niedzieli w towarzystwie terminatorów i powinien był się wstydzić, że pomaga chłopcu przepuszczać zarobek.

Przeszli dobry kawał szosą w dół rzeki i teraz mieli do wyboru albo lekko wznoszący się gościniec, wiodący łukiem pod górę, albo stromą ścieżkę, o połowę krótszą. Obrali gościniec, chociaż był dłuższy i pełen kurzu. Ścieżki są dobre na co dzień i dla spacerujących panów, pospólstwo jednak, zwłaszcza w niedzielę, lubi gościniec, który jeszcze nie stracił dla niego czaru swej poezji. Wspinanie się po stromych ścieżkach to w sam raz dla chłopów albo dla miłośników przyrody z miasta, to wysiłek albo sport, ale nie przyjemność dla pospólstwa. Co innego gościniec, gdzie nie niszczy się obuwia i odświętnego ubrania, gdzie widuje się wozy i konie, mija i dogania innych spacerowiczów, spotyka wystrojone dziewczęta i rozśpiewane gromady chłopaków, gdzie ścigają człowieka żartobliwe docinki, na które trzeba odciąć się ze śmiechem, gdzie można postać chwilę i pogadać, a jeśli jest się kawalerem, przyłączyć się do rzędu spacerujących dziewcząt i podroczyć się z nimi albo też wieczorem wyjaśnić i uregulować za pomocą rękoczynów osobiste nieporozumienia z dobrymi koleżkami. Głupi byłby czeladnik, który by wesoły, wygodny i obfitujący w ciekawostki gościniec zamienił na ścieżkę. Tego samego zdania jest też każdy obywatel małego miasteczka.

Obrali zatem gościniec, który wielkim łukiem szedł spokojnie i łagodnie w górę, jak ktoś, kto ma czas i nie lubi się pocić. Czelaadnik zdjął marynarkę i niósł ją na łasce przerzuconej przez ramię. Zamiast opowiadać, zaczął teraz gwizdać w niezwykle zuchwały i skoczny sposób i gwizdał cały czas, dopóki po godzinie nie zaszli do Bielach. Hansa spotkało kilka docinków, którymi nie przejął się specjalnie i które August odparował gorliwiej niż on sam.

A teraz stanęli przed Bielach.

Wioska o czerwonych dachach i srebrnoszarych strzechach leżała wśród jesiennych sadów, na tle piętrzącego się za nią ciemnego górskiego lasu.

Młodzi ludzie nie mogli się zdecydować, do której gospody winni najpierw wstąpić. "Kotwica" miała najlepsze piwo, "Pod Łabędziem" dawali najlepsze ciasto, a w "Oстрыm Rogu" właściciel miał ładną córkę. Wreszcie August orzekł, że pójdą do "Kotwicy", i mrużąc oko napomknął, że "Ostry Róg" chyba nie ucieknie podczas tych kilku kufli i można go będzie również potem odszukać. Wszyscy zgodzili się z tym;

zeszli więc do wioski i mijając obory oraz niskie okienka zastawione doniczkami z geranium udali się do "Kotwicy", której złota wywieszka ponad dwoma młodymi, okrągłymi kasztanami wabiła w słońcu blaskiem. Ku zmartwieniu czeladnika, który uparł się siedzieć w środku, gospoda była przepelniona i musieli rozgościć się w ogrodzie. "Kotwica" należała zdaniem gości do lokali eleganckich; nie była to więc jakaś stara karczma wiejska, tylko nowoczesny budynek z czerwonej cegły ze zbyt dużą ilością okien, z krzesłami zamiast ławek i mnóstwem kolorowych reklam z blachy. Była tam też kelnerka ubrana po miejsku i właściciel, którego nigdy nie widywano bez marynarki; zawsze nosił brązowy, według mody uszyty garnitur. Właściwie był to bankrut, ale wziął swój własny dom w dzierżawę od głównego wierzyciela, właściciela wielkiego browaru, i stał się od tej pory jeszcze bardziej wytworny. Ogród składał się z jednej akacji i z dużej siatki drucianej, zarośniętej, na razie do połowy tylko, dzikim winem.

— Na zdrowie, bracia! — wykrzyknął czeladnik i trącił się z wszystkimi trzema towarzyszami. Chcąc się popisać wypił całą szklanekę jednym haustem.

— Hej, ślicznotko, w tej szklance nic nie było, niech no pani od razu przyniesie drugą! — zawołał do kelnerki podając jej przez stół swój kufel.

Piwo było doskonałe, chłodne i nie za gorzkie. Hans z przyjemnością wypił swoją szklanekę. August pił z miną znawcy, mlaskał językiem i kopcił jak zepsuty piec, co Hans w cichości ducha podziwiał.

Jednak taka wesoła niedziela to wcale niezła rzecz — siedzisz sobie w karczmie przy stole jak ktoś, komu wolno i kto zarobił na to, z ludźmi, którzy umieją żyć i bawić się. Przyjemnie jest pośmiać się, a czasem nawet samemu zaryzykować jakiś dowcip, przyjemnie po męsku rąbnąć po wypiciu kuflem o stół i zawołać beztrzesko: Jeszcze jedno, panienko!" Przyjemnie przepić do znajomego przy sąsiednim stole, trzymając wygasły niedopałek cygara w zwisającej lewej ręce i zsunąwszy kapelusz z czoła tak jak inni.

I obcy czeladnik się teraz rozruszał i zaczął opowiadać. Słyszał o takim ślusarzu w Ulm, co potrafił wypić dwadzieścia szklanek piwa, dobrego ulmskiego piwa, a gdy skończył, ocierał sobie gębę i mówił: "No, teraz zdałaby się dobra flaszcza wina!" A w Cannstatt znał palacza, który potrafił zjeść dwanaście serdelków pod rząd i wygrał w ten sposób zakład. Ale drugi taki zakład przegrał. Porwał się na to, że zje wszystko, co było w jadłospisie pewnej małej gospody i zżarł prawie wszystko, ale na końcu były

cztery rodzaje sera; gdy doszedł do trzeciego, odsunął talerz i powiedział: "Teraz raczej śmierć niż jeszcze jeden kęs."

Również te opowiadania zyskały ogromny poklask i okazało się, że tu i ówdzie na świecie istnieją wytrwali pijacy i żarłoki, bo każdy umiał coś opowiedzieć o takim bohaterze i jego wyczynach. U jednego był to "pewien człowiek w Stuttgarcie", u drugiego "jakiś dragon, zdaje się, że w Ludwigsburgu"; u jednego szło o siedemnaście ziemniaków, u innego o jedenaście blinów z sałatą. Opowiadano o tych zdarzeniach z rzeczową powagą i stwierdzano z upodobaniem, że istnieje jednak dużo pięknych talentów i ciekawych ludzi, a wśród nich i niemało dziwaków. Owo upodobanie, owa rzeczowość to stare, czcigodne zabytki zaściankowego filisterstwa, a młodzi ludzie naśladowują je tak samo jak picie, rozprawianie o polityce, wstępowanie w związki małżeńskie i umieranie.

Przy trzeciej szklance ktoś zapytał, czy nie ma ciastek. Zawołali kelnerkę i dowiedzieli się, że ciastek nie ma, co wszystkich okropnie wzburzyło. August wstał mówiąc, że skoro nie ma nawet ciastek, można śmiało zmienić lokal. Obcy czeladnik wymyślał na podłe porządki, tylko frankfurczyk głosował za pozostaniem, ponieważ nawiązał lekki kontakt z kelnerką i pogłaskał ją już kilka razy dość intensywnie. Hans widział to i widok ten oraz wypite piwo wprowadziły go w stan dziwnego podniecenia. Był zadowolony, że wychodzą.

Kiedy zapłacono rachunek i wszyscy wyszli na ulicę, Hans odczuł nieco swoje trzy kufle. Było to uczucie przyjemne — na wpół zmęczenie, na wpół przedsiębiorczość i jakby lekka mgła przed oczyma, przez którą wszystko wydawało się bardziej oddalone i prawie nierzeczywiste, podobnie jak we śnie. Ciągłe zbierało mu się na śmiech, kapelusz przekrzywił jeszcze śmieiej na bakier i wydawał się sam sobie tęgim zuchem. Frankfurczyk znowu gwizdał w swój zaczepny sposób i Hans próbował maszerować do taktu.

W "Oстрыm Rogu" było dosyć cicho. Kilku chłopów popijało młode wino. Nie było piwa beczkowego, tylko flaszkowe; każdy z nich dostał od razu flaszkę. Obcy czeladnik chciał się pokazać i zamówił dla wszystkich duży placek z jabłkami. Hans poczuł raptownie ogromny głód i zjadł kilka kawałków placka, jeden po drugim. Wygodnie siedziało się w mrocznej, starej, brunatnej izbie na mocnych i szerokich ławach. Staroświecki kredens i olbrzymi piec ginęły w półmroku. W dużej klatce z drewnianych prętów fruwały dwie zięby, którym wsunięto sporą gałązkę jarzębiny między szczebelki.

Gospodarz podszedł na moment do stołu i przywitał gości. Potem minęła chwila, nim znowu zawiązała się rozmowa. Hans wypił kilka niewielkich łyków mocnego piwa flaszkowego, ciekawy, czy też upora się jeszcze z całą następną flaszką.

Frankfurczyk plótl znowu androny o festynach w nadreńskich winnicach, o wędrownie i wagabundach; słuchano go z rozbawieniem i również Hans śmiał się co chwila.

Nagle spostrzegł, że dzieje się z nim coś niewyraźnego. Chwilami izba, stół, szklanki i koledzy — wszystko zlewało się w jakąś łagodną brunatną mgłę i powracało do swych pierwotnych kształtów jedynie wtedy, kiedy się mocno otrząsał. Od czasu do czasu, gdy rozmowa i wesołość przybierały na sile, wtórował głośnym śmiechem albo dorzucał parę słów, które natychmiast znowu zapominał. Kiedy trącano się szklankami, trącał się także i po godzinie spostrzegł ze zdziwieniem, że ma przed sobą próżną flaszkę.

— Masz dobry spust — zauważył August — Chcesz jeszcze jedną?

Hans ze śmiechem skinął głową. Wyobrażał sobie takie pijaństwo o wiele niebezpieczniej. A gdy frankfurczyk zaintonował teraz piosenkę i wszyscy ją podjęli, również on zawtórował na całe gardło.

Tymczasem izba się zapełniła i córka gospodarza nadeszła, aby pomóc kelnerce w obsłudze gości. Była to wysoka, ładnie zbudowana osoba o zdrowej, mocnej twarzy i spokojnych brązowych oczach.

Gdy stawiała nową flaszkę przed Hansem, siedzący obok czeladnik zaatakował ją natychmiast swoimi najbardziej wyszukаныmi komplementami, które ona jednak puściła mimo uszu. Może dlatego, aby okazać mu swoje lekceważenie, a może dlatego, że spodobała jej się subtelna głowa chłopięca, odwróciła się raptem do Hansa i pogładziwszy mu dłonią włosy, szybko wróciła do szynkwasu.

Czeladnik już po trzeciej flaszcze udał się za nią i starał się wszelkimi siłami nawiązać z nią rozmowę, ale bez skutku. Wysoka dziewczyna spojrzała na niego obojętnie, nie odpowiadając, i wkrótce odwróciła się do niego plecami. Wrócił tedy do stołu, zabębnił pustą flaszką po blacie i krzyknął z nagłym zapalem: "Bawmy się, chłopcy, dalej, pijcie ze mną!"

I opowiedział soczysty kawał.

Hans słyszał już tylko mętny gwar głosów, a kiedy dopijał drugą flaszkę, mówienie, a nawet śmiech sprawiały mu trudność. Chciał podejść do klatki z ziębami i

podręczyć się nieco z ptaszkami, ale po dwóch krokach zakreśliło mu się w głowie i o, mało nie upadł jak długi, wrócił więc ostrożnie do stolika.

Od tej chwili jego niepoohamowana wesołość zaczęła przygasać. Wiedział, że jest pijany, i że ta pijatyka przestała go bawić. Jakby w jakiejś ogromnej odległości widział czekające na niego rozmaite nieszczęścia: drogę powrotną, awanturę z ojcem, a jutro rano znowu warsztat. Zwolna także rozboleła go głowa.

Również tamci mieli już dość. W chwili oprzytomnienia August zażądał rachunku i niewiele otrzymał reszty ze swego talara. Rozgadani i roześmiani wyszli na ulicę, gdzie oślepiła ich jasność wieczoru. Hans ledwie trzymał się na nogach; chwiejnie oparł się o Augusta, który zaczął go holować.

Obcy ślusarz rozrzewnił się. Śpiewał *Jutro muszę odejść stąd* i lzy stanęły mu w oczach.

Właściwie mieli zamiar pójść do domu, ale kiedy przechodzili koło "Łabędzia", czeladnik uparł się, aby jeszcze tam wstąpić. W drzwiach Hans uwolnił się od Augusta.

— Muszę iść do domu.

— Przecież ty już nie potrafisz iść o własnych siłach — roześmiał się czeladnik.

— Owszem, potrafię. Muszę... iść... do domu...

— To wypij choć jeszcze jedną wódkę, mały. To cię postawi na nogi i wyczyści żołądek. Zobaczysz!

Hans poczuł w ręku małą szklaneczkę. Dużo z niej rozlał, resztę wypił, czując jej zawartość jak żywy ogień w przełyku. Wstrząsnęło nim gwałtowne obrzydzenie. Sam zwlókł się ze schodków i nie wiedząc jak, wydostał się ze wsi. Domy, płoty i ogrody wirowały krzywo i niewyraźnie dookoła niego.

Pod jabłonią położył się na wilgotnej łące. Natłok ohydnych uczuć, dręczących obaw i nie dokończonych myśli przeszkadzał mu zasnąć. Czuł się zbrukany i zhańbiony. Jak on wróci do domu? Co powie ojcu? A co stanie się z nim jutro? Wydawał się sobie taki złamany i nędzny, jak gdyby musiał teraz całą wieczność odpoczywać, spać i wstydzić się. Bolały go oczy i głowa i nie czuł w sobie nawet tyle siły, aby wstać i pójść dalej.

Nagle powrócił, niby spóźniona, przelotna fala, ślad poprzedniej wesołości. Skrzywił się i zanucił:

*O mój miły Augustyn,*



*Augustyn, Augustyn!*

*O mój miły Augustyn,*

*Po wszystkim już!*

Ledwie skończył nucić, coś wewnątrz zabolowało go i mętna powódź niejasnych wyobrażeń i wspomnień, wstydu i wyrzutów zwała się na niego. Jęknął głośno i osunął się łkając w trawę.

Po godzinie, gdy już się ściemniało, podniósł się i zaczął niepewnie i z trudem schodzić na dół.

Pan Giebenrath wymyślał srodze, kiedy chłopiec nie zjawił się na kolację; gdy nadeszła godzina dziewiąta, a Hansa ciągle jeszcze nie było, przygotował sobie dawno nie używaną, mocną trzcinkę. Smarkacz pewnie myśli, że już go ojcowska różga nie dosięgnie?! Może sobie powinszować, gdy wróci!

O godzinie dziesiątej zamknął bramę. Skoro synalek chce bujać po nocach, niechże się troszczy o nocleg.

Mimo to nie spał, tylko z godziny na godzinę czekał ze wzrastającym gniewem, aż czyjaś ręka naciśnie klamkę i nieśmiało pociągnie za dzwonek. Wyobrażał sobie tę awanturę — no, ten włóczyki będzie się miał z pyszna!

Prawdopodobnie smarkacz wróci pijany, ale szybko wytrzeźwieje — gagatek, obłudnik zatracony! Choćby mu miał wszystkie kości poprzetrzącać!...

Wreszcie sen zmorzył jego i jego złość.

W tym samym czasie tak wyczekiwany Hans płynął już cicho i wolno z prądem ciemnej, chłodnej rzeki. Wstręt, wstyd i żal opuściły go. Na jego pływające wątle ciało spoglądała zimna, sina noc jesienna; z jego rękoma, włosami i przybladłymi wargami igrała czarna woda. Nikt go tu nie widział poza wyruszającą przed świtem na łowy płochliwą wydrą, która obejrzała go przebiegle i bezszelestnie przesunęła się koło niego. Nikt też nie wiedział, w jaki sposób dostał się do wody. Może zbłądził i pośliznął się w jakimś pochyłym miejscu; może chciał ugasić pragnienie i stracił równowagę. Może urzekł go widok pięknej wody, aż pochylił się nad nią, a kiedy z głębiny wyjrzała ku niemu noc i blade światło księżyca, tak pełne pokoju i głębokiego spoczynku, zmęczenie i strach pchnęły go milczącą przemocą w cień śmierci.

Znaleziono go w dzień i zaniecono do domu. Przerażony ojciec musiał odłożyć kij i porzucić nagromadzony gniew. Wprawdzie nie płakał i niewiele dawał po sobie

poznać, ale następnej nocy też nie spał, zaglądając często przez uchylone drzwi do swojego ucichłego dziecka, które leżało na czystym łóżku i ciągle jeszcze ze swoim delikatnym czołem i bladą, mądrą twarzą wyglądało tak, jakby było czymś wyjątkowym i miało przyrodzone prawo do innego losu niż wszyscy. Na czole i rękach naskórek był z lekka obtarty i sinawy, ładna twarz wydawała się uśpiona, oczy spoczywały pod białymi powiekami, a lekko otwarte usta były niemal zadowolone i pogodne. Stwarzało to pozór, że życie chłopca zgaszono nagle w okresie pełnego rozkwitu i że przerwano mu wędrówkę po jakiejś radosnej drodze, i nawet ojciec w swoim znużeniu i samotnej żałobie uległ temu złudnemu uśmiechowi.

Pogrzeb zwałił dużą ilość ludzi i ciekawskich. Znowu Hans Giebenrath stał się sławą, którą interesował się każdy, i znowu profesorowie, rektor i pastor brali w jego życiu jakiś udział. Zjawili się wszyscy w tużurkach i uroczystych cylindrach, odprowadzili kondukt żałobny i postali chwilę nad grobem szepcząc między sobą. Profesor łaciny miał szczególnie melancholijny wygląd i rektor powiedział do niego przyciszonym głosem:

— Tak, panie profesorze, z niego mogło coś być. Czy to nie straszne, że właśnie z najlepszymi miewa się tak często pecha?

Przy ojcu i starej Annie, płaczącej bez ustanku, pozostał nad grobem majster Flaig.

— Tak, to boli, panie Giebenrath — powiedział ze współczuciem. — Ja go też lubiłem.

— To nie do pojęcia! — westchnął Giebenrath. — Taki był zdolny i wszystko tak dobrze poszło, szkoła, egzamin, a potem nagle jedno nieszczęście po drugim.

Szewc wskazał na tużurki znikające w bramie cmentarnej.

— Oto kilku z tych panów — rzekł cicho — którzy pomogli mu zejść tak daleko.

— Co? — poderwał się Giebenrath wpatrując się w szewca z powątpiewaniem i przestraczem. — Ależ, do licha, w jaki sposób?

— Spokojnie, panie sąsiedzie. Miałem tylko nauczycieli na myśli.

— Jak to? O czym pan mówi?

— Ech, nie ma o czym mówić. A pan i ja, my też w niejednym zawiniliśmy może wobec chłopca, nie sądzi pan?

Nad miasteczkiem rozpięło się pogodnie szafirowe niebo, w dolinie lśniła rzeka, jodłowe góry błękitniały miękko i tęsknie w dali. Szewc uśmiechnął się smutno

i ujął ramię człowieka, który z ciszy i dziwnie bolesnego natłoku myśli tej godziny wracał z wahaniem i zakłopotaniem ku nizinom swego powszedniego żywota.